

Dyplomata do odstrzału
– sprawa Jacka Izydorczyka

Grypowa katastrofa
– szczepionek brak

Powojenna rewolucja
oświatowa

Magdalena Kamińska
Polska w memach

Dlaczego tak mało?



Zaszczepieni
- ponad 200 tys.

Chcą się zaszczepić
- 15 mln

Mogą się zaszczepić
- 31 mln





WYDARZENIA

Sprawdzone i obiektywne
informacje

POGODA

Prognoza, która
się sprawdza

interia

SPORT

Zawsze w centrum
sportowych emocji

KUCHNIA

Smaker. Setki inspiracji
kulinarnych

PLOTKI

Pomponik. Gorące newsy
ze świata show-biznesu

interia

**PORTAL, KTÓRY TOWARZYSZY MI
KAŻDEGO DNIA**

CYTATY

KS. THOMAS DOYLE,
USA

*Papież Polak
był postrzegany
jako despota
i człowiek o dwóch
osobowościach –
aktor i konserwatysta.
„Wolna Sobota”
magazyn „Gazety Wyborczej”*

BRYAN CAPLAN,
ekonomista amerykański

*Dyplom studiów?
To taka pieczęć
na czole, która
potwierdza,
że jesteś inteligentnym
i sumiennym
konformistą.
„Forum”*

**PROF. WIESŁAW
ŁUKASZEWSKI,**

psycholog
*Częściej kłody
pod nogi rzucają
sobie kobiety.
„Charaktery”*

MACIEJ MALEŃCZUK,

muzyk
*Starość zaczyna się,
gdy kończą się
marzenia.
„Twój Styl”*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Alibi dla władzy

Wiadomo, że dla ludzi zaradnych kolejki nie są przeszkodą. Nie było jeszcze takiego prawa, którego by Polacy nie próbowali skutecznie obejść. Tak było już długo przed zaborami. I jeśli coś się zmieniło, to na gorsze. Choć może teraz jest tak, jak było, tylko media społecznościowe szybciej pokazują i piętnują takie przypadki. Cwaniactwo, kumoterstwo i nepotyzm nie mają jednej barwy politycznej. To prawdziwie ponadpartyjna przypadłość. Dotyka ludzi wszystkich opcji. I tych, którzy manifestują głęboką wiarę, i ateistów. Poczucie wstydu jest u wielu Polaków tak głęboko schowane, że nie przeszkadza im w przekrętach.

Trudno się przyzwyczaić do tego. I uznać, że tak po prostu w Polsce jest. Zmiana tej bylejakości, cwaniactwa i życia bez przestrzegania reguł może nastąpić tylko poprzez cierpliwą edukację. Ale czy taki proces ma szansę powodzenia bez elit? Bez autorytetów, które nie skuszają się pójściem na skróty?

Najgorzej jest wtedy, gdy autorytety, elity i lokalni liderzy zawodzą. Gdy poza kolejką pierwsi dostają szczepionkę, która ratuje życie.

A tyle razy przy byle okazji mówili o równości, praworządności i przejrzystości. Mówili, ale nie traktują tego serio. Grają porządnym obywateli, a robią na opak. Można, jak TVN, stale podkreślać, że oni to wolne media. Tylko co to teraz znaczy? Po wyprawie na szczepienia bez kolejki. Żenujące są ich pokrętne tłumaczenia.

Szczepionka jest ciągle dobrem deficytowym, a więc szczepienia muszą być przejrzyste i jawne. Opowiadanie o tym, że szczepienie celebrytów służy promocji tej akcji, obraża ludzką inteligencję.

Co rząd Morawieckiego i celebryci chcą promować? Przecież na szczepionkę czeka już kilkanaście milionów zdesperowanych ludzi. Ludzi zdecydowanych na zastrzyki.

Kiedy machina państwowa sobie z tym poradzi? Za ile miesięcy? Dopiero wtedy, gdy większość chętnych dostanie szczepionkę, będzie czas na promocję, przekonywanie wahających się. Dopiero wtedy. A nie rok wcześniej! Teraz takie akcje są tylko pustą, choć kosztowną propagandą. Bałagan, wpadki organizacyjne, brak procedur i spójnego przekazu oraz mizerne kwalifikacje zarządzających planem szczepień nikogo nie mogą zachęcić. Działania, które obserwujemy, to antypromocja. I żaden celebryci tego nie odменяją, jeśli nie zobaczymy elementarnej sprawności władzy.

Niestety, ośmieszając siebie i głoszone wartości, grupa bezkolejkowych artystów, polityków i samorządowców dała rządowi alibi, że nie tylko on jest...

21-22 STYCZNIA

Nie zapomnij o Dniu Babci i Dniu Dziadka!

Najlepszy prezent to książki PRZEGLĄDU

Sprawdź naszą ofertę!

sklep.tygodnikprzeglad.pl

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Dlaczego tak mało?**
Zamęt w szczepieniach przeciw COVID-19
- 14 Grypowa katastrofa**
Dramatyczny brak szczepionek
- 18 MSZ od środka**
Pozbyć się lzydorczyka
- 27 Nie ma tabu, są jedynie bezbeki**
– rozmowa z dr hab. Magdaleną Kamińską
- 41 Szynka babuni z chemiczną wkładką**
Producent wędlin ukarany

ZAGRANICA

- 12 Zielony paszport dla Izraela**
Liderzy w szczepieniach
- 24 Dzień amerykańskiego chaosu**
Po ataku na Kapitol
- 42 Zima pod palmami**
Wyspy Kanaryjskie czekają na turystów
- 46 Drogo, aż głowa boli**
Najdroższe miasta świata

HISTORIA

- 30 Jak walczone z zarazą**
Czarna ospa we Wrocławiu – cd.
- 34 Rewolucja oświatowa**
Szkolnictwo wyższe przed wojną i w PRL
- 38 Życie zakwitło w ruinach**

OPINIE

- 40 Dlaczego mimo kryzysu PiS**
lewica nie zyskuje w sondażach?

NAUKA

- 48 Astronomiczne bum w Portoryko**
Katastrofa wielkiego teleskopu

KULTURA

- 52 W niemieckim teatrze**
jest więcej czułości
– rozmowa z Ewelina Marciniak
- 55 Kulturalia**
- 56 Poirot – bohater popkultury**
Detektyw, który żył 135 lat

OBSERWACJE

- 58 Co może jeść pies**
Jak nie utuczyć pupila

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Alibi dla władzy
- 17 Jan Widacki**
Szczepimy się!
- 23 Roman Kurkiewicz**
Znużenie
- 33 Tomasz Jastrun**
Pieskie życie
- 45 Wojciech Kuczok**
Marznący deszcz
- 51 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Kino Kafka



42
ZAGRANICA

ZIMA POD PALMAMI

Wyspy Kanaryjskie czekają na turystów

52

KULTURA

W NIEMIECKIM TEATRZE JEST WIĘCEJ CZUŁOŚCI

– rozmowa
z Ewelina Marciniak



58

OBSERWACJE

CO MOŻE JEŚĆ PIES

Jak nie utuczyć pupila

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK



Prof. Tadeusz M. Orłowski
W zeszłym roku zoperowaliśmy
o 30% mniej pacjentów

Różewicz i Lem
– patroni roku 2021

Dr hab. Lech Mażewski
Wielopolski a uwłaszczenie chłopów
po powstaniu styczniowym



✉ Dziewięć godzin na SOR-ze

Mam podobne spostrzeżenia, jak autorka artykułu „Dziewięć godzin na SOR-ze”. Dotyczą one SOR-u szpitala w jednym z miast powiatowych Wielkopolski. Byłem świadkiem, jak 28 grudnia 2020 r. w godzinach popołudniowych pani ratownik z pogotowia niemal błagała personel SOR-u o przyjęcie chorego z zawałem serca, bo czekała z nim na dworze trzy godziny. Tu nie trzeba przypominać, że w przyzwale liczą się minuty. W tym samym czasie na łóżko na oddziale SOR położono mężczyznę chorego na covid, a obok leżały osoby z dolegliwościami kardiologicznymi. Starszy pan przy rejestracji mówił: „Umieram”, a gdy zmierzono mu temperaturę, miał ponad 39 st. Przez godzinę przebywał w tym samym pomieszczeniu, co inni pacjenci. Pomieszczenia potem nie zdezynfekowano, a przecież mógł być chory na covid. Nie ma więc co się dziwić, że ludzie często zarażają się koronawirusem w szpitalach. O braku empatii pracowników SOR-ów dla osób w podeszłym wieku, często niedoświadczonych, nie wspomnę. Lepiej spokojnie zejść z tego świata w domu.

Czytelnik

Red. Beata Igielska popełniła pewien podstawowy błąd, jaki popełnia wielu Polaków: zgłosiła się na SOR z problemem, którym Szpitalny Oddział Ratunkowy z założenia NIGDY nie powinien się zajmować, podobnie jak nie powinien się nim zajmować wspomniany w artykule lekarz rodzinny. Z takim problemem pacjent zgłasza się do ambulatorium chirurgicznego (bez skierowania w przypadku nagłym) lub do nocnej i świątecznej pomocy medycznej. I rozpropagowaniu tej informacji wśród społeczeństwa powinna służyć tego typu publikacja.

Ewa Szeląg

f Sądny rok Kościoła

Do takiego stanu, w jakim obecnie znalazł się Kościół, przyczynili się wszyscy. Ile to w naszym kraju mamy placów, ulic, szkół nazwanych imieniem Jana Pawła II, ileż pomników, które sam święcił... W wielu miejscowościach papież nigdy nie był, ale wszyscy tego pragnęli, bo nie wypada, aby nie było jego pomnika. Coraz troskliwiej pielęgnujemy tych, którzy tę wiarę obsługują, a nie tego, co tę wiarę stworzył. To jakiś absurd wiary w naszym kraju.

Andrzej Kościński

f Czarna ospa we Wrocławiu

Jak się udało w 1963 r. zaszczepić przeciwko ospie 8 mln Polaków? Bo tamta władza miała za zadanie rozwiązać problem, a nie patrzeć na słupki popularności. I nikogo nie interesowało zdanie różnej maści foliarzy.

Mateusz Żyła



W PRL przy opracowywaniu szczepionek nikomu nie zależało na kasie, tylko na zdrowiu obywateli, ewentualnie pośrednio na kasie, bo zdrowy obywatel mógł produkować dobra z korzyścią dla siebie samego i innych. Dziś to nierealne.

Jerzy Krawiec-Mostowiak

Więcej wypowiedzi na ten temat na s. 30

ZDJĘCIE TYGODNIA

Atak na świątynię demokracji. Zwolennicy Donalda Trumpa wdarli się do Kongresu w trakcie zatwierdzania wyników wyborów prezydenckich. Wybuchły zamieszki. Pięć osób nie żyje. Jaka będzie Ameryka po tym ataku? Waszyngton, 6 stycznia 2021 r.





PYTANIE TYGODNIA

Czy podatek cukrowy pozytywnie wpłynie na zdrowie konsumentów?

MIKOŁAJ CHOROSZYŃSKI,
dietetyk kliniczny, psychodietetyk

Podatek od cukru funkcjonuje w ponad 30 krajach. W mieście Berkeley w USA trzy lata po jego wprowadzeniu konsumpcja słodkich napojów spadła o 52%! Udało się to uzyskać, gdyż dochód z podatku został przeznaczony na edukację. Chciałbym, aby podobne rozwiązanie funkcjonowało u nas. Jednak na razie nikt nie wspomina o korzyściach zdrowotnych z ograniczenia konsumpcji słodkich napojów, a korzyści są, i to duże. W Polsce mniej więcej jedna trzecia dorosłych jest otyła, a choroby związane z niezdrową dietą, takie jak choroby serca, nowotwory, cukrzyca czy choroba Alzheimera, są głównymi zabójcami. Jeżeli dzięki podatkowi uda się ograniczyć chociaż o kilka procent rozwój tych chorób, to jego wprowadzenie trzeba będzie uznać za dobry krok.

GRAŻYNA ROKICKA,
Fundacja Konsumentów

Popieramy ideę stojącą za wprowadzeniem podatku, chcemy jednak zwrócić uwagę, że zachowania konsumenckie

zależą nie tylko od narzędzi fiskalnych i obowiązujących przepisów, ale przede wszystkim od czynników społecznych i kulturowych, na które istotny wpływ mają edukacja konsumencka i komunikacja, zwłaszcza ze strony zaufanych, niezależnych organizacji. Tymczasem nie przewidziano przeznaczania środków pochodzących z wprowadzonej opłaty na działania kierowane bezpośrednio do konsumentów. Z wprowadzonego podatku powinny być finansowane m.in. badania zachowań konsumenckich i nieuczciwych praktyk rynkowych producentów żywności, a także porównawcze testy żywności, jakie prowadzi Fundacja Konsumentów.

RAFAŁ TRZECIAKOWSKI,
ekonomista,
Forum Obywatelskiego Rozwoju

Prozdrowotne efekty podatku cukrowego są wątpliwe. To prawda, że tego typu podatki podnoszą ceny napojów słodzonych, skutecznie zniechęcając do ich zakupu. Z badań jednak nie wynika, że konsumenci zamieniają je na zdrową żywność. W miejsce napojów słodzonych

mogą wybrać zdrowsze napoje i produkty, ale mogą też wybrać mniej zdrowe. Jedynym substytutem napojów słodzonych cukrem, zgodnym z badaniami i zdrowym rozsądkiem, są napoje słodzone słodzikami. Niestety, w Polsce również one zostały obłożone podatkiem. Niepokoi też, że wysoki podatek cukrowy podnosi ceny napojów słodzonych wobec zwolnionego z niego alkoholu. Ostatecznie warto pamiętać, że otyłość ma wiele przyczyn, więc trudno o duże efekty z ograniczenia wybranej kategorii produktów.

EWA SOLARZ,
czytelniczka PRZEGŁĄDU



Myślę, że w pierwszej kolejności uruchomi pokłady narodowego narzekania na ustawodawców – wszak to napad na naszą wolność i przyzwyczajenia. Mam nadzieję, że w dłuższym okresie zniechęci nas do kupowania słodzonych produktów i wybierania zdrowszej (i tańszej) alternatywy, a producentów zmusi do produkowania artykułów bez takich ilości cukru.

Not. Michał Sobczyk

Dlaczego tak mało?

Przy deklarowanym tempie szczepień, 1 mln osób miesięcznie, Polacy odporność populacyjną zbudują w 2023.
Akcja musi nabrać tempa

Beata Igielska
Współpraca Kornel Wawrzyniak

– Były emocje, wczoraj to przeżywałam, ale z podniesioną głową przyszedłam tutaj – mówiła entuzjastycznie 27 grudnia 2020 r. Alicja Jakubowska, pierwsza osoba zaszczepiona w Polsce, naczelnia pielęgniarka szpitala MSWiA w Warszawie.

– Kompletnie nic nie poczułam, chyba z wrażenia – chwalił się prof. Waldemar Wierzbą, dyrektor szpitala. Po nich zaszczepił się ratownik medyczny Sławomir Butkiewicz. Wszystko w świetle fleszy i kamer. Szczęściarze. Bo ostatni na liście szczepień zaszczepiony poczuł się bezpiecznie dostając, jak dobrze pójdzie, za ponad dwa lata – w marcu 2023 r.

W chwili pisania tekstu do Polski dotarło 670 tys. dawek szczepionki Pfizer/BioNTech. Zanim więc zaczniemy mocno walić, że jest bałagan i nic nie idzie w sprawie szczepień, poczekajmy jeszcze tydzień. Były święta i Nowy Rok, czas zastoju. Może nasz system się rozkręci? Mamy wszak 7517 zespołów szczepiennych i 6027 punktów medycznych. Teoretycznie zaszczepić można 3,5-4 mln osób miesięcznie. Dla porównania: Niemcy utworzyli zaledwie 400 punktów szczepień.

– Głównym problemem są więc dodatkowe obowiązki personelu. Przy założeniu, że na każdego pacjenta poświęcimy tylko pięć minut, potrzeba albo mnóstwa czasu, albo armii ludzi. Dlatego będzie to przedsięwzięcie wyjątkowo trudne do zrealizowania, ale nie mówię, że niemożliwe – uważa Marek Budny, zastępca dyrektora ds. leczenia Wojewódzkiego Zespołowego Szpitala Specjalistycznego w Płocku.

Do zaszczepienia kwalifikuje się obecnie ok. 31 mln dorosłych Polaków (nie mogą być zaszczepione

kobiety w ciąży, alergicy, osoby z niektórymi chorobami przewlekłymi). Eksperci twierdzą, że odporność populacyjną uzyskuje się w przypadku uodpornienia 70% społeczeństwa, zatem należałoby zaszczepić ok. 27 mln osób. Tymczasem według najnowszych sondaży chęć zaszczepienia deklaruje ok. 15 mln, czyli 47%. Michał Dworczyk, pełnomocnik rządu ds. szczepień, do marca chce zaszczepić 3 mln ludzi, czyli 1 mln miesięcznie. Przy tym tempie odporność populacyjna pojawiłaby się za dwa lata i trzy miesiące – w II kwartale 2023 r. I to pod warunkiem, że będą szczepionki dla miliona osób miesięcznie. Polska bowiem kontraktuje ich zakup w ramach unijnego porozumienia o ustanowieniu wspólnego mechanizmu zakupów szczepionek. Wielkość zamówień jest proporcjonalna do liczby mieszkańców. Harmonogram dostaw jest taki sam dla wszystkich krajów.

Narodowy Program Szczepień to zbiór ogólników.

5 stycznia zostało zaszczepionych 38 tys. osób. Po godzinie 15 Michał Dworczyk chwalił się liczbą ponad 100 tys. zaszczepionych i jedynie dwoma przypadkami niepożądanych odczynów poszczepiennych. Podobno dawki nie są marnowane, odnotowano pojedyncze przypadki, gdy upadła fiolka. To byłby sukces, bo w amerykańskich stanach Alabama i Kalifornia w połowie grudnia zrezygnowano z podania kilku tysięcy dawek szczepionki Pfizer/BioNTech po tym, jak temperatura ich przechowywania spadła do –92 st. C. A przecież tworząc sieć logistyczną, zatrudniono tam doświadczoną firmę. W Niemczech zaś wycofano szczepionki, bo w czasie transportu temperatura była za wysoka, wynosiła +14 st. C.

Ale co Polska to Polska. – W poniedziałek, 4 stycznia, zamówiona partia szczepionek nie dotarła do szpitala. Osoba odpowiedzialna za punkt szczepień telefonowała, gdzie się dało, ale nie uzyskała żadnych informacji – mówi anonimowo pracownik szpitala w Żyrardowie.

Czy więc po drodze szczepili się kolejni starostowie z PiS? O takiej praktyce parę dni wcześniej informowały media, ale te wiadomości przykryła skutecznie „afera celebrycka”.

Nie wstrząsać fiolką

W Polsce nie ma zewnętrznej jednostki monitorującej transport, co oznacza, że nie ma pewności, czy przyjmujemy szczepionkę o właściwej skuteczności. Ewentualne błędy wyśledzą z pewnością media i zrobi się kolejna afera. Na razie nie wiemy nawet, czy wszystkie punkty szczepień przejdą szkolenia z pro-

cedur. Szkoda, bo na stronie internetowej MZ znajdują się materiały informacyjne, a tam np. czytamy: „fiolka po rozcieńczeniu musi być 10 razy delikatnie odwrócona, ale nie wstrząśnięta. Pielęgniarki odruchowo mogą potrząsać preparatem, bo robią to, podając każdy inny zastrzyk”.

Powinniśmy wiedzieć, skąd odpowiedzialna za logistykę Agencja Rezerw Materiałowych ma samochody, jakie mają procedury. Tymczasem Narodowy Program Szczepień to zbiór ogólników – ponad 20 plików z charakterystyką produktu leczniczego, ulotką i skróconą informacją dla pacjenta – wszystko opracowane przez Pfizer. W dokumentach brak informacji o zasadach monitorowania temperatury. Trzeba przekopać setki stron różnych plików, by



W Bydgoszczy jeden z punktów szczepień znajduje się w Szpitalu Uniwersyteckim nr 1 im. dr. Antoniego Jurasza.

posiąść podstawową wiedzę. Czy doprawdy nie można było ułatwić pracy dostawcom oraz punktom szczepień i wzorem Amerykańskiej Agencji Żywności i Leków, przygotować 30-stronicowy dokument? W tym amerykańskim jest np. taka informacja: w czasie przechowywania szczepionek należy zminimalizować ich ekspozycję na światło słoneczne i ultrafioletowe. Pojemniki termiczne mogą być wykorzystywane jako tymczasowe lodówki, pod warunkiem że są regularnie wypełniane suchym lodem.

Co z tym lodem w Polsce? Zdaniem resortu zdrowia za monitoring temperatury przechowywania szczepionki oraz nadzór nad przechowywaniem po rozmrożeniu odpowiada personel punktów szczepień. Placówki mają być wyposażone w lodówki (2-8 st. C). „Personel punktów szczepień wie, jakie są zasady przechowywania szczepionek, wie także, że musi być zapasowe miejsce przechowywania na wypadek awarii czy braku prądu. To są normalne procedury operacyjne obowiązujące w placówkach zdrowia”, informuje

biuro prasowe ministerstwa. Odpowiadają także hurtownie, przychodnie czy magazyn ARM.

Strażacy i wojsko transportują szczepionki

Przez pierwsze 10 dni zaszczepiliśmy nieco ponad 90 tys. osób. To 40 razy wolniejsze tempo, niż ma Izrael, 10 razy wolniejsze niż USA. Co więc zrobiono, aby się przygotować do akcji? Może należało przeciwczyć zgłaszanie ludzi do szczepień, zbieranie wywiadu, kwalifikowanie, tworzenie kolejki? Niechby szpitale przez dwa miesiące składały fikcyjne zamówienia, niechby auta przywoziły niby-szczepionkę. Wtedy zapewne wysłaby część niedociągnięć, choćby to, że Agencja Rezerw Materiałowych nie może raz w tygodniu wysyłać szczepionek, które mają pięciodniowy okres ważności, bo punkty szczepień przez dwa dni są zamknięte. Oraz to, że potrzebna jest lepsza komunikacja między szpitalami a agencją, bo dziś widać blokadę.

A tak w ogóle, czy ARM, odpowiadająca za transport i logistykę, ma odpowiednie przygotowanie do opracowania procedury transportu, przechowywania i podawania szczepionki? Główny Inspektorat Farmaceutyczny kontroluje hurtownie farmaceutyczne, weryfikuje, czy przestrzegają one zasad Dobrej Praktyki Dystrybucyjnej. Dopóki więc szczepionka jest w rękach hurtowni, ▶

Jak to robią inni?

Niemal na całym świecie słychać narzekanie na tempo szczepień. Bo co z tego, że w Wielkiej Brytanii jest zaszczepionych ponad 1 mln ludzi, skoro liczy ona ponad 70 mln mieszkańców? Już 8 grudnia Brytyjczycy zaczęli szczepić preparatem Pfizer/BioNTech. 4 stycznia wszedł u nich do użytku preparat firmy AstraZeneca. Można go przechowywać w zwykłych lodówkach, co redukuje trudności logistyczne. Wszyscy dotychczas zaszczepieni muszą otrzymać drugą dawkę preparatu. Jednak rząd Wielkiej Brytanii chce podać pierwszą dawkę maksymalnej liczbie osób. Urzędnicy z Public Health England rozważają podawanie w drugiej dawce preparatów innych firm. Ten pomysł krytykuje m.in. prof. John Moore, wirusolog z amerykańskiego Cornell University, który uważa, że brytyjscy urzędnicy stawiają formalności ponad naukę. Według amerykańskiej agencji CDC szczepionki przeciwko COVID-19 nie są zamienne i nie ma danych na temat skuteczności wymieszanych ze sobą preparatów. Jeśli jednak Wielka Brytania nie zdoła szczepić 2 mln osób tygodniowo, nie uniknie trzeciej fali epidemii – twierdzą specjaliści z Londyńskiej Szkoły Higieny i Medycyny Tropicznej.

W Izraelu do końca 2020 r. zaszczepiono około miliona osób, 12% populacji. Dziennie szczepionych jest nawet 150 tys. osób, co daje najlepsze tempo szczepień na świecie (szerzej piszemy o tym na s. 12).

W 83-milionowych Niemczech do 2 stycznia zaszczepiono zaledwie 160 tys. obywateli. Mimo szumnych zapowiedzi podania 4 mln dawek do końca stycznia, utworzono zaledwie 400 punktów szczepień.

Najgorzej system szczepień działa w Stanach Zjednoczonych. Tam starsi ludzie stoją w olbrzymich kolejkach, natomiast zamożni, np. celebryci z Hollywood, próbują się wypychać bez kolejki. Mówią, że pieniądze nie grają roli. W zamian za wczesne otrzymanie szczepionki pacjent zaoferował 25 tys. dol. dla szpitala prowadzonego przez opiekującego się nim lekarza.

Dane z platformy ourworldindata.org pokazują, że do 5 stycznia 2021 r. na świecie zaszczepiło się 4,67 mln osób. Większość krajów w Europie jest daleko za Izraelem. Polska nie odstaje od niskiej średniej światowej.

► jest spokój. Co jednak dzieje się później? Co prawda odstępstwo od warunków transportu i przechowywania nie sprawi, że szczepionka stanie się szkodliwa, ale może być nieskuteczna.

Dotychczas ARM nie przedstawiła szczegółowego planu logistycznego. Nie wiemy, ile hurtowni farmaceutycznych bierze udział w programie, kto dostarcza szczepionki z hurtowni do punktów szczepień. W Narodowym Programie Szczepień czytamy: „W celu zabezpieczenia profesjonalnego i bezpiecznego procesu logistycznego zidentyfikowano szereg podmiotów – instytucji publicznych (Agencję Rezerw Materiałowych, Wojsko Polskie, Państwową Straż Pożarną) oraz komercyjnych, a także spółek Skarbu Państwa. Proces przechowywania oraz transportu będzie przebiegał zgodnie z rozporządzeniem ministra zdrowia z 13 marca 2015 r. w sprawie Dobrej Praktyki Dystrybucyjnej”. Czy jednak na pewno strażacy i wojsko wiedzą, jak transportować szczepionki o tak specyficznych wymaganiach? W programie czytamy jedynie, że proces będzie szczegółowo monitorowany i nadzorowany, aby ograniczyć ewentualne problemy z dostawami, a także ryzyko zniszczenia szczepionek. Nie dowiadujemy się jednak, w jaki sposób ów monitoring ma się odbywać.

Pewnie za tydzień, miesiąc czy kwartał na wierzch wyjdzie mnóstwo drobnych błędów, które – a jakże – naprawimy. Gdybyśmy jednak do akcji szczepień porządnie się przygotowali, szczepienie szłoby szybciej.



Szczepienie w Szpitalu Morskim im. PCK w Gdyni.

Obecny wzór prędkości, Izrael, przygotowywał się od lipca. Nasz rząd jednak wtedy walczył z LGBT.

Centralizacja kontra odpowiedzialność

Zdaniem dr. Jerzego Friedigera, dyrektora Szpitala Specjalistycznego im. Stefana Żeromskiego w Krakowie, ze szczepionek niepotrzebnie zrobił się temat medialno-polityczny, a powinien być to problem wyłącznie medyczny. Bo na tym polu są pewne

zastrzeżenia. – Na przykład dostaliśmy 16-milimetrowe igły. Przy zastrzyku domięśniowym igła powinna mieć co najmniej 20 mm, ale to są utrudnienia, które zapewne szybko znikną. Druga rzecz – według charakterystyki produktu leczniczego z jednej fiolki powinniśmy otrzymać pięć dawek szczepionki. Według wytycznych ministra zdrowia mamy używać ich sześć. W naszym przypadku nie stanowi to problemu, ponieważ preparaty przygotowuje szpitalna apteka – tłumaczy Friediger.

Warto zauważyć, że podanie sześciu dawek z jednej fiolki dopuszcza się w USA i w Wielkiej Brytanii. Europejska Agencja Leków pracuje nad oficjalną zmianą wytycznych producenta, ale do tego potrzebna jest również jego akceptacja.

– Nie wiem do końca, jak system szczepień w Polsce jest zorganizowany, ale z tego, co podają media, jest ogromnie scentralizowany: wszystko jest dystrybuowane z Agencji Rezerw Materiałowych. Czy tak powinno być, czy szczepionki nie powinny trafiać od razu do placówek samorządowych? – zastanawia się prof. Krystyna Bieńkowska-Szewczyk, wirusolog z Uniwersytetu Gdańskiego. – W wielkich miastach szczepienia mogłyby się odbywać na wielką skalę na stadionach, w halach, które już zostały zamienione w szpitale tymczasowe. Mam nadzieję, że system dopiero się rozkręca, bo dobrze nie jest. Nie wiemy, kto jest upoważniony do sprawnej dystrybucji szczepionek. Na razie nikt z moich znajomych nie został zaszczepiony i nie otrzymał indywidualnego powiadomienia, że ma się

Szczepionkowe abecadło

Od 15 stycznia będzie można zapisać się na szczepienie za pośrednictwem infolinii, Internetowego Konta Pacjenta lub wizyty w POZ czy w punkcie szczepień. Dzień przed pierwszym i drugim szczepieniem pacjent powinien otrzymać SMS z przypomnieniem o terminie i miejscu wizyty. Po drugim szczepieniu uzyska potwierdzenie zaszczepienia. Szczepienia grupy I, m.in. pensionariuszy domów pomocy społecznej, osób powyżej 60 lat, służb mundurowych i nauczycieli, mają się rozpocząć 25 stycznia.

Ważnym elementem procesu szczepień będzie indywidualne zaproszenie (e-skierowanie) ważne 60 dni od dnia wystawienia. Zaproszenia generowane automatycznie w systemie P1 – Elektroniczna Platforma Gromadzenia, Analizy i Udostępniania zasobów cyfrowych o Zdarzeniach Medycznych – zgodnie z kolejnością szczepień dla określonych grup wiekowych,

zawodowych. Ponadto lekarze będą mogli wystawić dla pacjenta indywidualne e-skierowania (np. dla osoby nieposiadającej numeru PESEL czy dla osoby, która nie mogła poddać się szczepieniu w okresie ważności pierwszego e-skierowania). Umówienie się na szczepienie nie będzie wymagało posiadania numeru e-skierowania, wystarczające będzie podanie swoich danych osobowych (system e-Rejestracji będzie zintegrowany z systemem P1, co umożliwi automatyczną weryfikację ważności e-skierowania).

15 grudnia ruszyła specjalna strona internetowa <https://www.gov.pl/web/szczepimysie>, gdzie znajdują się kompleksowe i sprawdzone informacje na temat szczepionki. Działa również bezpłatna, całodobowa infolinia Narodowego Programu Szczepień przeciw COVID-19, dostępna pod numerem 989.

Źródło: Ministerstwo Zdrowia

gdzieś zgłosić. Lekarze obawiają się, że ludzie nie będą w terminie zgłaszać się po drugą dawkę. Jednak zapewne wszyscy będą chcieli być dobrze chronieni. Chciałabym widzieć rozpisany plan, kto, kiedy, gdzie ma być szczepiony. Na razie go nie ma. W tej chwili ludzie mniej się boją szczepionki, raczej wszyscy na nią czekają. Wydaje się wręcz, że szczepionek jest za mało, że większość z nas będzie na nie czekać wiele miesięcy.

Sytuację sarkastycznie spuentował Paweł Łęcki, nauczyciel języka polskiego z Sopotu, który ma 46 tys. obserwujących na Facebooku. „Biorąc pod uwagę ustalenia Adama Niedzielskiego i Michała Dworczyka, tempo szczepień, liczbę szczepionek i stopień ogarnięcia tematu przez rząd, który nawet dobrze nie wie, ilu jest seniorów w kraju, należy przyjąć, że nauczyciele

Prof. Bolestaw Samoliński, alergolog, specjalista zdrowia publicznego: – Jako lekarz zaszczepiłbym na każdym etapie każdego, kto tylko do mnie by się zgłosił. Natomiast obowiązuje nas rozporządzenie ministra.

Jarosław Katulski, dyrektor Szpitala Tucholskiego: – Jedyną odpowiedzią rządu na bolączki systemu jest grillowanie tematu 18 znanych osób, które zaszczepiły się poza kolejnością. Nieważne, że organizacja szczepień jest fatalna i bardzo źle rokuje.

Gdy trwa ten wielki zamęt wokół celebrytów, na posiedzeniu sejmowej Komisji Zdrowia minister Dworczyk deklaruje, że każdy punkt szczepień może sobie robić listy rezerwowe na własnych zasadach. Czyli tak, jak to zrobił WUM. Na tym samym posiedzeniu mówi, że nauczyciele nie mają szans na

ma być szczepiona po pracownikach służby medycznej. Na dodatek rzecznik rządu przyznał, że będzie dobrze, jeśli do końca pierwszego półrocza uda się zaszczepić 7 mln Polaków. To kropla w morzu – póki nie zaszczepimy ponad połowy populacji, nie wrócimy do rzeczywistości sprzed pandemii.

Mało to wszystko optymistyczne.

Beata Igielska
Współpraca Kornel Wawrzyniak
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl;
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Dostaliśmy 16-milimetrowe igły. Przy zastrzyku domięśniowym igła powinna mieć co najmniej 20 mm.

zostaną zaszczepieni w 2077 r. i przy okazji zostaną reklamą gry Cyberpunk. Wtedy mniej więcej zakończy się również edukacja zdalna”.

Bitwa o celebrytów

Z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego wyciekło kilkanaście nazwisk artystów, dziennikarzy i polityków, którzy już dostali szczepionkę: Krystyna Janda, Maria Seweryn, Andrzej Seweryn, Wiktor Zborowski, Olgierd Łukasiewicz, Krzysztof Matera, Michał Bajor, Emilia Krakowska, Grzegorz Warchoń, Edward Miszczak, Leszek Miller. Pełna lista 18 osób zaszczepionych poza kolejnością nie została upubliczniona. W internecie rozlała się fala hejtu.

Komisja powołana przez rektora WUM do wyjaśnienia nieprawidłowości ustaliła, że szczepienia były zorganizowane pod presją czasu w okresie świąteczno-noworocznym. Jednak „CM WUM nie dopełniło akcji informacyjnej w społeczności WUM, wśród pracowników szpitali klinicznych, pracowników administracyjnych i studentów WUM”. Przewodnicząca spółki CM WUM straciła stanowisko, choć wszystko wskazuje na to, że miała dobre intencje. Miał być przygotowany spot reklamowy, ale nie ma na to papierów.

szczepienia w I kwartale tego roku. Ze wstępnych wyliczeń wynika, że są małe szanse na otrzymanie szczepionki przed końcem roku szkolnego. Skandal nie wybucha.

Minister zdrowia Adam Niedzielski nałożył na WUM 250 tys. zł kary za szczepienia poza kolejnością. Równym pośpiechem i nieustępliwością rząd nie wykazał się ani w przypadku ministra Łukasza Szumowskiego, ani wicepremiera Jacka Sasina, choć zmarnowali ogromne kwoty.

Jaki będzie „efekt Jandy”? Szczepić się pójda nawet ci, którzy nie mieli takiego zamiaru. Bo skoro „celebryci” mogą, czemu nie możemy my?

Polak odporny na covid w 2023?

Skoro miesięcznie będzie się szczepić milion Polaków, młodzi doczekają tego około marca 2023 r. Pod warunkiem, że nie pojawią się kolejne kłopoty z matematyką. Bo te w wydaniu prof. Andrzeja Horbana, doradcy premiera ds. walki z epidemią, są zdumiewające. Oto powiedział on, że w Polsce jest ok. 2 mln osób w wieku 60 plus. Według danych GUS jest ich ponad 9,7 mln. Taka drobna pomyłka.

Jarosław Katulski, dyrektor Szpitala Tucholskiego: – Nie rozumiem, jak rząd nie doliczył się prawie 8 mln obywateli z grupy pierwszej, która

Zielony paszport dla Izraela

Do końca stycznia ma zostać zaszczepionych
2 mln z 9 mln mieszkańców

Jakub Katulski

Od kilku tygodni Izraelczycy są w stanie zbliżonym do zbiorowej euforii. Wszystko za sprawą skutecznej kampanii szczepień, która ma na celu wyciągnąć kraj z pandemii. Mieszkańcy ochoczo rejestrują się w punktach szczepień, by dostać szczepionkę wyprodukowaną przez Pfizer-BioNTech. Tym samym Izrael bardzo wyprzedza inne kraje w wyścigu o zdrowie.

Od 19 grudnia do 5 stycznia udało się aplikować codziennie ok. 150 tys. dawek szczepionki i zapewnić odporność niemal 16% populacji kraju zamieszanego przez 9 mln osób. To największy odsetek na świecie i prawie dwukrotnie więcej niż w zajmujących drugie miejsce i podobnie zaludnionych Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Do końca stycznia dwie dawki szczepionki mają otrzymać 2 mln mieszkańców Izraela. Te liczby przypominają o zawrót głowy, zwłaszcza jeśli porównać je z krajami Europy, w których szczepionkę dostał jedynie niewielki odsetek populacji.

Izrael płaci ok. 30 dol. za dawkę, podczas gdy Unia Europejska 12 euro za szczepionkę Pfizera i 18 euro za preparat Moderny.

Z pewnością przyczyniła się do tego sprawna organizacja rejestracji i punktów szczepień, za co odpowiedzialne są powszechnie dostępne kasy chorych Clalit, Maccabi, Leumit i Meuhedet. Ministerstwo Zdrowia od początku zapewniało, że szczepionek nie zabraknie. Rząd negocjował dostawy nie tylko z Pfizerem, ale również z Moderną, której produkt miał się pojawić w kraju dopiero w marcu, ale dzięki staraniom premiera Benjamina Netanjahu pierwsze dawki trafią do pacjentów jeszcze w tym miesiącu. Kraj nie zamknął się także na rosyjską szczepionkę Sputnik V i jeszcze w listopadzie ubiegłego roku jeden z największych kompleksów szpitalnych Izraela, Centrum Medyczne

Hadassah w Jerozolimie, zapowiadał, że stanie się „regionalnym węzłem dystrybucji tej szczepionki”.

Izrael zdecydował się też na zapłacenie o wiele wyższej kwoty za szczepionki, porównując do cen, które płaci Unia Europejska. Agencja Reutersa dotarła do informacji, że Izrael płaci ok. 30 dol. za dawkę, podczas gdy z cennika ujawnionego w połowie grudnia przez belgijską sekretarz stanu ds. budżetu Evę De Bleeker wynika, że Unia Europejska płaci 12 euro za dawkę szczepionki Pfizera i 18 euro za preparat Moderny. Minister zdrowia Izraela Yuli Edelstein stwierdził, że uwolnienie krajowej gospodarki od kolejnych ograniczeń usprawiedliwia wszelkie dodatkowe koszty, które rząd musi ponieść, by zapewnić odporność obywatelom.

Wzywali ludzi na stadion

Ale sama organizacja to nie wszystko, bo nawet najlepiej zaplanowany program szczepień nie odniósłby sukcesu bez nastawienia obywateli. Tutaj właśnie należy dopatrywać się

źródeł sukcesu. Wszystko zaczęło się od zaszczepienia premiera Netanjahu, który jako pierwszy Izraelczyk otrzymał preparat Pfizera, a cały zabieg transmitowany był na żywo z centrum medycznego Sheba w Ramat Gan w telewizji i internecie. Zastrzyk zaaplikował osobisty lekarz premiera, który następnego dnia podał do publicznej wiadomości, że Bibi czuje się dobrze i nie doświadcza żadnych skutków ubocznych. Krótko po Netanjahu zaszczepił się także minister zdrowia, Yuli Edelstein.

Niektórym widzom nie spodobał się taki pokaz, o czym mogą świadczyć komentarze w internecie krykujące premiera czy też przywołujące rozmaite teorie spiskowe na temat

rzeczywistego składu zaaplikowanego Bibiemu zastrzyku. To jednak nie powstrzymało Izraelczyków przed ustawieniem się w rzeczywistych i wirtualnych kolejkach po szczepionki. Jedną z takich osób jest Nadav Levy, mieszkający i pracujący w Krakowie, który zdecydował się na podróż do rodzinnej Beer Szewy, gdy tylko dowiedział się o możliwości uzyskania odporności. Tym bardziej że polski Narodowy Program Szczepień nie ujawnia, kiedy przysługiwałoby mu szczepienie w naszym kraju.

Nadav, choć nie jest fanem premiera Netanjahu, uznał, że fakt zaszczepienia szefa rządu jest wystarczającym powodem, by nie obawiać się zastrzyku. – W Izraelu ufamy naszemu systemowi i nie wierzymy zbyt w teorie spiskowe. Kiedy widzisz, że szczepionkę przyjmują ministrowie i wiele innych ważnych osób, to po prostu idziesz ją wziąć.

Nadav chwali również organizację szczepień, po tym jak bez rejestracji otrzymał swoją dawkę. – Wzywali ludzi na stadion koszykarski Kunchija w Beer Szewie. Wygląda na to, że zostały nadprogramowe dawki i zamiast je wyrzucać, postanowili zaszczepić dodatkowe osoby. Kiedy tam przyjechałem, na swoją kolejkę czekało ok. 300 osób. Wszystko jednak poszło sprawnie i nie musiałem długo czekać. Pielęgniarka poinformowała mnie, że mają wolne 1000 dawek i wszyscy przybyli zostaną zaszczepieni.

W moim otoczeniu nikt nie mówi, że się nie zaszczepi

Nawet ci, którzy musieli się zarejestrować po swoją dawkę, nie narzekają na system. Mieszkająca w południowej części kraju, na północy od Tel Awiwu nadmorskiej Netanji Lara Kassoff zdecydowała się zaszczepić w oddalonej o pół godziny jazdy samochodem Kfar Sabie. – Mogłam się zapisać na szczepienie za trzy dni. W Netanji musiałabym czekać około tygodnia.



Szczepienia są organizowane przez powszechnie dostępne kasy chorych.

Rejestrowałam się przez stronę internetową mojej kasy chorych. Cały zabieg wraz z oczekiwaniem trwał około 30-40 minut. Mój mąż, z którym przyjechałam, nie był zarejestrowany, ale kiedy tam się znaleźliśmy, dowiedział się, że też może dostać zastrzyk. To było bardzo dobre doświadczenie, jestem pod wrażeniem.

Lara pochodzi ze Stanów Zjednoczonych, gdzie wciąż mieszka jej rodzina. Porównując dzisiejszą sytuację w Izraelu do USA, mówi, że Stany są pod tym względem o wiele gorzej zorganizowane. – Mój tata jest lekarzem z wieloletnim doświadczeniem i miał ogromny problem ze zdobyciem szczepionki. Nigdzie nie mógł uzyskać informacji, a kiedy telefonował do klinik, dowiadywał się, że nie ma wolnych terminów. W Izraelu wcale nie musiałby się starać.

Równie dobre wrażenie o szczepieniach ma mieszkająca w Jerozolimie Barbara Messer. – Szczepiłam się w szpitalu Herzla. Byłam przekonana, że spędzę tam kilka godzin. Wysłam po 15 minutach. Następnego dnia po zastrzyku trochę bolała mnie ręka, ale czuję się dobrze.

Barbara jest wolontariuszką w Izraelskim Centrum Leczenia Stresu Pourazowego powiązanym z jerozolimskim szpitalem Herzoga. Zaangażowała się w projekt udzielania pomocy psychologicznej byłym żołnierzom jednostek bojowych

izraelskiej armii. Wraz z innymi pracownikami biurowymi centrum mogła dostać zastrzyk, choć nie jest obywatelką Izraela i nie jest przypisana do żadnej z kas chorych zajmujących się dystrybucją szczepień. Jest zdziwiona, kiedy mówię jej, że w Polsce do głosu dochodzą tendencje antyszczepionkowe, i przytaczam grudniowy sondaż IBRiS, z którego wynika, że niemal połowa Polaków nie zamierza się zaszczepić.

– Znam tylko jedną osobę, która mówi, że poczeka kilka tygodni, żeby zobaczyć, jak się czują ludzie po szczepieniu. Jak wszyscy się zaszczepią, to

Prawdopodobnie wylegitymowania się szczepieniem będą wymagały punkty usługowe, hotele, restauracje i obiekty sportowe.

ona też. W moim otoczeniu nikt nie mówi, że się nie zaszczepi. Nie spotykam się w ogóle z taką opinią. Dopiero niedawno spotkałam się z przyjaciółką, Amerykanką, która stara się o izraelskie obywatelstwo. Jest pierwszą osobą, od której słyszę, że wcale się nie zaszczepi.

Lara również nie zna wielu takich osób, choć po chwili zastanowienia przypomina sobie, że nauczycielka w przedszkolu jej dziecka powiedziała, że nie chce szczepionki, bo covid jest zwykłą grypą.

Podobnie o antyszczepionkach mówi Nadav, zbywając obawy sceptyków półzartem. – Kiedy ludzie wybierają się w podróż do Indii,

to przyjmują około ośmiu różnych szczepionek. W klubach wciągają do nosa kreski i nawet nie wiedzą, co biorą. I co? Teraz nie chcą przyjąć zastrzyku, bo jego stworzenie zajęło rok zamiast trzech? Mam kilku znajomych, którzy chcą przeczekać pierwszą falę szczepień i później zobaczyć, co się będzie działo. Ale w Izraelu nie ma wielu ludzi, którzy mówią, że się nie zaszczepią wcale.

Na koncert po szczepionce

Mimo zaawansowanego programu szczepień, rząd podjął decyzję o wprowadzeniu kolejnych restrykcji. Obecnie Izraelczycy nie mogą odwiedzać się w domach czy oddalać od swoich mieszkań dalej niż o kilometr (z wyjątkiem określonych sytuacji, takich jak uzyskanie szczepionki). Do tej listy ma dojść kolejne zamknięcie szkół czy wszelkich biznesów, które nie są konieczne do funkcjonowania państwa. I to na kolejne dwa tygodnie. Zmęczeni taką gospodarką Izraelczycy z wielką chęcią będą się szczepić. Zwłaszcza że uzyskanie drugiej dawki wiąże się z otrzymaniem tzw. zielonego paszportu – dokumentu potwierdzającego odporność.

Posiadacz paszportu miałby według Ministerstwa Zdrowia na pół roku uzyskać pełen dostęp do wydarzeń kulturalnych i sportowych, a także różnego rodzaju zgromadzeń. Prawdopodobnie wylegitymowania się zielonym paszportem będą

w przyszłości wymagały punkty usługowe, hotele, restauracje i obiekty sportowe, ale osoby niezaszczepione nadal będą mogły korzystać ze szkół, transportu publicznego czy miejsc kultu religijnego. Wszystko po to, by Izrael mógł wrócić do normalności już na koniec marca. Jeśli do tego czasu kraj osiągnie odporność stałą, co według Ministerstwa Zdrowia oznacza zaszczepienie 70% populacji, to Izraelczycy będą mogli się odwiedzać już w święto Pesach. Dla społeczeństwa, które – tak jak izraelskie – przyzwyczajone jest do życia w relatywnie niewielkim dystansie społecznym, zdaje się to wystarczającą motywacją. ■

Anna Brzeska

– Szczepiłaś się w końcu na tę grypę? – pytam koleżankę, zdecydowaną zwolenniczkę szczepień, która od kilku lat zabezpiecza siebie i dzieci przed tą chorobą. Gdy rozmawiałyśmy o tym we wrześniu, martwiła się, że w tym roku nic z tego nie będzie.

– Nie. - odpowiada.

– Dlaczego?

– Bo nie udało mi się kupić szczepionki. Dzwoniłam do kilku aptek, a zawsze gdy jestem w aptece, sprawdzam. Pytałam też żonę kuzyna, która jest farmaceutką – bez skutku. A potem się poddałam.

Jak to? Przecież 17 września wiceminister zdrowia Waldemar Kraska, obserwując wzmożoną falę zainteresowania szczepieniami przeciwko grypie – do których zachęcali w mediach eksperci – mówił w Polskim Radiu 24: „Każdy, kto będzie chciał się zaszczepić przeciwko grypie, na pewno tę szczepionkę otrzyma”.

Dzień później podczas konferencji prasowej minister zdrowia Adam Niedzielski poinformował, że efektem rozmów strony publicznej z producentami ma być sprowadzenie do Polski ponad 2,5 mln szczepionek – szef resortu nie chciał podać dokładnej liczby. Zapowiedział też, że wyszczepialność ma być dwukrotnie wyższa niż w poprzednim roku.

Obiecanki cacanki

Czy tak się stało? Z oficjalnych danych Państwowego Zakładu Higieny-Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego wynika, że w poprzednim sezonie grypowym szczepiło się 4,12% Polaków. To oznacza, że aby nader optymistyczne przewidywania pana ministra mogły się spełnić, do Polski musiałoby trafić ponad 3 mln szczepionek.

Tymczasem, jak informuje mnie pani z Biura Ogólnopolskiego Programu Zwalczania Grypy, do tej pory udało się sprowadzić do Polski ok. 2 mln dawek – ale „według informacji OPZG szczepionki mogą pojawić się jeszcze w styczniu w sprzedaży w aptekach, ponieważ szczyt zachorowań na grypę wypada między styczniem a marcem”. Dopytuję, czy będzie to przynajmniej te obiecane pół miliona, skoro pan minister we

Grypowa katastrofa

Systemowo gwarantowanych szczepionek nie doczekali się nawet seniorzy



wrześniu zapowiadał ponad 2,5 mln. Odpowiedź: „Zapewne nie będzie to 500 tys. sztuk”. Pani zaznacza, że biuro nie ma informacji, czy MZ ma jeszcze jakieś rezerwy i jak duże one są. Możemy przybić sobie piątkę – też nie wiem. MZ nie odpisało mi oczywiście na mejl, w którym pytałam, ile

o refundowane szczepionki dla dorosłych, producenci zgodnie ze swoimi deklaracjami zakończyli dostawy, więc nie pojawiały się w aptekach. Apteki będą raczej ostrożne z przyjmowaniem dostaw po Nowym Roku, nawet gdyby szczepionki się pojawiły. Doświadczenie z ubiegłego roku

Na portalu gdziepolek.pl widzimy, że szczepionki na grypę dla dorosłych są dostępne (teoretycznie) w 1% aptek.

szczepionek w końcu udało się kupić i ile może jeszcze trafić do Polski.

Z kolei 27 grudnia Michał Dworczyk, szef KPRM, beztrąsko pochwalił się w „Faktach po Faktach”, że „dzisiaj nie ma problemu z brakiem tych szczepionek”.

Słowa ministra Dworczyka mijają się z rzeczywistością. Na portalu gdziepolek.pl widzimy, że szczepionki przeciw grypie – dla dorosłych – są dostępne (teoretycznie) w 1% aptek. Lepiej jest tylko z donosową szczepionką dla dzieci – ma ją ok. 31% aptek.

Czy jest jeszcze szansa?

Bartłomiej Owczarek z portalu gdziepolek.pl: – Niestety, jeśli chodzi

pokazuje bowiem, że dostarczone zbyt późno szczepionki mogą się zżarować – nawet 50% naszych aptek miało w sierpniu 2020 r. stare szczepionki, które trzeba było oddać do utylizacji.

Sprawdzam dostępność szczepionek na gdziepolek.pl. Poza wspomnianą szczepionką donosową dla dzieci najwięcej jest preparatów Influvac Tetra – ma je 2% aptek w Polsce.

Nie chcąc uogólniać, że „2% to właściwie nigdzie”, szukam dalej. Wyszukiwarka automatycznie określa moje miejsce zamieszkania (wieś w jednym z podwarszawskich południowo-zachodnich powiatów) i wskazuje, że w moim regionie pojedyncze sztuki dostępne są w ośmiu aptekach. Radość trwa

krótco – ów region to spory obszar. Najbliższa apteka, gdzie teoretycznie mogę zarezerwować jedną sztukę, znajduje się w miejscowości oddalonej o ponad 20 km. To nie tak daleko. Dzwonię, jednak dowiaduję się, że byłabym czwarta w kolejce po jedyną dostępną dawkę, pani jeszcze nie zdążyła wycofać jej z systemu wyszukiwarki.

Do kolejnej apteki z listy musiałabym jechać 80 km. Dalsze miejsca to już apteki oddalone o więcej niż

bo jej mama, lekarka, zdobyła też dla niego. Mama dwa miesiące czekała zapisana w aptece i nadal była dwieście któraś na liście. My nawet nie zostaliśmy zapisani. Mając 350 osób na liście, apteka przestała prowadzić zapisy”.

„Mój instruktor prawa jazdy zaszczerpił się, bo w tej miejscowości wszyscy go znają – chyba połowa mieszkańców od lat 90. robi u niego prawko. Poszedł do apteki i nie było, ale farmaceuta dzwonił do kolejnej

Postów w internetowej grupie nie wolno traktować jako badania czy ankiety – ostatecznie części z nas udało się zapewne zaszczepić bezproblemowo. Wymownie brzmią jednak wypowiedzi osób pracujących w aptekach.

Systemowo gwarantowanych szczepionek (100-procentowej refundacji dla osób powyżej 75. roku życia, a 50-procentowej dla osób mających 65 lat i więcej) nie doczekali się w Polsce nawet seniorzy. Wyjątek stanowili mieszkańcy gmin – według dr. Michała Sutkowskiego, prezesa Warszawskich Lekarzy Rodzinnych, rzecznika prasowego Kolegium Lekarzy Rodzinnych w Polsce – nielicznych,

które zawarły umowy z placówkami POZ i zadbały o szczepionki dla swoich starszych mieszkańców.

Bartłomiej Owczarek sugeruje, że w niektórych gabinetach POZ pozostały natomiast nadmiarowe szczepionki z puli „dla medyków”: – Mogą nimi zaszczepić przynajmniej seniorów. Niestety, nie mamy informacji z POZ o stanach ani o tym, czy doliczają one opłatę za samo szczepienie. Można zadzwonić do swojego POZ i zapytać.

Czy inne osoby również mogłyby liczyć na szczepienie z niewykorzystanych zapasów w ośrodkach zdrowia? Może te mogłyby znów trafić „do obiegu” przez apteki?

Pani z Biura Ogólnopolskiego Programu Zwalczania Grypy pozbawia mnie złudzeń: – Szczepionki są dystrybuowane zarówno do aptek, jak i przychodni. Zwykle te partie,

Dostarczone za późno szczepionki mogą się zmarnować – nawet 50% aptek miało w sierpniu ub.r. stare szczepionki, do utylizacji.

100 km od mojego domu. Sprawdzam jeszcze w wyszukiwarce największe miasta w różnych regionach kraju – Warszawa, Kraków, Łódź, Poznań, Lublin itd. W żadnej aptece nie ma ani jednej sztuki.

W jaki sposób, słysząc niepokrywające się z rzeczywistością obietnice dotyczące szczepień na gripę, mamy wierzyć w zapowiedzi ministrów w sprawie szczepionki przeciw koronawirusowi?

Jak małe fiaty w 1973

Minister Dworczyk w TVN przyznał wprawdzie, że „w pewnym momencie był ze szczepionkami poważny problem”, ale użył czasu przeszłego. Ja jednak nie mogę jakoś przejść do porządku dziennego nad tym, że popularne w Europie szczepionki u nas są towarami reglamentowanymi.

W dużej grupie w mediach społecznościowych pytam o to, jak udało się zaszczepić jej użytkownikom. Odpisuje mi kilkadziesiąt osób, zdecydowanie przeważają odpowiedzi tych, którzy szczepili się dzięki pakietom w prywatnych sieciach, takich jak LUX MED czy Enel-med, pracownicy sektora ochrony zdrowia oraz firm z innych branż, które zdobyły szczepionki dla swoich ludzi. Druga grupa – podobnie liczna – to „szczepieni spod lady” lub ci, którym preparaty skądś wytrasnęła rodzina czy znajomi.

„Moja mama dostała szczepionkę od swojego brata, który nie wiem jakim cudem dostał dla swojej rodziny. Ale jeden z jego synów zaszczepił się u swojej dziewczyny,

i tak głuchy telefon trwał tydzień po tygodniu. Dostał szczepionkę. Było ich chyba dziesięć na cały powiat”.

„Kilka tygodni monitorowaliśmy – na ktomalek.pl i gdziekolwiek.pl – apteki w promieniu 50 km. Udało się kupić w mieście oddalonym od nas o ponad 30 km. Drugą już u nas, ale była to jakaś szczepionka widmo. Zarezerwowaliśmy ją telefonicznie, na miejscu zaś farmaceutki stwierdziły, że nie mają. Pół apteki jej szukało. Okazało się, że była zapłataną między innymi szczepionkami w lodówce, dlatego się uchowała”.

„Polowałam na szczepionki od września, zdobyłam pod koniec listopada. Miałam zapisane w telefonie numery PESEL i kody recept rodziców, dziecka i własny, chodziłam po aptekach, pytałam i pytałam. Udało się, ale to była droga przez mękę”.

Polowałam na szczepionki od września, zdobyłam pod koniec listopada. To była droga przez mękę.

„Moje doświadczenie z pracy: szczepionki zamawiane codziennie były reglamentowane, nigdy nie było wiadomo, ile nam dana hurtownia przyzna i czy w ogóle. Efekt taki, że raz na jakiś czas pojawiały się dwie-trzy sztuki i na pniu się rozchodziły”.

„Pracuję w aptece, w połowie września przyszły dwie sztuki. Oczywiście nie było ich już godzinę później. Od tej pory szczepionek nie widzieliśmy”.

Może trzy czy cztery osoby piszą, że bez trudu dostały szczepionkę w aptecę, choć udało się to dzięki zapisom lub rezerwacji.

które znajdują się w POZ, są w opakowaniu zbiorczym – i nie mogą trafić do komercyjnej sprzedaży, więc te szczepionki przeznaczone są tylko dla osób, które kwalifikują się do szczepień refundowanych.

Dr Michał Sutkowski radzi więc placówkom POZ, by jeśli rzeczywiście mają jakieś niewykorzystane zapasy i brakuje chętnych z grup, którym przyznano refundację, zgłosiły to do ministerstwa. Bartłomiej Owczarek dodaje, że opcją dla zdeterminowanych, którzy nie mają przyznanej refundacji, może być sprowadzona do Polski w ramach importu docelowego

► indyjska szczepionka VaxiFlu4: – Niestety, szczepionka ta jest nierefundowana, więc kosztuje 130-180 zł, konieczna jest na nią raczej nowa e-recepta, a z jej wypisaniem mają problemy lekarze. Co gorsza, jak ujawnia ekspert, jest dostępna jedynie w ok. 2% aptek, biorąc pod uwagę dane z systemu gdziepolek.pl.

Polacy mają to w nosie

Czy z medycznego punktu widzenia w ogóle jest jeszcze sens pytać o szczepionki? – Dopóki nie ma się grypy – tak – mówi dr Sutkowski. – Warto pamiętać, że zachorowań będzie w tym roku stosunkowo mało, dzięki lockdownowi, ale jeszcze w styczniu czy w lutym jest sens się szczepić, choć zdecydować się na to raczej pojedyncze osoby. Zawsze największy bum mamy na początku sezonu – we wrześniu czy październiku. W tym roku część tych chętnych osób „straciliśmy”. Jeśli nie dostały szczepionek jesienią, machnęły ręką i nie szukały ich już, nie dopytywały. Zainteresowanie spadło również dlatego, że szczepionek wciąż nie ma na rynku. Mimo wszystko warto jeszcze pytać w swojej aptece czy POZ, bo może rzeczywiście gdzieś tam są – choć ja nie mam takich informacji.

Dlaczego tak dużo osób odeszło od okienka z kwitkiem? Kto jest winny tej sytuacji?

– Wszyscy jesteśmy trochę winni – mówi dr Sutkowski. – Wyszczepialność przeciwko grypie jest w Polsce na dramatycznie niskim poziomie – nieco ponad 4%. Polski rząd musiał zgłosić zapotrzebowanie na szczepionki w okolicach lutego-marca 2020 r., kiedy nie wiadomo jeszcze, jak rozwinie się sprawa covidu. Prawdopodobnie później nie było już szans na to, by dostać więcej. Jeśli szczepilibyśmy się tak masowo jak Holendrzy, Irlandczycy czy Niemcy, gdzie robi to 60-70% społeczeństwa, na pewno w tym roku łatwiej byłoby nam uzyskać więcej szczepionek. Wielkość zamówień jest ustalana na podstawie dotychczasowego poziomu wyszczepialności. W 2019 r. sprowadzono ok. 1,6 mln, a i tak ok. 100 tys. się zmarnowało. Zatem teraz, jeśli idziemy do producenta, możemy dostać najwyżej dwa razy tyle szczepionek co w minionym roku, ale nie pięć razy tyle. Mam nadzieję, że ta sytuacja nauczy nas, żeby chcieć się szczepić. I rządzących, by zamawiali więcej w przyszłym roku.

Dlaczego się nie szczepimy?

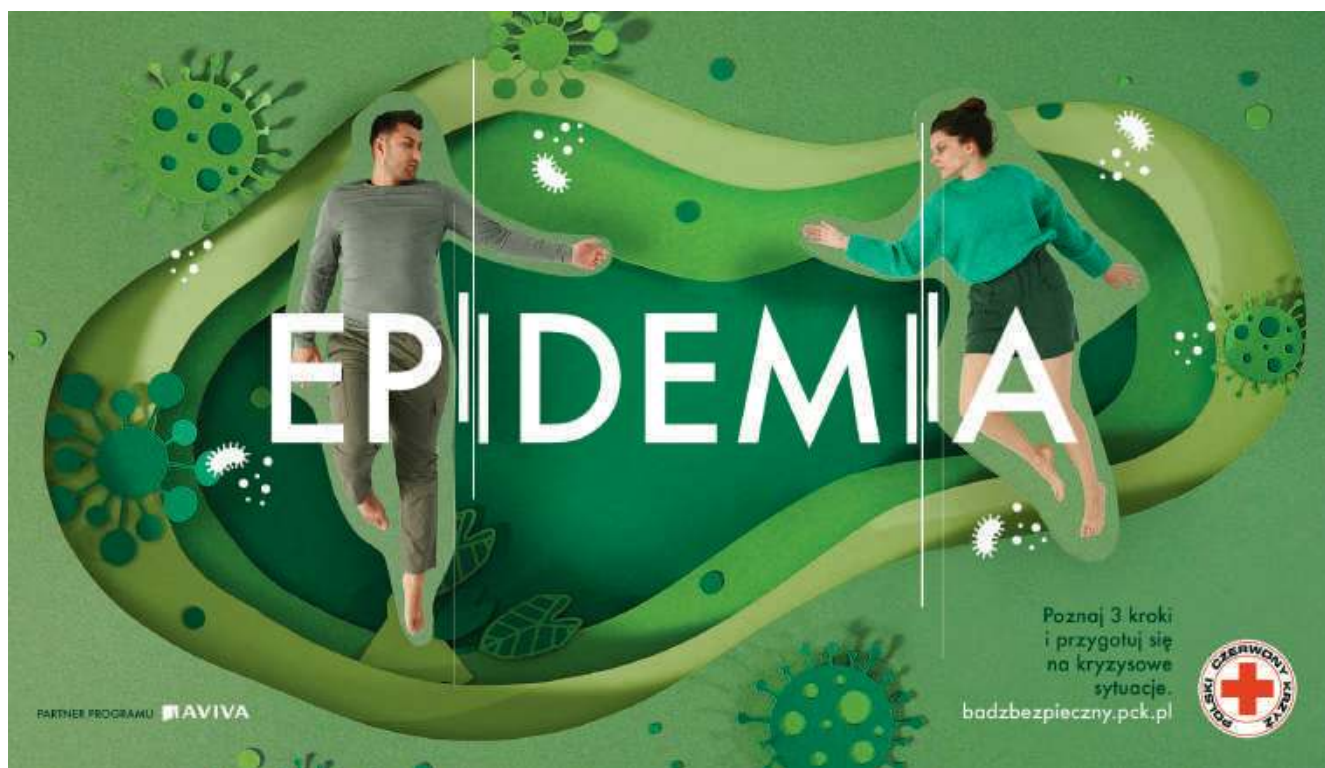
– Dużo by można mówić na ten temat, ale przede wszystkim jest to

wynik braku podstawowej wiedzy zdrowotnej w społeczeństwie. Zatem potrzebna jest edukacja – wyjaśnienia lekarz. – Gdybyśmy w jej ramach otrzymali podstawową wiedzę zdrowotną, wiedzielibyśmy, że to bardzo ważne. Polacy mają to jednak w nosie. My, jako lekarze, informujemy oczywiście pacjentów o takiej potrzebie, ale co z tego, skoro zaniebdania w systemowej edukacji zdrowotnej są ogromne? Skutkiem tego jest brak kultury epidemiologicznej i zdrowotnej.

Może więc wnioski z tej grypowej katastrofy powinniśmy wyciągnąć przede wszystkim w obszarze edukacji? Fatalna wyszczepialność przeciwko grypie, wysyp absurdalnych teorii spiskowych dotyczących szczepień covidowych czy choćby powszechny brak elementarnej wiedzy o celu noszenia maseczek pokazują, gdzie jest pies pogrzebany. Obecny rząd nie zrobił z tym nic – minister Czarnek woli tropić „komunizm” w podręcznikach, zamiast zlecić przyjrzenie się podstawie programowej lekcji biologii i uaktualnić ją o sprawy kluczowe dla naszego zdrowotnego bezpieczeństwa.

Anna Brzeska

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl



Z Galicji



Jan Widacki

Najpierw zapowiedź, że szczepionka będzie lada dzień, problem tylko w tym, że połowa Polaków nie chce się szczepić. Powstrzymuje ich typowe (jakże polskie!) „nie, bo nie!”. Z tych wyrafinowanych intelektualnie motywów nie szczepił się nigdy na grypę pan prezydent, czym nie omieszkął pochwalić się rodakom. Ale niektórzy zapowiedzieli, że się nie zaszczepią z różnych „naukowo udowodnionych” powodów. Bo po pierwsze, szczepionka może nam zmienić DNA. Po drugie, przy okazji szczepionki mogą być wszczepiane tajemnicze czipy, za pomocą których będą później nami sterowali. Kto będzie sterował? Jak to kto! Wiadomo: oni! W tak podzielonym, niemającym do nikogo zaufania społeczeństwie tajemniczy „oni” samo przez się brzmią złowrogo. Ale są jeszcze inne, „naukowo udowodnione” uboczne konsekwencje: szczepionka może komuś

kamer została zaszczepiona przełożona pielęgniarek jednego z warszawskich szpitali. A szczepił ją sam dyrektor szpitala. Gdyby o mnie chodziło, wołałbym, aby szczepiła mnie pielęgniarka, a nie dyrektor szpitala. Jakoś do wprawy pielęgniarek we wbijaniu igieł mam większe zaufanie niż do dyrektorów szpitali. Wszystko jedno. Szczepił dyrektor, a pielęgniarka mimo to przeżyła, nie zmieniła płci i chyba też nie zmieniło się jej DNA ani nie wszczepiono jej czipa, bo radosna, że dyrektor już skończył, uśmiechając się do kamery, zeszła z planu. Minister zdrowia zakomunikował, że w pierwszej kolejności będzie szczepiony personel medyczny, później pensjonariusze domów opieki, dalej seniorzy, nauczyciele itd. Szczepienia ruszyły! I nagle wybuchł skandal! Okazało się, że poza kolejnością zaszczepiono grupę znanych aktorów i Leszka Millera. Klucz doboru nie był tu jasny,

Szczepimy się!

zmienić płeć! Zaszczepi się ohydny menel i zamieni w piękną kobietę, to jeszcze pół biedy. A jak piękna przemieni się po szczepieniu w ohydny menela, to co?! Ale do światłego polskiego społeczeństwa docierają jeszcze inne „naukowo udowodnione”, no bo jakże inaczej, skutki uboczne szczepień. Nie tylko niebezpieczne, ale w dodatku grzeszne! Szczepionka pozyskiwana jest z płodów, i to koniecznie pochodzących z aborcji!

Wydawało się, że prawdziwym problemem będzie przekonanie ludzi do szczepień. Żeby pokonać pandemię i jej sprawcę, koronawirus, trzeba zaszczepić, jak wyliczają specjaliści ok. 27 mln Polek i Polaków. Czyli dużo więcej, niż chce się szczepić! Rozważano więc, jak zachęcać ludzi do szczepień, jakie by tu obmyśleć bonusy dla szczepiących się, jakie kary dla tych, którzy odmówią szczepień. Jak wytłumaczyć, że szczepionka nie zmienia płci, DNA, że nie jest pozyskiwana z embriónów uzyskanych w czasie aborcji albo że przez cieniutką igłę nie przecisnie się żaden czip? Może publicznie, dla przykładu powinni się zaszczepić ludzie znani, może sam prezydent, może jacyś celebryci – rozważały media. TVN znalazł nawet jakiegoś księdza, który oświadczył do kamery, że da się zaszczepić i nawet swoją mamusię da zaszczepić. Ta heroiczna postawa księdza tak zachwyciła dziennikarzy TVN, że pokazywali go cały dzień w każdym serwisie informacyjnym. Nawet zaczęło to wzbudzać podejrzenia. Jeśli tego samego jednego księdza, co się chce zaszczepić, pokazują co pół godziny w telewizji, czy to znaczy, że pozostali księża nie będą się szczepić?

I nagle wszystko się odmieniło! Pierwsza partia szczepionek, 350 tys. dawek, dotarła do Polski! Pierwsza, w świetle reflektorów, przed obiektami telewizyjnych

no bo co wspólnego ma Leszek Miller z Krystyną Jandą? To znaczy, co mieli wspólnego, że ich razem zaszczepiono poza kolejnością. Bo teraz łączy ich już bardzo wiele: są razem zaliczeni do wrogów ludu. Lud się oburzył! Jak wynika z sondaży, oburzonych jest prawie 75% ankietowanych. Jeśli pamiętamy, że ponad 50% nie chciało się szczepić, to z tego wynika, że co najmniej 25% oburzonych stanowią ci, którzy nie chcą się szczepić. Afera międlona jest przez wszystkie media. Kto już na ten temat się nie wypowiadał?

Znacznie więcej czasu poświęca się tej aferze (kilkanaście osób zaszczepionych poza kolejnością!) niż temu, że akcja szczepień prowadzona jest nieudolnie, że przez tydzień udało się zaszczepić tyle osób, ile w Izraelu przez osiem godzin, że jak dalej w tym tempie będzie się szczepić, to owych koniecznych do zwalczenia pandemii 27 mln ludzi będzie się szczepić do wiosny 2023 r. A jeśli szczepionka daje wysoką gwarancję odporności, na okres dwóch lat, to znaczy, że szczepienia nie zakończą się nigdy, bo w roku 2023 trzeba będzie znów szczepić tych zaszczepionych w styczniu 2021 r.

Oczywiście nie pochwalam kumoterstwa i kombinowania ze szczepieniami, ale są ważniejsze i trudniejsze kwestie z tym związane, o których nie mówi się albo nic, albo mówi niewiele, a jeszcze mniej z tego wynika. Ze znajomości korzystać nie zamierzam, chcę się zaszczepić w swojej kolejności, ale jak dotąd nie wiem ani gdzie, ani kiedy to nastąpi. Nie wiem, kiedy i do kogo mam się zgłosić. Nie wiem, czy potrzebne są jakieś wcześniejsze zapisy. A takie informacje są ważniejsze niż to, kto śmiał się zaszczepić poza kolejnością i z czyjej to było inicjatywy.

MSZ od środka

Kulisy polskiej dyplomacji. Były ambasador w Japonii opowiada, jak został wykończony



Przyjęcie z okazji setnej rocznicy nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską a Japonią. Ambasador Jacek Izydorczyk z żoną, wiceminister spraw zagranicznych Japonii Kenji Yamada (drugi od prawej) oraz senator Hirofumi Nakasone, szef parlamentarnej grupy przyjaźni Polska-Japonia.

Robert Walenciak

Został ambasadorem „dobrej zmiany” i był z tego dumny. Teraz „dobra zmiana” go niszczy. Ale Jacek Izydorczyk, były ambasador w Japonii, się broni. Składa doniesienia do prokuratury, do NIK, pozwy sądowe, pisze skargi do rzecznika praw obywatelskich.

„Nikt nie będzie szargał mojego nazwiska i w dodatku o to, że sprzeciwiłem się bandyterce w MSZ”, napisał na Twitterze. I wyjaśnia: „Moje

prawo oraz normy etyczne – co czynił bez najmniejszego sprzeciwu – i co wynika z jego ostentacyjnej, wieloletniej i zażyłej znajomości z M. Kamińskim (w jednej osobie Ministrem Koordynatorem ds. Służb Specjalnych, Ministrem Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz wiceprezesem Prawa i Sprawiedliwości)”.

Jacek Izydorczyk był ambasadorem RP w Japonii od 9 lutego 2017 r. do 31 lipca 2019 r. Został odwołany w trybie niemal alarmowym. W takim – to jego słowa – w jakim odwołuje się aferzystów lub zdrajców.

Jacek Izydorczyk został odwołany w trybie niemal alarmowym. W takim – to jego słowa – w jakim odwołuje się aferzystów lub zdrajców.

nagłe odwołanie z funkcji ambasadora RP w Japonii jest konsekwencją tego, że jako jedyny pracownik MSZ (spośród prawie 5 tys.) przeciwstawiłem się jawnie bezprawnym działaniom dyr. gen. MSZ A. Papierza, który *de facto* tym ministerstwem zaczął samodzielnie kierować, mając w pogardzie interesy RP, obowiązujące

Pytam go, dlaczego tak się stało. – Do tej pory tego nie wiem. Ale próbuję się dowiedzieć. – Po chwili milczenia dodaje: –Wszystko zaczęło się, kiedy dyrektorem generalnym MSZ został Andrzej Papierz, jesienią 2018 r. Rok 2019 to kumulacja. W marcu zaczęto wręcz namawiać mnie, bym podał się do dymisji.

Docierały do mnie różne komunikaty – i od znajomych, i od urzędników MSZ, i z Ministerstwa Kultury, że z Papierzem się nie wygrywa. I propozycje typu: albo pan się poda do dymisji, albo z hukiem wyleci z MSZ. A ten huk nie będzie panu służył. Bo dla pisowców będzie pan nieudacznikiem i aferzystą, dla KOD-owców – pisowskim nieudacznikiem i aferzystą. Nikt się za panem nie wstawi. Tak mówili.

Proroczy przestrzegalem: słuchajcie, będą odwoływać

– Domyślam się tylko, dlaczego zostałem odwołany – mówi Izydorczyk. – Witold Waszczykowski miał koncepcję, żeby do MSZ wprowadzać osoby, które nie są związane z układami towarzyskimi w ministerstwie. Postawił na profesorów znających poszczególne kraje. Byłem w tej grupie – jestem profesorem na wydziale prawa Uniwersytetu Łódzkiego, studiowałem w Japonii, opublikowałem książkę o prawie japońskim i różnicach cywilizacyjnych między Japonią a światem Zachodu. Teoretycznie była to jak najbardziej dobra reforma, natomiast jej wykonanie chyba nie do końca się udało.

– Gdy Waszczykowski został zastąpiony przez Czaputowicza, pomysł z profesorami spoza MSZ umarł śmiercią naturalną? – pytam.

– Kiedy przyszedł Jacek Czaputowicz, a wiceministrem został Andrzej Papierz, było już wyczuwalne, że wraca stare. W lipcu 2018 r. byłem na naradzie w Warszawie i już wtedy chodziły plotki, że będą się brać za tych nowych ambasadorów. Zresztą... Byłem na rozmowie u dyrektora generalnego Macieja Szymańskiego – jest teraz ambasadorem w Bułgarii. Poszedłem do niego z prośbą o pracowników. Bo jak Czaputowicz został ministrem, zaczął się sabotaż mojej ambasady, brak płynnej współpracy. To się przejawiało tym, że miałem wakaty,

a nie przysyłano nowych ludzi. W tej sprawie byłem u Szymańskiego, a on zwrócił się do mnie z takim dziwnym uśmiechem (cytuje): „To jest w ogóle skandal, że ja jako dyrektor generalny nie mogę odwołać ambasadora”.

– Nie on powołuje, nie on odwołuje.

– Byłem zdumiony! Ambasador jest najwyższym przedstawicielem

państwa w danym kraju i ma tylko trzech przełożonych – o czym chyba na Szucha nawet nie wiedzą: prezydenta, premiera i ministra spraw zagranicznych. Nawet wiceminister nie jest jego przełożonym, a co dopiero dyrektor generalny! Potem rozmawiałem z kilkoma ambasadorami i proroczco przestrzegałem: „Słuchajcie, będą odwoływać, na pewno”. O sobie byłem spokojny. Bo uważałem, że dobrze wykonuję swoją pracę.

– A kiedy przestał pan być spokojny?

– W październiku 2018 r. Dyrektorem generalnym został Papierz i zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Wzięto się za wielu ambasadorów.

z Warszawy – gdyż były tam informacje, które znała tylko centrala. Rozdmuchiwano też tzw. skargi Polonii. Choć samo MSZ, po kontroli, uznało je za bezzasadne.

– Jaki był powód skarg?

– Przedstawię panu pewien mechanizm. W połowie lipca 2017 r. odbyła się mała demonstracja przed ambasadą w Tokio, dotycząca sądownictwa w Polsce. Brało w niej udział dwóch dyplomatów, jeden unijny – Polak, drugi innej narodowości, i kilkanaście osób związanych z pismem japońskiej Polonii „Polonia Japonica”, wśród nich trzy panie. Musiałem o tym poinformować Warszawę. Dwa dni po tej demonstracji

– Możliwe. Ale mnie chodziło o zasady.

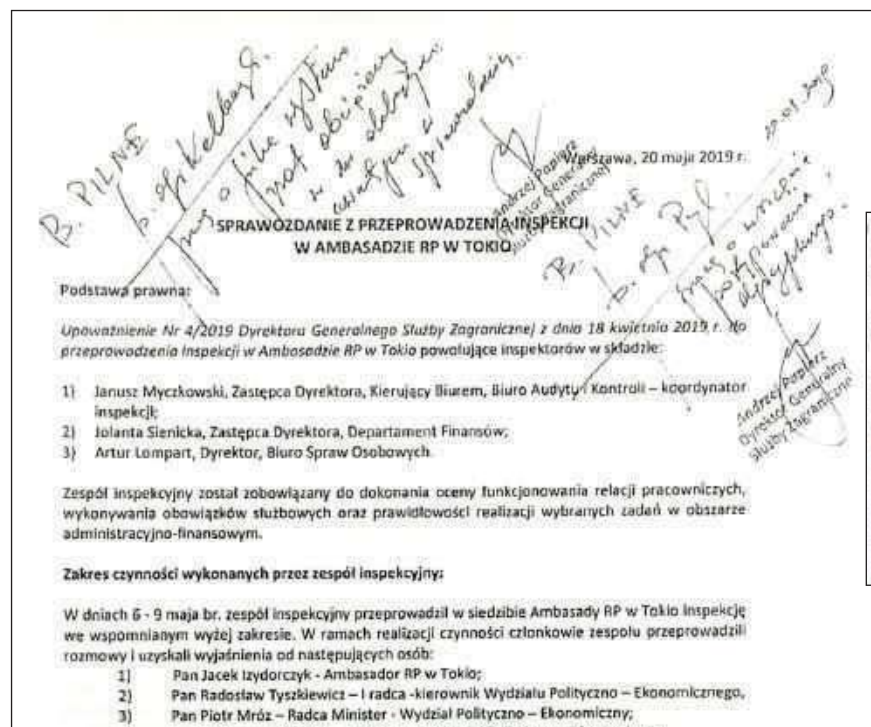
Kiedy Papierz zobaczył, że się go nie boje, wpadł we wściekłość

– Wiadomo było, że nie jest pan zawodowym dyplomatą. W takich sytuacjach obowiązuje niepisana zasada, że powinien być u pana boku doświadczony dyplomata, który pomaga. Czy tak było w pańskim przypadku?

– Powiem brutalnie – wiedziałem, że od początku do końca będę zdany na siebie. Gdy przyjechałem do Tokio, był inny kierownik wydziału politycznego niż teraz. Inna też była

Sprawozdanie z inspekcji w ambasadzie RP w Tokio.

Wywiad z ambasadorem Izidorczykiem w „The Japan Times”, 20 maja 2019 r.



Helsinki, Tokio, Paryż, Lima, Ryga, Ottawa... Ale skupię się na tym, co działo się w Tokio.

Gdy Papierz został dyrektorem generalnym, zaczął się sabotaż. Zarówno sabotaż ambasady, jak i pracy ambasady. W pewnym momencie już w ogóle nie miałem pracowników. W końcu grudnia 2018 r. zostałem w ambasadzie *de facto* sam! Nie było nawet portiera, nie było dozoru kamer bezpieczeństwa. Robiono tak, żebym sam podał się do dymisji albo zrobił coś nieprzemyślanego. Żeby był powód do mojego odwołania. Zaczął się też pojawiać hejt internetowy. Moim zdaniem inspirowany

przyszła do mnie pani konsul z żądaniem dofinansowania działalności tych pań. Zapytałem ją, jak sobie wyobraża dofinansowanie, kiedy przed chwilą protestowały przed ambasadą, mając hasła po angielsku i po japońsku skierowane przeciwko polskiemu rządowi. Że w Polsce nie ma demokracji. Jak ja, jako ambasador, jako przedstawiciel prezydenta, powinienem w takiej sytuacji się zachować?

– Rozumiem: gdyby dał pan pieniądze, do Warszawy poszedłby donos, że popiera pan protest. Gdy pan nie dał – poszedł, że konfliktuje się pan z Polonią. Złapali pana...

atmosfera. I na początku on nie tyle chciał pomagać, ile się podlizywał. W wielu przypadkach był użyteczny. Natomiast kiedy nastał Czaputowicz, wszystko się zmieniło. I na przykład, kiedy do Tokio przyjechał wiceminister Dziedziczak, to proszę sobie wyobrazić, że ten sam kierownik, w obecności Dziedziczaka i mojej, zaczął obrażać zastępcę nuncjusza watykańskiego, który jest Polakiem. Już na taki wybrzyk sobie pozwalał.

Izidorczyk chwilę się zastanawia. – Chyba jednak – podejmuje wątek – pierwszy atak nastąpił, gdy pojechałem witać „Dar Młodzieży”, który na stulecie niepodległości Polski wpłynął do Kioto. Niebywała promocja! Wielkie wydarzenie! Pożegnałem się z kierownikiem wydziału politycznego, pojechałem do Kioto, dojeżdżam, otwieram telefon i widzę, że wysłał ▶

► do Warszawy claris, bez uzgodnienia ze mną, i podpisał się: „w zastępstwie ambasadora”. A ambasador był przecież w Japonii – więc to oznaczało, że taki ambasador to leń i sobie bimba! Złamał wszelkie zasady. Wróciłem do Tokio, wziąłem go na rozmowę i natychmiast wystąpiłem do dyrektora generalnego żądanie ukarania go i odwołania. Gdy kierownik o tym się dowiedział, on i jego żona poszli na zwolnienia lekarskie. I wtedy już w ogóle nie było pracowników merytorycznych w ambasadzie.

– W marcu 2019 r. miał pan na placówce niezapowiedzianą kontrolę.

– Na marzec zaplanowana była regionalna narada ambasadorów, miała się odbyć w Pekinie. Mamy tam dużą ambasadę, budynki, jest gdzie przenocować i się naradzać. Tymczasem w ostatniej chwili przeniesiono ją do Tokio. A do tego przybyła kontrola z MSZ. Nielegalna kontrola, proszę pana. Przyjechał Papierz, przyjechali z nim ludzie z jego ekipy, Radosław Gruk i Monika Zuchniak-Pazdan.

– Dlaczego nielegalna?

– Jak się przyjeżdża do ambasady na kontrolę, trzeba ją wcześniej zapowiedzieć, napisać, jaki jest jej cel. Ten przyjazd był całkowicie bezprawny. Oni potem zaczęli w ambasadzie przeglądać dokumenty, przesłuchiwać pracowników, zmuszać ich do oświadczeń, że nie układała im się współpraca ze mną. Ja brałem na przetrzymanie, bo w ambasadzie mogło dojść do rękoczynów. Tak się Papierz zachowywał! Tam byli ambasadorowie regionu, był wiceminister Lang... A Papierz ostentacyjnie, przy wielu osobach, mnie ominął, nie przywitał się, nie podał mi ręki. Potem wpadł do gabinetu, kiedy rozmawiałem z pracownikami, i biegał po tym gabinecie. Inny incydent – gdy oni przesłuchiwali pracowników, uczestniczyłem w naradzie ambasadorów. Na chwilę z niej wyszedłem. W hallu był Papierz, więc zapytałem go, co się dzieje. A on zaczął krzyczeć, że ma do tego prawo. Ludzie Papierza przesłuchiwali wszystkich, którzy byli w ambasadzie, łącznie z moją sekretarką. Przesłuchiwali radcę ministra, kierownika wydziału politycznego, nowego, którego przystali, dwóch innych pracowników wydziału politycznego, panią konsula i pracowników

Instytutu Polskiego. O co chodziło? Żeby ktoś się złamał, żebym ja wybuchnął, albo żebym za chwilę miał bunt w ambasadzie.

– Dlaczego Papierz wziął się na pana?

– On i prawdopodobnie ta cała jego grupa chcieli odwołać tych ambasadorów, których wysłał minister Waszczykowski. Na te miejsca mieli swoich kandydatów. Na moje szykował się, teraz to wiem, dyrektor departamentu Azji Paweł Milewski, który w tajemnicy przede mną sporządzał negatywne opinie na mój temat. Jego żona bardzo chciała do Japonii. Mówił mi to osobiście chyba w 2018 r. A w roku 2019 były wybory, które mogły przecieć różnie się zakończyć, więc Milewski musiał przyspieszyć starania. O Tokio. Ciekawawe, że Papierz ze swoją grupą przyjechał do Tokio 22 marca 2019 r. Tymczasem w dokumentach, w mojej teczkce, którą wydano mi dopiero we wrześniu 2020 r., odkryłem pismo ministra Czaputowicza do premiera Morawieckiego już z 5 marca 2019 r., w którym minister wnioskował o moje odwołanie. Niewątpliwie za poduszczeniem Papierza.

– Po co więc później do pana przyjechał? Na wycieczkę?

– Chyba chciał się upajać tym, że ambasador przed nim się płaszczy, podlizuje. Ale kiedy zobaczył, że się go nie boję, że mu się sprzeciwiam, wpadł we wściekłość. Byliśmy w moim gabinecie, a on żądał podania nazwiska osoby, która rekomendowała mnie do służby zagranicznej! To było dla niego najważniejsze! Żądał obecności mojej małżonki na kolacji! Prawdopodobnie, żeby powiedzieć, że mam kochankę, bo takie plotki rozprowadzano. Mówiono o mnie wszystko, co najgorsze – że kochanka, że nie przychodzę do pracy... Miałem więc spięcie z Papierzem i pokazałem mu, że się go nie boję. A jak wyjechał, wystąpiłem claris do ministra Czaputowicza z żądaniem zakończenia prześladowania i sabotażowania ambasady w Tokio. Poinformowałem go też, bez szczegółów, że Papierz zachował się w sposób nielicujący z powagą urzędu i uderzający w wizerunek Polski na zewnątrz.



Trening kendo.

– Chodziło o sytuację z Kamakurą?

– Nic panu na ten temat nie mogę powiedzieć, bo w tej sprawie Papierz złożył przeciwko mnie pozew. A sąd, w ramach zabezpieczenia, zabronił mi w tej sprawie zabierać głos.

Kamakura: radośnie przy tym rechotał

Jacek Izydorczyk nie może mówić, co się zdarzyło w Kamakurze, ale w internecie nic nie ginie. Oto fragmenty artykułu z portalu Onet:

„Pytamy Izydorczyka: – Co pan miał na myśli, pisząc [w clarisie do ministra Czaputowicza – przyp. RW] o obscenicznym i obraźliwym zachowaniu [Papierza]?

– Odwiedzaliśmy najważniejszą świątynię w Kamakurze z oficjalną delegacją. Papierz zachował się skandalicznie, gdy po wejściu na teren świątyni należało dokonać symbolicznego obmycia wodą – opowiada były ambasador.

W japońskich świątyniach religii shinto po przekroczeniu świątynnej bramy należy dokonać oczyszczenia poprzez umycie dłoni i przepłukanie ust w przeznaczonym do tego miejscu.

Dopytujemy Izydorczyka: – Ale co zrobić Papierz? Nie dokonał obmycia? Zanieczyścił wodę, co jest religijnie niedopuszczalne?

– Było jeszcze gorzej. Papierz podszedł do kadzi z wodą i zaczął symulować, że obmywa sobie genitalia. Radośnie przy tym rechotał.

Towarzyszący mu ludzie z MSZ też się świetnie bawili. Zachowywali się jak gimnazjaliści na wycieczce. A Japończycy udawali, że tego nie widzą, bo nie wiedzieli, jak zareagować. Tak jak napisałem w zawiadomieniu do prokuratury: informowałem o tym incydencie szefa MSZ. Bez reakcji”.

Udowodnię przed sądem

Życie dopisało do tej relacji kilka ciągów dalszych. Jeden z nich znalazł się finał w sądzie. Andrzej Papierz złożył przeciwko Jackowi Izydorczykowi pozew. Zarzuca mu mówienie nieprawdy na temat Kamakury i to, że nie był w grupie gości z MSZ, która odwiedzała świątynię. Nie mógł więc widzieć sceny, którą opisał w Onecie. Takie oświadczenie złożyli członkowie tamtej delegacji – Maciej Lang, Radosław Gruk i Monika Zuchniak-Pazdan. W odpowiedzi Izydorczyk złożył do sądu wniosek o skierowanie zawiadomienia do prokuratury i ABW o fakcie przedstawienia sądowi dokumentów poświadczających nieprawdę.

– Udowodnię przed sądem, że te oświadczenia to kłamstwo. Bez żadnych kłopotów – zapewniam. – Skoro do kraju urzędowania przyjeżdża ściśle kierownictwo MSZ, w osobach wiceministra ds. azjatyckich i dyrektora generalnego MSZ, faktycznie

– mówi Izydorczyk. – W dzień przesłuchiwali moich pracowników i oglądali dokumenty. A co robili wieczorami, tego nie wiem, mogę się tylko domyślać. Znikali wieczorem.

– Wszyscy?

– Nie wnikiem, co robią dorosłe osoby wieczorami, czy piją alkohol, czy gdzieś chodzą itd. Więc nie wiem. Lang jest na poziomie i się pilnuje. Natomiast Papierza z Grukiem i Zuchniak-Pazdan nie było nawet na imprezie w ambasadzie z okazji stulecia nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską i Japonią. Papierz był tylko jeden wieczór, i to niecały, ze mną na kolacji. A poza tym był jak na wycieczce.

– Nie uczestniczył w naradzie ambasadorów?

– Siedział. Płatał się. W ogóle ta narada, z mojego punktu widzenia, była absurdalnie zorganizowana. Dyskutowaliśmy na przykład o problemie koreańskim, a potem widzę, że departament Azji wystąpił w trybie jawnym notatkę po tym spotkaniu – kto co mówił. To jest szokujące. Żadnych szpiegów nie trzeba, wszystko dajemy na tacy.

– Skąd się wziął pański konflikt z Papierzem?

– Ja w ogóle nie wiedziałem o jego istnieniu. Pierwszy raz o nim usłyszałem, kiedy zostałem wiceministrem. Potem zobaczyłem, jak zachowuje

dyrektora Biura Finansów. Szukali czegośkolwiek.

– Czego?

– Są tak przewidywalni... Że ambasador nie przychodzi do pracy, że jest zła współpraca z pracownikami, czyli to, co znają z autopsji. A potem wyjechali, a ja nie dostałem sprawozdania pokontrolnego. Dostałem je dopiero od rzecznika dyscyplinarnego MSZ, który na polecenie Papierza prowadził postępowanie wyjaśniające. Od razu zauważyłem, że ten dokument był pisany tak, żeby go pokazać wyższym decydom w Warszawie. Że np. mam spotkania, wydatkuję na nie pieniądze, ale nie jestem w stanie udowodnić tych spotkań. Panie redaktorze, wszystkie są do udowodnienia! To jest preparatione fałszywych oskarżeń! Mogę więc tylko się domyślać, co oni powiedzieli Szczerskiemu, żeby mnie odwołać przed wizytą japońskiego następcy tronu w Polsce.

– Jest też zarzut, że wypłacał pan diety swojej żonie.

– O tak! Papierz próbował mnie tym straszyć. „Zrobił pan coś najgorszego!”, wołał. Wrócił do Warszawy i przystano mi z MSZ żądanie, żebym wystawił notę obciążeniową. Czyli żebym się obciążył i zapłacił. Poprosiłem więc o podstawę prawną.

– Dostał ją pan? Chodzi o to, że wypłacał pan żonie diety, gdy wyjeżdżaliście w służbową podróż na różne oficjalne imprezy poza Tokio.

– Proszę pana, w oskarżeniach MSZ nie chodzi

o to, że żona dostawała za to diety. Tylko o to, że nie uzyskałem zgody dyrektora generalnego na to, żeby żona jechała. Nie chodzi o zasadność wyjazdu czy diet, tylko o brak zgody pana dyrektora.

– A żona była na etacie MSZ?

– Nie była. Proponowano mi to przed wyjazdem, ale się nie zgodziłem. Uważałem za niemoralne, żeby żona udawała, że pracuje. Choć wiem, że w MSZ tak się robi. Moja żona nie była zatrudniona, ale gdy wyjeżdżaliśmy na uroczystości poza Tokio, na które, gdybym przybył bez małżonki, uznano by to za nieakt, wypłacałem jej diety, m.in. na koszty noclegu.

– Musiał pan?

– Według przepisów nie można było jechać w delegację i nie pobrać

Docierały do mnie komunikaty, że z Papierzem się nie wygrywa. I propozycje: albo pan się poda do dymisji, albo wyleci z hukiem z MSZ.

kierującego ministerstwem, a ambasador RP organizuje im wyjazd poza Tokio, to oczywiste jest, że bierze w nim udział i nie odstępował na krok. A reszta informacji i argumentów znajduje się w mojej odpowiedzi na pozew. Liczy 25 stron. Więcej mówić nie mogę, bo sąd mi tego zabronił.

Odpowiedź zawiera również listę świadków, których Izydorczyk zamierza powołać. Otwierają ją prezydent Andrzej Duda oraz ówczesny szef jego gabinetu – Krzysztof Szczerski.

Przesłuchiwali moich pracowników

Wracamy do marca 2019 r. Do narady ambasadorów i kontroli z MSZ.

– Papierz ze swoją ekipą mieszkał w hotelu, niedaleko ambasady

się w Japonii. Absolutnie przyzwyczajony, że wszyscy mu się podlizują. A ja napisałem na niego skargę do ministra! Od tego czasu miałem już czystą nienawiść. I wiedziałem, że ktoś musi stracić stanowisko po moim piśmie.

Szukali czegośkolwiek, żeby się przyczepić

Druga kontrola odbyła się w maju 2019 r.

– To już była kontrola oficjalna – mówi Izydorczyk. – Przyjechał Janusz Myczkowski z Biura Kontroli i Audytu, który kieruje teraz Biurem Spraw Osobowych, przyjechał Artur Lompart, który jest teraz ambasadorem w Grecji, i przyjechała Jolanta Sienicka, zastępca

► diety, gdy „nie było zapewnione wyżywienie”. Kiedy jest tylko kolacja, to wypłaca się za śniadanie i obiad itp. Co w tym złego? Proszę pana, oni szukali czegokolwiek, żeby się przyczepić. I przyczepili się do tych delegacji.

– A ma pan w związku z tym jakieś zarzuty w prokuraturze?

– Nie. Nic. Dopiero gdy wybuchła afera medialna, Papierz w lutym albo w marcu 2020 r. złożył do Prokuratury Okręgowej w Warszawie jakieś zawiadomienie. Byłem tam przesłuchiwany jako świadek o fałszywe zawiadomienie o przestępstwie i znieważenie funkcjonariusza publicznego. Natomiast żadnych zarzutów przeciwko mnie nie ma. Choć takie plotki są rozpuszczane. Na przykład w sierpniu 2019 r., gdy wróciłem już do Polski, byłem u Szczerskiego. I on mi mówił: „Wie pan, przyszedł do mnie Papierz i mówił, że to odwołanie to dla pana dobra. Bo będą zarzuty”. Powiedziałem: „Panie ministrze, jakie zarzuty? Do czego?”. Te osoby ze służb, pożałuj Boże, kręcą tymi politykami jak dziećmi! Mówią im jakieś rzeczy, a oni we wszystko wierzą. Panie redaktorze, nie mam żadnych zarzutów! Oni bardzo by chcieli mi je postawić. Ale nie mają nic, natomiast rozpuszczają opinie, że jestem aferzystą. Nawet w Tokio już niektórzy mówili: „Co się z tym ambasadorem porobiło? Podobno takie przekręty robił”. Gdy wróciłem do Warszawy, próbowałem kontaktować się z decydentami z prawicy.

– I jak poszło?

– Od jednego usłyszałem, że mam się zamknąć. Bo jest taki układ, że mam się zamknąć.

– Wiceminister Marcin Przydacz też mówił, że ciążą na panu poważne zarzuty. Podobnie wiceminister Paweł Jabłoński.

– Mówili, bo powiedział im Papierz, a oni – niczego nie sprawdzając – pobiegli do radia i mnie znieślawiali. Mogę tylko się domyślać, co Papierz i jego kumple na mnie nagadali.

Żeby ambasador wracał klasą ekonomiczną z przesiadką

– Co mogli nagadać?

– Były na przykład plotki, że na imprezę zorganizowaną w maju

2019 r. przez ambasadę nie przyszedł nikt z oficjeli japońskich. Choć na stronie internetowej ambasady RP w Tokio była relacja z tej imprezy – prawie 600 gości, w tym przedstawiciele rządu japońskiego i ścisłej elity. Ale to drobiazg. Boli mnie co innego – że w tym szale zapomniano o interesie Polski. O tym, że w tym czasie odbędzie się pierwsza zagraniczna wizyta japońskiego następcy tronu. A wybrał Polskę. To był mój największy sukces jako ambasadora. Niestety, za sprawą pana Papierza i jego intryg nie mogłem w tej wizycie mu towarzyszyć. MSZ nie wyraziło na to zgody.

– Walczył pan o zmianę tej decyzji?

– To było walenie głową w mur. Dzwonię na przykład w tej sprawie do jednego z wiceministrów, tłumaczę mu sytuację, specyfikę Japonii i co słyszę? On podniesionym głosem stwierdza: „Ja czytałem skargi Polonii na pana!”. A gdy mu odpowiedziałem, że MSZ uznało je wszystkie za bezpodstawne, okazało się, że nawet o tym nie wie. Notabene ta rozmowa odbyła się 19 czerwca 2019 r., a więc w dniu odwołania mnie ze stanowiska, o czym ten wiceminister nawet nie raczył mnie poinformować.

– Zaskoczyło pana odwołanie?

– Zaskoczyło! Szczerski też mi nie powiedział, że jest taki wniosek! Prezydent odwołał mnie z dniem 31 lipca 2019 r. Więc do tego dnia byłem ambasadorem. Tymczasem już 17 lipca na polecenie dyrektora generalnego zablokowano moje konto w domenie MSZ. Odcięto mnie od służbowej poczty i komputera. A dyrektor Biura Spraw Osobowych wysłał claris informujący, że już nie jestem kierownikiem placówki. Od 1 lipca 2019! Centrala ignorowała też moje zapytania o zakup zarezerwowanych biletów powrotnych do Polski dla mnie i dla mojej rodziny. Wiedzieli, że jest szczyt sezonu i jak przypadnie rezerwacja, będę miał kłopoty. Ale tego chcieli. W pewnym momencie mój zastępca wygadał się, że „generalny chce, żeby ambasador wracał klasą ekonomiczną z przesiadką”. A chodziło o oficjalny – wobec Japończyków i korpusu dyplomatycznego – wyjazd ambasadora RP po zakończeniu misji w Japonii.

Z drugorzędnych stanowisk wyjeżdżają na ambasadorów

– Na czym polega siła Papierza?

– On idzie jak taran. I ci wszyscy inni wierzą, że on jest taranem. Bo kolega Mariusza Kamińskiego, służby itd. Więc podlizują mu się ze strachu, z kalkulacji i go kreują. To oni są jego siłą. A czy to jest jakiś układ nieformalny, czy jakieś służby – ja w to nie wnioskuję. Ta grupa ludzi, która mu służy, awansuje. Oni z drugorzędnych stanowisk, niemerytorycznych, wyjeżdżają na stanowiska ambasadorów. Gruk do Uzbekistanu, Zuchniak-Pazdan do Albanii. Milewski... Mogli więc go poduszczać. A on na to: „Nie mogę wyrzucić Izydorczyka? Ja wszystko mogę!”. A potem – mówił mi to mój zastępca Radosław Tyszkiewicz – chwalił się, że mnie „wykastrował”. Jest nagranie tej rozmowy na YouTube, może pan sprawdzić.

– I co pan na to?

– Rok temu złożyłem zawiadomienie do prokuratury i do NIK w stosunku do ośmiu osób, co do których mam ewidentne dokumenty, niezbitte dowody. To jest „zawiadomienie o popełnieniu przestępstw przekroczenia uprawnień, niedopełnienia obowiązków, poświadczeń nieprawdy, przeciwko ochronie informacji, tworzenia fałszywych dowodów oraz pomówień”. I niech opinia publiczna też o tym wie. Niedawno złożyłem prywatne akty oskarżenia przeciwko wiceministrom Jabłońskiemu i Przydaczowi, którzy znieślawiali mnie w radiu. Bronię swojego imienia. Przeciwko sobie mam aparat państwowy. MSZ nie odpowiada na moje pisma. Prokuratura wezwwała mnie na przesłuchanie. A wie pan, co się dzieje z moją korespondencją? Jest przetrzymywana na poczcie. Potem, po interwencjach, dostaję takie zwrotki – że korespondencja, którą kierowałem do prokuratury, trafiła do NIK, a ta adresowana do NIK trafiła do prokuratury. O czym to świadczy? Otwierali i kopiowali? A potem pomylili koperty?

– Oni myśleli, że ustawią sobie pana i odstrzelą. A pan strzela do nich...

– Myśleli, że łatwo pójdzie. Ale kendo czyni mistrza.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Znużenie

Dobrze znane słowo, właściwie ostatnio coraz bardziej bliskie, jestem z nim w zażyłości, zadomowiony. Znużenie brzmieniowo podobne do zanurzenia, ale do takiego zanurzenia w komorze deprywacyjnej, kiedy pozbawiony wrażeń i doznań zmysłowych nasz mózg się resetuje, odpoczywa, stygnie, oczyszcza się, regeneruje, odradza w pustce. Taka forma relaksu jest podobna do buddyjskiego oczyszczenia, spotkania z pustką. Brzmi to trochę za dobrze, w znużeniu jest jednak ciężar, zmęczenie, odczucie grawitacji zdarzeń, natłoku, żeby nie powiedzieć miażdżenia przez wielość docierających bodźców. Wielość nieprzetwarzalną, wielość, wobec której nasz umysł kapituluje, nie może tego przerobić, przetrwać, wyrzucić z siebie, wymazać. Chciałby sobie poradzić, ale porusza się jakby w błotnej, bagnistej mazi, nieporadnie, z trudem.

Często ostatnio identyfikuję to znużenie z Polską. Czyli żywię uczucia antypolskie. Na szczęście, w przeciwieństwie do nieznanych, niezdefiniowanych, nienazwanych, nieprzekazywalnych uczuć religijnych, uczucia antypolskie nie są jeszcze zagrożone penalizacją, choć nie bardzo wiem dlaczego. W tym splocie polskiego chochoła katolicko-patriotycznego uczucia nacjonalistyczne zostały wyraźnie potraktowane po macoszemu

Znużenie jest oczywiście, czy choćby zapewne, efektem wcześniejszego zaangażowania, wkręcenia się w temat, wykonanej pracy, które to wysiłki wydają się daremne, bezskuteczne, chybione, bezzasadne – to jak wymierzanie ciosów w powietrze, energia spora – efektów żadnych. Co prawda nie jest tajemnicą, że praca, nazwijmy ją buńczucznie „umysłowa”, rzadko przynosi rezultaty natychmiastowe albo chociaż nieodległe w czasie, właściwie doskonale wiemy, że przełożenie teoretycznego na praktyczne jest niemal zawsze połączone z odsunięciem w czasie. Jest bardziej „chybne” niż niechybne, raczej „zwłoczne” niż niezwłoczne. Wiedzieć to jedno – nie męczyć się tym to drugie.

Wszystkie powyższe nużące wywody mają bardzo konkretne źródło, jest nim głównie cała sfera wokółpandemiczna, wokółszczepionkowa. Brak informacji, brak wiarygodnych informacji, blokada wiarygodnych informacji, informacje wewnętrznie sprzeczne, puste komunikaty, brak spójnego przekazu, zaleceń, ustaleń, chaos decyzyjny, przypadkowość postanowień, niekonsekwencje w działaniach, zapowiedziach, deklaracjach, nieczytelność wprowadzanych reguł, symptomy niezwyklej w swoich rozmiarach amatorszczyzny, jakaś archetypiczna niemoc, nieudasizm, wszystko to określenia opisujące

całość działań rządzących. Jedyne, z czym sobie władza jakoś radzi, to propagandowe konsumowanie całego tego tortu covidowego pod hasłami: dajemy radę, jesteśmy świetni, najlepsi, niczego lepszego nikt nigdzie nie wymyślił, nie wcielił w życie, tradycyjnie: Polska mistrzem Polski.

Zderzenie z faktami, które temu przeczą? Od dawna rządzący tym się nie przejmują. Po pierwsze, opowiadają swoją baśń, tam gdzie tylko mogą, a o to skutecznie potrafili zadbać, zawłaszczając media tzw. publiczne. Na krytykę po prostu nie odpowiadają. Na pytania także. Jakim paradoksem i chichotem historii jest to, że coraz częściej najlepiej opowiadającym o tym stanie rzeczy jest bon mot z Barejowskiej komedii, w której szatniarz bez zmruczenia oka odpowiada klientowi bezskutecznie domagającemu się zwrotu swojego okrycia: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co nam pan zrobi?”. Nic nie zrobię. Znużę się. Tyle mogę, bo ręce opadają. Nasze ręce, bo ich ręce żywiotko wyciągają się po kolejne posady, apanaże, premie, które przecież po prostu im się należą.

Na krytykę rządzący po prostu nie odpowiadają. Na pytania także.

A ja wyobrażam sobie, że mogło być inaczej. Że niemal rok temu, kiedy wiadomo już było, że mamy pandemię koronawirusa i że zostaną wprowadzone najróżniejsze regulacje prawne, obostrzenia (choć albo nie zostały wprowadzone, albo zostały głupio wprowadzone), zalecenia, reguły – to ktoś, kto ma pojęcie, a nie tylko pojęcie o wyobrażaniu, powie: za kilka, może kilkanaście miesięcy będzie szczepionka, teraz trzeba przygotować szczegółowy, wielowariantowy, spójny i całościowy plan. Dla wszystkich, w całym kraju, wedle jasnych, zrozumiałych i racjonalnych kryteriów. To, co się dzieje dzisiaj wokół procesu szczepienia, wskazuje jasno, że nic takiego przez wiele miesięcy w okolicach polskiego rządu się nie wydarzyło. Wszystko zostało podporządkowane wyborowi Andrzeja Dudy na symulującego głowę państwa. Dzisiaj, jak informują światowe serwisy, to jedyny państwowy przywódca (formalny), który bezkrytycznie odniósł się do trumpowskiego ćwierćpuczu na Kapitolu (tylko pięć ofiar śmiertelnych).

Chciałbym zaszczepić się na taką Polskę, bo tracę czucie w mózgu. Znużam się.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl



Dzień amerykańskiego chaosu

Joe Biden nie zdążył formalnie objąć urzędu, a Ameryka weszła w pierwszy polityczny kryzys tej kadencji

Jakub Dymek

6 stycznia w Waszyngtonie demokratyczna formalność przeistoczyła się w tragedię. Kongres zebrał się, by zatwierdzić wyniki wyborów prezydenckich, co tradycyjnie poprzedza przekazanie władzy jednej administracji w ręce kolejnej i uroczystą inaugurację urzędowania głowy państwa. To wyłącznie konstytucyjny rytuał, który nie ma wpływu na wynik samych wyborów. Tego samego dnia spływały jednak też ze stanu Georgia wyniki z podwójnych wyborów uzupełniających do Senatu. Gdyby obydwie mandaty przypadły partii prezydenta elekta Joego Bidena, demokratom, dałoby im to pełnię władzy w Waszyngtonie – kontrolę nad obiema izbami Kongresu i Białym Domem. Fakt, że te dwa wydarzenia zbiegły się w jednym

dniu – i że oba przybliżają Amerykę do zmiany władzy – mógł dołożyć się do późniejszej tragedii, choć z pewnością jej nie sprowokował.

Tego też dnia w Waszyngtonie zebrał się bowiem zwolennicy prezydenta Trumpa, antymaseczkowcy, wyznawcy teorii spiskowej znanej jako QAnon, a także ludzie, którzy nie uznają wyniku wyborów lub po prostu bardzo nie chcą pożegnać się z 45. prezydentem. Po południu, gdy trwało posiedzenie w Kongresie, tłum wdarł się do budynku. Przy żenująco bezradnej postawie policji i służb udało się chuliganom wybić okna, wejść do Kapitolu, w tym na salę obrad, i do gabinetów najważniejszych polityczek i polityków w kraju. Doszło do zamieszek i wymiany ognia, wewnątrz rotundy Kapitolu rozpylono gaz. Polityków trzeba było ewakuować, w tym także wiceprezydenta Mike'a Pence'a – jak

na ironię wybranego przez tych samych ludzi, którzy szturmowali w tym czasie budynek. W atakach na policję i służby porządkowe oraz w zamieszkach zginęło pięć osób (tyle ofiar potwierdzono do piątkowego popołudnia), w tym funkcjonariusz.

Świat obiegły zdjęcia wytatuowanego człowieka przebranego w kostium bizona – działacza radykalnej prawicy w Arizonie – który wchodzi na mównicę w opanowanym przez chuliganów budynku. W miejscu, gdzie przemawiali Abraham Lincoln, głowy państw, przywódcy świata i pół tuzina noblistów, rozgościł się półnagi wandal z łomem. Trudno o bardziej symboliczny dla końca 2020 r. obrazek.

Groza i groteska

Co tak naprawdę tam się stało? Problem z komentowaniem szturmu

Zwolennicy Trumpa chcieli zablokować obrady Kongresu, w trakcie których miano zatwierdzić głosy elektorские oddane w wyborach prezydenckich.

Wśród zwolenników prezydenta Trumpa, którzy wdarli się do Kongresu, był Jake Angeli, jeden z najbardziej znanych wyznawców teorii spiskowej QAnon.

na Kapitol polega na tym, że był to dzień zarówno grozy – jednak zginęli ludzie – jak i groteski całego przedsięwzięcia. Z jednej strony, próba siłowego przerwania głosowania nad wynikami wyborów prezydenckich wypełnia wszystkie definicje próby puczu, zamachu stanu czy rodzimego terroryzmu. Z drugiej jednak, wszystko to – jak przystało na ten szalony czas – było kuriozalną wycinanką, ożywionym internetowym memem, dziwnym spazmem fanatyzmu i amerykańskiego politycznego folkloru. Barbarzyńcy w Kapitolu pozwali do zdjęć, kradli „pamiątki”, ktoś miał zapalić sobie w świątyni parlamentaryzmu skręta z marihuany. Ich atak nie miał planu i ostatecznie nie zakończył procesu zatwierdzenia wygranej Bidena i Harris o więcej niż kilka godzin. Jego autorzy za swój wybrzyk, który na razie przysporzył im głównie sławy w internecie, odpowiedzą w świetle surowego prawa.

Fani – a właściwie fanatycy – prezydenta Trumpa zaszkadzili przede wszystkim jemu.

Fani – a właściwie fanatycy – prezydenta Trumpa zaszkadzili przede wszystkim jemu. Zanim jeszcze było wiadomo, jak to wszystko się skończy, od prezydenta zaczęli odwracać się sojusznicy. Najpierw ci związani z nim tylko partyjnym sztandarem, jak senator Mitt Romney, który miał w trakcie szturm na Kapitol powiedzieć do swoich republikańskich kolegów, że „mają, czego chcieli”. Od Trumpa na wyścigi zaczęli się odcinać kolejni, coraz ważniejsi, stronnicy – konserwatywny senator Lindsey Graham, lider prawicy w Kongresie Mitch McConnell i sam wiceprezydent u boku Trumpa, Mike Pence. Do 6 stycznia wszyscy oni byli gotowi świecić za prezydenta oczami



i mniej lub bardziej sprawnie bronić jego programu. W ciągu kilku godzin od niego się odwrócili – pojawiły się rezygnacje, a nawet groźby tego, że w razie konieczności członkowie jego administracji zgłoszą za odwołaniem prezydenta z urzędu.

Trudno oczywiście Trumpa żałować, bo dostał to, czego chciał. To sam prezydent wzniecał gniew – jak to się brzydko mówi – swojej „bazy”. Nawet w dniu, w którym tłum uderzył na Kapitol, Trump w swoim przemówieniu kwestionował wynik wyborów, nazywał je na zmianę

zapłacił cenę szacunku i poparcia we własnej partii.

Trump miał „złoty róg” – mit ukradzionych wyborów, który mógł rozgrywać latami. W to, że Biden został wybrany nieuczciwie lub nie ma wystarczającej legitymacji do rządzenia, wierzy wystarczająco dużo Amerykanów, by Trump mógł zrobić z tego poważny użytek. Dokładnie to samo, o czym nie wszyscy już pamiętają, stało się przecież ponad 10 lat temu z Sarą Palin i ruchem „partii herbacianej”. Gdy Obama wygrał wybory, a w kraju szalał kryzys gospodarczy, rozczarowani porażką prawicowcy skrzyknęli się wokół niedoszłej pani wiceprezydent. Ich wiara w to, że „odebrano im” prawomocne zwycięstwo, pomogła radykalizować prawicę i zasiać tyle podziałów w kraju, że kilka lat później nominację partii, a następnie prezydenturę, dostał nie kto inny jak sam Trump.

To ich wina!

Choć jednak Trump – przynajmniej w krótkiej perspektywie – został upokorzony, to olbrzymia radość i *scha-denfreude* jego przeciwników są przedwczesne. Nie brakuje głosów, że to kompromitująca porażka całej prawicy, a terroryzm trumpistów z całą mocą trzeba zdusić. Łagodna ocena jest taka, że partia republikańska wejdzie w okres kryzysu tożsamości, a co surowsi krytycy piszą, że to pospolita grupa przestępcza

► i groźna *junta*. Inni wyrażają nadzieję, że teraz to demokraci będą siłą prawa i porządku, która obieca uchronić kraj przed pravicową przemocą. Wiśsi nad tym wszystkim nadzieja, że po takiej kompromitacji republikańscy politycy sami złożą się do grobu. Polityka jednak tak nie działa.

Już w pierwszym sondażu, jaki po wydarzeniach w Waszyngtonie przeprowadziła szanowana pracownia YouGov, aż połowa wyborców republikańców poparła szturm! 45% z 74 mln ludzi, którzy zagłosowali na Trumpa, to ponad 33 mln Amerykanów i Amerykanek. Wniosek jest jasny – nadzieje na to, że atak na Kapitol i porażka tego niewydarzonego zamachu stanu zmiecie trumpizm i pravicę z planszy, są bezpodstawne. Kilkadziesiąt milionów ludzi w USA jest dziś oburzonych nie na zamieszki w Waszyngtonie, ale na – ich zdaniem – hipokryzję demokratów i medialnych elit.

„Kiedy czarni demonstranci płądrowali sklepy, urzędy, komisariaty policji i całe dzielnice, nic sobie z tego nie robiliście” – wściekają się. Jest to porównanie mocno naciągane, bo mowa o wydarzeniach z różnych porządków, ale stojąca za nim emocja jest prawdziwa. Po prostu nie brakuje ludzi tak radykalizowanych i lojalnych wobec partii, że zdolnych do usprawiedliwienia nawet ataku na siedzibę parlamentu. Byleby na złość „tym drugim”. W sondażu YouGov prawie 70% republikańskich wyborców mówi, że Donald Trump nie ponosi żadnej winy za to, co się stało!

I nie powinniśmy aż tak bardzo temu się dziwić. Mamy podobny przykład z najnowszej historii Polski – katastrofę pod Smoleńskiem

i teorie spiskowe, jakie po niej się pojawiły. Po 10 kwietnia 2010 r. wielu obserwatorom życia publicznego w Polsce wydawało się, że tragedia złagodzi toksyczny podział polityczny. A także, że kuriozalne teorie spiskowe i karykaturalny resentyment części prawicy pograży ją w oczach opinii publicznej. Na krótką metę PiS, owszem, przegrało. Ale dzięki mitowi smoleńskiemu skonsolidowało poparcie, wyłoniło najwierniejszych z wiernych, skutecznie okopało się w swojej twierdzy. Przeciwnicy PiS myśleli, że dziedzictwo Smoleńska to balast, który ośmieszy pravicę w Polsce. W ciągu zaledwie pięciu lat PiS jednak wróciło do władzy, poszerzając krąg swojego poparcia o część klasy średniej i mieszczaństwa. W tym samym czasie „umiarkowane” projekty w rodzaju Polska jest Najważniejsza wypaliły się i nie pozostał po nich ślad. Wiara w to, że przeciwnik ostatecznie się pograżył lub ośmieszył, bywa zgubna.

70% republikańskich wyborców uważa, że Donald Trump nie ponosi żadnej winy za to, co się stało!

Amerykański scenariusz może być podobny. Smuta po impeachmentie prezydenta Nixona w połowie lat 70. trwała zaledwie kilka lat – już w 1980 r. wybory wygrał Ronald Reagan, czym zapoczątkował trwający ponad dekadę cykl nieprzerwanych sukcesów prawicy. Nigdy nie mów nigdy.

Prezydenta pozbyć się od zaraz

Republikańców czeka kryzys tożsamości, to pewne. Ale teraz ruch należy do demokratów. Właściwie od razu po szturmie na Kapitol zaczął się namysł nad możliwością usunięcia Trumpa z urzędu przed końcem kadencji – do którego zostało już niespełna 10 dni – przy pomocy procedury impeachmentu lub 25. poprawki do konstytucji. Pozwała ona na odwołanie prezydenta przez członków jego gabinetu w sytuacji, gdy niezdolny jest on do wykonywania swoich obowiązków. Jej pomysłodawcy mieli na myśli raczej

sytuację, gdy prezydent jest ranny, śmiertelnie chory czy sparaliżowany, ale dziś opozycja powołuje się na 25. poprawkę, uznając Trumpa za człowieka niestabilnego psychicznie i stanowiącego zagrożenie dla samego urzędu i ustroju państwa.

Ameryka zresztą w ogóle, sama jako państwo ufundowane na rewolucji, spiskach i buncie, ma bardzo silne i liczne zabezpieczenia prawne przeciwko tym, którzy chcieliby republikę obalić siłą. Definicje zdrady narodowej są tak szeroko opisane w prawie, że każdy kolejny prokurator generalny i szef Departamentu Sprawiedliwości – jeśli będzie chciał – spokojnie znajdzie paragraf i na szturmujących Kapitol, i samego prezydenta.

Tu jednak pojawia się dylemat. Biden obiecywał „zszyć” Amerykę z powrotem, „ocalić jej duszę” i zbliżyć do siebie zwaśnione połówki kraju. Jego kadencja rozpoczyna się od sytuacji, w której powinien raczej

wydać wyrok na drugą połowę USA i jej idola, który długo nie uznawał go za prawomocnego prezydenta elekta i wzywał do tego innych, co skończyło się tragicznie. Biden i jego administracja będą musieli rozliczyć poprzedników i surowo obejść się ze spiskowcami. Albo, zupełnie na odwrót, stosunkowo łagodnie i z gracją zarządzać całą sytuacją, by żaden ich niezgrabny lub nieprześlany ruch nie spowodował kolejnych aktów przemocy, buntu i odrzucenia demokracji jako takiej. Jest wiele argumentów za jednym i drugim stanowiskiem. Amerykanie po obu stronach barykady są rozgoryczeni tym, co się dzieje – choć z bardzo różnych powodów. Biden nigdy nie był rewolucjonistą ani radykałem, był lojalnym żołnierzem swojej partii – tym razem okoliczności wystawiają go na poważną próbę.

Nagłówek z „New York Timesa”, który ostrzega, że ten tydzień zdefiniuje kolejną prezydenturę, może być proroczy.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeгляд.pl
Dymek.substack.com

2 stycznia zmarła nagle

prof. dr hab. nauk humanistycznych Eulalia Sajdak-Michnowska

Etik, filozof wychowania, religioznawca.
Pracowała w szkolnictwie wyższym niemal do końca życia.
W twórczości naukowej i działalności wychowawczej
zorientowana była zawsze na wartość dialogu.
Była dla nas wzorcem kultury wzajemnego zrozumienia,
niezależnie od własnych poglądów.

Przyjaciele z Instytutu Religioznawstwa

Nie ma tabu, są jedynie bezbeki

Na razie na szczęście nie powstała Memoteka Narodowa, nie ma też kuratorów, galerii ani krytyków memów

Rozmawia Michał Sobczyk

Czego socjolog, etnograf czy kulturoznawca może się dowiedzieć z memów?

– Może je potraktować jak każdy inny tekst kultury i np. próbować z nich wyczytać, jakie wartości dominują w społeczeństwie. Kryje się tu jednak pewna pułapka. Wiele analiz ogranicza się do treści memów, tymczasem moim zdaniem najciekawsze jest to, co ludzie z nimi robią: jak na nie reagują, w jaki sposób je komentują, w tym tworząc własne memy, przekształcając, zderzając ze sobą, cytując. Uchwycenie tej dynamiki jest trudne, ale pozbawiając memy kontekstu, wysysamy z nich życie.

Memy mają już swoich badaczy.

– Bardzo dużo projektów badawczych próbuje jakoś zająć się memami, bo wszyscy mamy poczucie, że ta bezprecedensowa oddolna wytwórczość kulturowa jest czymś ważnym. Problem w tym, że niewielu przedstawicieli nauk humanistycznych i społecznych jest mocno zanurzonych w memosferę. A obcując z materiałem, do której nie jest się przyzwyczajonym, bardzo łatwo gubi się wątek. To tak, jakby etnolog pojechał badać jakąś egzotyczną społeczność bez żadnej wiedzy o niej. To nie wyjdzie.

Wielu badaczy zniechęca się do tej tematyki, bo wymaga ona nieustającego trzymania ręki na pulsie, a mało kto ma możliwość na dłuższą metę funkcjonować w ten sposób. Mam wrażenie, że analiza memów jest obecnie najtrudniejszym obszarem, jeśli chodzi o badanie kultury w ogóle.

Każdego tygodnia oglądasz setki, jeśli nie tysiące memów. Co ciekawego mówią o polskim społeczeństwie?

– Szukanie trwałych tendencji w świecie mediów cyfrowych, z natury rzeczy efemerycznym, jest



DR HAB. MAGDALENA KAMIŃSKA

– badaczka mediów cyfrowych i kultury popularnej. Pracowniczka naukowa Instytutu Kulturoznawstwa UAM, autorka książek „Nieczne memy. Dwanaście wykładów o kulturze internetu” oraz „Memosfera. Wprowadzenie do cyberkulturoznawstwa”.

niezwykle trudne. Nie tak dawno hitem były memy z Czarzastym, a gdy za rok Facebook nam je przypomni, nie będziemy pamiętać, o co w ogóle chodziło. Co więcej, każdy kolejny rocznik, który zaczyna aktywnie korzystać z internetu, przynosi inny bagaż przemyśleń i problemów. Myślę jednak, że przyglądając się memom, można np. spróbować scharakteryzować polskie poczucie humoru.

Czym wyróżniają się polskie memy?

– W porównaniu z innymi memosferami, zwłaszcza niestowiańskimi, nasza wyróżnia się drapieżnością, wręcz agresywnością, a także dosadnością, w tym zamiłowaniem do wulgaryzmów, które zresztą w wielu

przypadkach są tak kreatywne, że nieprzekładalne na inne języki. Tym, co łączy różne pokolenia Polaków partycypujących w twórczości internetowej, jest także reagowanie śmiechem na sytuacje kryzysowe. Było to bardzo dobrze widać podczas pierwszego lockdownu, kiedy powszechne poczucie, że nadciąga apokalipsa, bardzo szybko zaczęło być osławiane memami na jej temat.

W polskich memach dobrze widoczne jest także traktowanie polityki jako farsy oraz przekonanie, że nasze państwo jest z kartonu, a władza nie ma i nigdy nie będzie miała nad niczym kontroli. Pamiętajmy jednocześnie, że memiczny humor opiera się na przerysowaniach.

Zastanawiam się, czy obrazkowa publicystyka internetowa jest jedynie barometrem poglądów i postaw, czy również jest w stanie je kształtować.

– Raczej się zakłada, że wszystkie wytwory kultury w większym stopniu odzwierciedlają rzeczywistość, niż ją kreują. Jednocześnie nie można im odmówić tego, że są w stanie wspierać *status quo*. Nie przeprowadzono jednak odpowiednio rozbudowanych badań. Skłaniam się do stwierdzenia, że w mediach społecznościowych ludzie szukają przede wszystkim treści, które umacniają ich w przekonaniach. W związku z czym memy raczej integrują poszczególne grupy, niż sprawiają, że ktoś z liberalnego progresywyisty staje się wyznawcą mrocznej teorii spisków.

Specyfiką sieci jest to, że wszelkie ekstrema są w niej lepiej widoczne, także z powodu aktywności propagandowych botów i płatnych trolli, co łatwo wywołuje panikę moralną: „Jezus Maria, zobaczyłem coś takiego w internecie, każdy może na to trafić i raptem będziemy mieli tysiące radykałów”. Tymczasem online nie przekłada się tak łatwo na offline, czego dowodem są choćby ugrupowania polityczne, które świetnie

- radzą sobie w mediach społecznościowych, a w prawdziwych wyborach w ogóle.

Memogenność Andrzeja Dudy nie miała istotnego wpływu na jego postrzeganie przez elektorat?

– To, dlaczego ludzie głosują tak, a nie inaczej, jest pytaniem bardziej do politologów. Memogenność danej osoby na pewno zwiększa jej rozpoznawalność, ale nie sądzę, by tylko ona przesądzała o sukcesie wyborczym. Ostatnio czytałam o badaniach, w których stwierdzono, że ludzie podejmują decyzje w ostatniej chwili, przy urnie i nieraz nie są

które specjalizują się w wyprowadzaniu ludzi z równowagi i obrażaniu wszystkich możliwych poglądów. Wspomniany bait zaczął się rozbudowywać i z czasem papież stał się memem. A historii o nim czy upamiętniających go pomników – na ogół wyglądających tak, że nie daj Boże – jest tak wiele, że łatwo się inspirować i tworzyć kolejne teksty kultury.

Obecnie mało kto daje się złapać na papieskie przynęty, ale odnoszące się do nich żarty stały się pewnego rodzaju tradycją. Młodzi ludzie, którzy

poczucia humoru. Różnice między memami o treści politycznej zależą przede wszystkim od ich grupy docelowej. Jeśli chcemy agitować szeroko, np. integrować ogół przeciwników partii rządzącej, jak stara się to robić niestawny Sok z Buraka, musimy posługiwać się treściami i formami zrozumiałymi dla każdego. Kiedy robimy mema dla kolegów z własnej bańki światopoglądowej,

Mem często po kilku godzinach jest już martwy.

w stanie wyjaśnić, dlaczego zaznaczyli dane nazwisko. Chyba nigdy nie uda się jednoznacznie stwierdzić, czy i jaki wpływ na takie zachowania mają oglądane przez nich memy.

Bohaterem niezliczonej liczby memów – często prowokacyjnych, a nierzadko także hermetycznych – jest Jan Paweł II. Jedną z przyczyn wydaje mi się potrzeba odreagowania absurdu kultu tej postaci.

– To frapująca kwestia, bo tzw. cenzopapy są jedną z trwalszych części polskiej memosfery. A tak naprawdę wszystko zaczęło się od czegoś trochę innego: obrazoburcze komentarze na temat największego autorytetu polskich katolików były sztandarowym chwytem trolli, czyli bytów internetowych,

heheszują z godziny 21.37, nie pamiętają śmierci Jana Pawła II, ale grupa nauczyła ich, że nawiązywanie do tych cyfr jest śmieszne, więc to podchwycili. Natomiast chyba już nie widzą krytycznego ostrza, które w tym jest ukryte.

Czy polska memosfera uznaje jakiegokolwiek tabu? Nie mówię o jej najczarniejszych czeluściach, ale o czymś, co można by nazwać głównym nurtem.

– Ideowi memiarze odpowiedziliby, że powinna panować absolutna wolność, jeśli chodzi o to, z czego i w jaki sposób się śmiejemy. Co prawda, za samo poruszanie niektórych tematów Facebook może automatycznie zawiesić nam konto, ale poza tym właściwie nie ma granic. Źle widziane są jedynie bezbeki, czyli memy nieśmieszne



którzy są wyrafinowanymi memiarzami, możemy sobie pozwolić na żarty dla wtajemniczonych. Memy podzieliłabym zatem na normickie, czyli masowe, i ekskluzywne. W lewicowych grupkach na Facebooku na ogół wszyscy się znają i może stąd bierze się hermetyczność wrzucanych tam treści. Mam też wrażenie, że lewicowi memiarze bardziej otwarcie czerpią z klisz anglojęzycznego internetu, natomiast prawicowi raczej to maskują.

Do jakiego stopnia polska memosfera bazuje na globalnych formatach?

– Rzecz jasna są one wykorzystywane, ale rzadko w pierwotnym zna-

Memy na temat Jana Pawła II są jedną z trwalszych części polskiej memosfery.

lub wtórne, jak również te, które były już wrzucane wiele razy. Od razu widać, że przyszedł nowicjus i stara się brylować.

Memy stały się ważnym narzędziem walki światopoglądowej.

– Obie strony zarzucają sobie nawzajem, że „nie umieją w memy”, czyli że tworzone przez nich treści są nieśmieszne. Nie jestem jednak do końca przekonana, że podziały polityczne pokrywają się ze zróżnicowaniem w zakresie

czeniu, a ponadto prawie zawsze są przerabiane. Tyle się mówi o amerykanizacji, tymczasem tekstów kultury nie da się przekopiować w skali 1:1. Niezależnie od tego, ile byśmy się tego Netfliksa naoglądali w oryginalu, i tak nawiązującego mema musimy jakoś osadzić w rodzimym kontekście, jeśli mamy śmiać się z niego.

Odmienność polskiej memosfery można śledzić na przykładzie formatów popularnych na całym świecie. Przykładowo facet, który u nas jest



znany jako Dziwny Pan ze Stocku, w anglojęzycznym internecie funkcjonuje jako *Hide the Pain Harold* (Cierpiący Wewnętrznie Harold – przyp. red.). Przypisaliśmy tej postaci zupełnie inną osobowość, dla nas ona nie ukrywa żadnego cierpienia, tylko jest typem wrednym i dokuczliwym. Nie wiem, z czego wynika akurat ta różnica, może ze wspomnianej już złośliwości polskiej społeczności internetowej?

Gry komputerowe doczekały się różnych nurtów, własnych hierarchii, a nawet instytucji. Czy znaczenie młodsza gałąź cyberkultury, jaką jest twórczość memiczna, znajduje się już na podobnym etapie rozwoju?

– Na dobrą sprawę zapytałeś mnie o to, czy w odniesieniu do memosfery można używać pojęcia kanonu. O to, czy są już memy, które znają i będą znali niemal wszyscy zanurzeni w internecie. Otóż nawet w tak dynamicznym środowisku wykształcił się pewien kanon. Nie decydują o nim jednak krytycy ani oficjalne instytucje, tylko sami odbiorcy. Możliwe, że łatwiej niż w przypadku elementów wizualnych można to udowodnić w odniesieniu do elementów tekstowych, np. cytując Wielką Inbokację Zbigniewa Stonogi wygłoszoną po wyborach w 2015 r. i sprawdzając, jak powszechnie rozpoznawane są pewne frazy.

KIEDY JESTEŚ JAKO SZÓSTY NA WIGILI I CZEKASZ, AŻ ZWOLNI SIĘ MIEJSCE



Oczywiście często jest tak, że fraza jest znajoma, wiemy, w jakim kontekście możemy jej używać, ale nie pamiętamy, skąd się wzięła. To fantastyczne i paradoksalne, bo do pewnego stopnia cofa nas w myśleniu o wytwórczości kulturowej do epoki sprzed wynalezienia druku, kiedy



autorstwo we współczesnym rozumieniu nie funkcjonowało. Na marginesie warto odnotować, że memy są na pewnym poziomie bliskie folklorowi, dla którego charakterystyczne jest to, że każda artykulacja danej opowieści nieco zmienia jej treść.

Czy zatem memosfera może zostać wtłoczona w jakieś normy?

– Jeśli chodzi o instytucjonalizację memosfery, to na razie na szczęście nie powstała Memoteka Narodowa, nie ma też kuratorów, galerii ani krytyków – choć niektóre profile na Facebooku próbują odgrywać tę

Internet nauczył młodych, że żartować można ze wszystkiego, a żartując, można mówić bardzo ważne rzeczy.

rolę. Mam nadzieję, że ta dziedzina wytwórczości nigdy nie da się do końca kontrolować, a więc że na robienie memów nie będzie potrzebna licencja, jak chciałby podmiot liryczny znanej pasty (humorystyczny tekst przypominający opowiadanie, rozpowszechniany i modyfikowany przez internautów – przyp. red.), ubolewający nad tym, że „coraz więcej amatorów pcha się do zabawy”.

Dla młodych użytkowników mediów społecznościowych memy to nie tylko rozrywka czy satyra polityczna, ale i ważne medium do komunikowania poglądów, potrzeb i emocji. Czy wychowani na memach będą innymi obywatelami, pracownikami lub rodzicami?

– Zdecydowanie tak. Będą mieli skłonności do wyrażania się w sposób zwięzły i dowcipny, a co więcej, nie będą uznawali podziału na to, co poważne, i to, co żartobliwe, tak wyraźnego u starszych pokoleń. Internet nauczył ich, że żartować można ze wszystkiego, a żartując, można mówić bardzo ważne rzeczy.

Postulaty na transparentach niesionych przez młodzież podczas protestów w sprawie aborcji były właśnie wyrazem memicznego sposobu myślenia: krótkie, błyskotliwe, zawierające intertekstualne nawiązania, w tym – ku zaskoczeniu niektórych – do „oflajnowego” kanonu kultury. Dzięki nim starsze roczniki odkryły, że ci niedouczeni debile, którzy w domu i w szkole nie odrywają wzroku od smartfona i odpowiadają monosylabami, to chyba jednak geniusze.

Popularność memów jako formy wyrazu, a także konkretnych memicznych treści, próbują wykorzystywać marketingowcy i politycy.

– Mem, który chwyci, potrafi w kilka godzin obieć internet i, co ważniejsze, wygenerować ogromne zaangażowanie. To takomy kąsek dla każdego *social media ninja* (specjalisty od marketingu w mediach społecznościowych – przyp. red.), który z chęcią powoziłby się

trochę na takiej ilości uwagi. Rodzaj towaru ma tu mniejsze znaczenie – może chodzić o sprzedaż jakiegoś produktu, czyjejś oferty politycznej czy podbicie rozpoznawalności marki.

Zrobić to dobrze można jednak tylko w ramach bardzo sprawnego marketingu czasu rzeczywistego, ponieważ mem często po kilku godzinach jest już martwy. Ostatnio takim krótkotrwałym hitem stało się zdjęcie pewnego boksera w charakterystycznej niebieskiej kurtce, czekającego bezskutecznie na człowieka, z którym chciał odbyć tzw. solówkę. Do tego obrazu w następnych dniach nawiązało wielu, w tym duża sieć sklepów sportowych. Za to wielkim zawodem dla świata marketingu stała się decyzja o nierozstrzygnięciu plebiscytu na młodzieżowe słowo roku. Iluż brand managerów miało już obmyślane kampanie na temat Julki z Twittera! W innej rzeczywistości prawnej mogliby pozwać PWN o utracone premie.

Michał Sobczyk
m.sobczyk@tygodnikprzeglad.pl

Małgorzata
Szczepańska-Piszcz

Gdy w 1963 r. wygnano z Wrocławia czarną ospę, nastał czas rozliczeń. Zastanawiano się, kto rozpętał śmiertelną epidemię, której pokonanie wymagało zaszczepienia prawie 8 mln Polaków. Ale wyciągnięto też wnioski z tego, co zadecydowało o wygranej z zarazą

Kto zawinił?

Na pewno do rozwoju epidemii ospy we Wrocławiu przyczynili się medycy. Przede wszystkim, dlatego że źle zdiagnozowali pacjenta zero – Bonifacego Jedynaka, oficera wywiadu, który w maju 1963 r. z krótkiej delegacji do Indii, gdzie

Czarna ospa we Wrocławiu – cd. Jak walczono z zarazą

42 godziny po zdiagnozowaniu ospy
Wrocław rozpoczął masowe szczepienia

izolatkę. A kobieta przekazała chorobę córce – pielęgniarce, synowi oraz swojemu lekarzowi. Oni następnym. I wybuchła epidemia czarnej ospy.

Za młody

Po raz drugi medycy zawiedli, gdy nie posłuchali swojego kolegi, lekarza Nikifirowa z oddziału skórno szpitala MSW, gdzie leżał Jedynak.

„Brak doświadczenia klinicznego w rozpoznawaniu ospy, a przede wszystkim brak epidemiologicznego sposobu myślenia spowodował, że błędnie rozpoznano ospę wietrzną u chorej w wieku 52 lat (salowa Powińska – przyp. aut.) oraz u leczącego ją lekarza w wieku 44 lat (...). Zachorowanie na ospę wietrzną u osób dorosłych należy w Polsce do rzadkich wydarzeń. A szczególnie mało prawdopodobne jest zachorowanie na ospę wietrzną lekarza, który w swojej wieloletniej praktyce był niejednokrotnie narażony na zakażenie i powinien być odporny na tę chorobę. Błąd popełniono również w trzecim szpitalu (tam leżała córka salowej Powińskiej – przyp. aut.), gdzie mimo niezwyklego przebiegu choroby i trudności diagnostycznych nie przeprowadzono elementarnego dochodzenia epidemiologicznego nawet wśród najbliższych członków rodziny (chorej pielęgniarki – przyp. aut.). Uzyskanie informacji o chorobie matki i brata zmarłej pielęgniarki powinno naprowadzić na prawidłowe rozpoznanie już w pierwszych dniach lipca” – ocenił „Przegląd Epidemiologiczny” w 1964 r.

Trudne rozpoznanie

Jednak trzeba podkreślić, że w XX w. rozpoznanie czarnej ospy

Tylko w trzech pierwszych dniach akcji zaszczepiło się 124 tys. osób, a do 22 lipca – 180 tys., niezależnie od szczepień MO i WP.

panowała epidemia czarnej ospy, przywłócił śmiertelnego wirusa do Wrocławia. Przy czym wrocławscy lekarze postąpili prawidłowo. Rozpoznawszy u Jedynaka malarię – w Polsce chorobę egzotyczną – wysłali go do gdańskiego Zakładu Medycyny Tropikalnej, żeby pacjentowi przyjrzeni się specjaliści.

Niestety, gdańszczanie zawiedli, bo ograniczyli się tylko do potwierdzenia wrocławskiej diagnozy i przeoczyli, że organizm chorego walczy nie tylko z malarią, ale także ospą prawdziwą. „Stwierdzenie pasożytów zimnicy w krwi chorego, który importował zarzek do kraju, odwróciło uwagę lekarzy od właściwego rozpoznania. Stwierdzenie malarii może być częściowym usprawiedliwieniem, (...) równocześnie dowodzi, że każda choroba gorączkowa u człowieka, który przybywa z terenu zakażonego ospą, musi być bardzo dokładnie zbadana, przede wszystkim pod kątem wykluczenia ospy. Kluczowe są w takim przypadku badania wirusologiczne”, ocenili Jan Kostrzewski i Wiesław Magdzik w „Przeglądzie Epidemiologicznym” w 1964 r. Zła diagnoza ZMT sprawiła, że Jedynak wkrótce zaraził ospą Janinę Powińską, salową, która sprzątała jego szpitalną

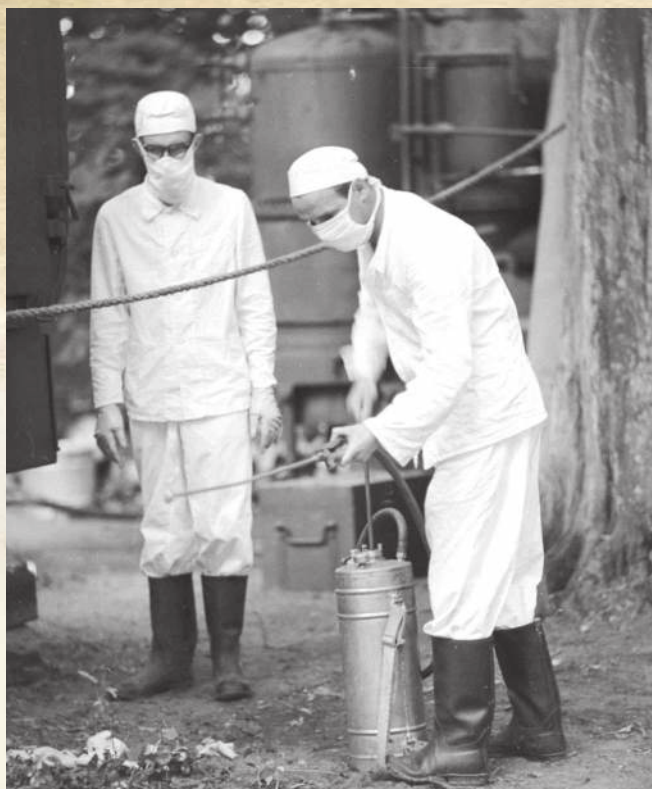
Nikifirow już ok. 20 czerwca rozpoznał u pacjenta ospę prawdziwą. „Jednak dalsze konsultacje lekarzy specjalistów ze szpitali zakaźnych obaliły tę tezę (...)” – twierdzi Grażyna Trzaskowska w pracy „Na drugiej linii. Epidemia ospy prawdziwej w Polsce z 1963 r. w świetle dokumentów Służby Bezpieczeństwa”. Dlaczego zignorowali dobrą – jak się później okazało – diagnozę, autorka nie tłumaczy. Być może zawążył młody wiek Nikifirowa, który był wtedy tylko lekarzem stażystą.

Medycy zawiedli po raz trzeci, gdy pozwolili czarnej zarazie hulać sześć tygodni po Wrocławiu, zanim zorientowali się, że to ospa prawdziwa. Nieco usprawiedliwia ich fakt, że od 1924 r. czarna ospa nie była już chorobą rodzimą, endemiczną, bo

We Wrocławiu zlikwidowano ospę w 26 dni.
Sztokholm potrzebował czterech miesięcy, a Londyn aż roku.

niemal cała Europa, poza Hiszpanią i Portugalią, rozprawiła się z nią między dwiema wojnami światowymi. Na Półwyspie Iberyjskim udało się ją zlikwidować później, na początku lat 50. W latach 60. głównymi ogniskami czarnej zarazy były Azja, Afryka i Ameryka Południowa.

nie było łatwe nawet dla dobrze przeszkolonego medyka. Już ponad sto lat temu słynny lekarz bakteriolog Howard Taylor Ricketts, zajmujący się chorobami zakaźnymi, zauważył: „Czasy się zmieniły od dni Jennera (wynalazcy szczepionki przeciwko ospie – przyp.



Dezynfekcja w szpitalu w Szczodrem pod Wrocławiem, gdzie umieszczano chorych na ospę.

aut.). Pomijając już to, że nie mamy doświadczenia, różne okoliczności składają się na to, że rozpoznanie ospy nastręcza nam więcej trudności niż naszym poprzednikom. Główną trudność zawdzięczamy Jennerowi, dzięki niemu oспа stała się zupełnie inną chorobą, którą wprawdzie łatwiej jest przebyć, ale trudniej rozpoznać i proste zasady, które kiedyś wystarczały, wprowadzają nas obecnie w błąd". Jak różne postacie przybiera oспа, przekonali się wrocławscy lekarze w 1963 r. Okazało się, że chorujących można podzielić z grubsza na cztery grupy. W pierwszej – skupiającej najciężej chorych, wszyscy umarli w ciągu kilku dni od zachorowania, przed wystąpieniem typowych wykwitów ospowych – nie byli w ogóle szczepieni lub dostali szczepionkę wiele lat wcześniej. W drugiej grupie ciężko chorzy mieli wszystkie objawy choroby, szczepieni byli tylko w dzieciństwie. Trzecia to lekko chorzy ze słabymi objawami ogólnymi i niewielkimi zmianami skórными, szczepieni w dzieciństwie. I czwarta – pacjenci bez klinicznych objawów choroby. Skarżyli się tylko na

lekkie bóle głowy i okolice łędźwiowej, stany podgorączkowe oraz niewielkie, szybko zanikające wykwity na skórze. W tej grupie pacjenci byli szczepieni od dwóch do 51 lat wcześniej, ale byli też tacy, którzy nigdy nie przyjęli szczepionki.

Z całą pewnością poprawnej diagnozy nie ułatwiał fakt, że wszelkie informacje o Bonifacym Jedynaku długo utajniano. Najprawdopodobniej, gdyby pacjent zero nie był szpiegiem, lekarze szybciej zorientowaliby się, że chorzy, których leczą na

ospę wietrzną, są tak naprawdę roznosicielami śmiertelnej czarnej ospy przywleczonej z Indii.

Wrocławską epidemię z pewnością napędziła także decyzja władz państwowych, żeby nie informować ludzi o zarazie (o której wiedzano od 15 lipca) i hucznie świętować 22 lipca oraz tradycyjnie je poprzedzające, rozpoczynające się 19 lipca, wrocławskie Święto Kwiatów. Nieświadomi zagrożenia wrocławianie tłumnie

Żeby kupić bilet na autobus czy pociąg, trzeba było okazać zaświadczenie o szczepieniu.

bawili się cztery dni na ulicach, bo świętowaniu sprzyjała piękna, lipcowa pogoda.

Powodów wybuchu wrocławskiej epidemii jest oczywiście więcej. „Wśród najważniejszych przyczyn epidemii należy wymienić niedostateczne rozpowszechnienie szczepień przeciwospowych wśród pracowników służby zdrowia mimo wydania w 1962 r. zarządzenia ministra zdrowia o obowiązku szczepień” – nie mieli wątpliwości już w 1964 r. Kostrzewski i Magdzik. W rezultacie zachorowało 25 pracowników służby

zdrowia, cztery osoby zmarły. Cóрка salowej Powińskiej zaraziła aż 31 osób.

Szybkość decyzji

Jednak mimo wielu błędów wrocławianie bardzo szybko uporali się z wirusem, bo postawili na izolację chorych i podejrzanym o zarażenie oraz szczepienia. Ale wszystko wskazuje na to, że o błyskawicznym sukcesie w walce z epidemią zdecydowały: nadzwyczajna szybkość, rozmach i radykalność podjętych działań. 15 lipca po południu władze Wrocławia dowiedziały się od lekarzy, że w mieście jest czarna oспа. 16 lipca zapadła decyzja o masowych szczepieniach, które rozpoczęto już 17 lipca! Dodatkowe punkty szczepień w zakładach pracy uruchomiono następnego dnia, 18 lipca. W pierwszym rzucie obowiązkowo szczepiono pracowników służby zdrowia i służb mundurowych: milicji, wojska, kolei. Dla pozostałych osób szczepienia początkowo były całkowicie dobrowolne. „Jak się okazało, chętnych było tak dużo, że liczba osób, które zgłosiły się do punktów szczepień, przerosła wszelkie oczekiwania władz. Tylko w trzech pierwszych dniach akcji zaszczepiło się 124 tys. osób, a do 22 lipca – 180 tys., niezależnie od szczepień MO i WP. Dla porównania w 1962 r. w Polsce przeciwko ospie prawdziwej ogółem zaszczepiono ok. 200 tys. osób”, wyliczyła Grażyna Trzaskowska.

Ponieważ nie wszyscy chcieli się szczepić, zaczęto radykalizować działania. Niezaszczepieni stracili

prawo do podróżowania. Żeby kupić bilet na autobus czy pociąg, trzeba było okazać zaświadczenie o szczepieniu. Nawet prywatnym samochodem nie można było wjechać do miasta czy wyjechać bez stosownego zaświadczenia, bo na rogatkach czuwalu mundurowi. W końcu 1 sierpnia szczepienia stały się przymusowe, nad czym czuwały milicja, zakłady pracy, administracje domów. Niezaszczepionym groziły surowe kary pieniężne, a nawet więzienie. Już w sierpniu 1963 r. patrole milicji odnotowały, że tylko

- ▶ ok.1% podróżujących po wrocławskich drogach nie ma zaświadczenia o szczepieniu.

Według danych szacunkowych tamtego lata w województwie wrocławskim mieszkało i przebywało czasowo na wczasach czy koloniach – 2,261 mln osób. Z czego zaszczepiono 2,177 mln osób. 4,5 tys. nie zaszczepiono z powodu przeciwwskazań. W sumie w Polsce krowiankę podano prawie 8 mln ludzi, głównie dobrowolnie, bo obowiązkowe szczepienia były

tylko dla grup przemieszczających się między województwami, np. dla obozów wędrownych.

Już po dwumiesięcznej walce, 15 września 1963 r., ówczesny minister zdrowia ogłosił Wrocław miastem wolnym od ospy. Ale władze lokalne podkreślały, że ostatni przypadek zachorowania na ospę odnotowano 10 sierpnia, czyli ta walka trwała znacznie krócej, bo tylko 26 dni. Zmagania z powojennymi epidemiami ospy w innych europejskich krajach były znacznie dłuższe.

Sztokholm potrzebował czterech miesięcy, a Londyn aż roku.

Ciągle bez odpowiedzi pozostaje pytanie, jak zdołano przeprowadzić tak błyskawiczną, masową i sprawną akcję w czasach, gdy niewiele osób miało prywatny telefon i samochód? Gdy brakowało wszystkiego. I to we Wrocławiu, który 18 lat po zakończeniu II wojny światowej ciągle liżał rany po wojennej katastrofie.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz
m.piszcz@tygodnikprzeglad.pl

LISTY



Czarna ospa we Wrocławiu

Dlaczego udało się tak szybko zwalczyć epidemię czarnej ospy we Wrocławiu? Tamci ludzie po prostu pamiętali choroby zakaźne.

Dzisiejsze społeczeństwo nie ma już

o tym pojęcia. Covid kojarzy im się z jakimiś czarami, które wymyśla zły rząd albo Bill Gates.

Henryk Pospulski

Tamto państwo było odpowiedzialne. W przeciwieństwie do „chłamu” państwa po 1989 r. Pod rządami każdej ekipy, nawet Leszka Milera.

Rafał Gonicki

Inny był w tamtym czasie porządek prawny, inna skala problemu. Co nie zmienia faktu, że obecną ekipę i tak by to przerosło.

Tomasz Verg

Wtedy się robiło, a dzisiaj tylko mówi, że się robi.

Bożena Miernik

A pamiętacie, że igły były wtedy wielorazowe? I pielęgniarki z izolatoriów rozmawiały przez siatkę ze zdrowymi?

Joanna Mandecka

Wtedy szczepionki były opracowywane w państwowych laboratoriach, a dziś mamy produkty nastawionych na szybki zysk koncernów farmaceutycznych, wokół których co rusz wybuchają jakieś skandale. Nic dziwnego, że wiele osób mówi „dziękuję”.

Piotr Sawicki

Też byłem szczepiony. Nie było takich hec jak teraz. Nie było celebrytów.

Janusz Malendowski

Jeśli ówczesny celebryta błysnąłby jak dziś Górniak, to telewizję oglądałby tylko w domu.

Zdzisław Nowak

Wiedza wzbiera i odpływa. Ta nowożytna, obejmując temat w większą całość, podupadała już od ery Gutenberga. Nieuk będzie nieukiem, niezależnie od upływu czasu. Ewentualnie głupiec stanie się „wykształconym” głupcem, a sugerowanie, jakoby nowoczesny nieuk tudzież głupiec stał się tytanem nauki, bo ma możliwość wypisywania na forum swoich bzdur o Sorosie, gdy jego historyczni odpowiednicy wołali z widłami wprost: „Zabić Żydów!”, jest dużym nadużyciem. Sama nauka może próbować obalić naukę, ale nie jest regułą, że nowe zwycięża stare. Ba! Stare potrafi niewzruszenie trwać.

Juliusz Góral

Za tzw. komuny był paragraf o rozpowszechnianiu nieprawdopodobnych i mogących wywołać niepokój społeczne wiadomości i informacji. Warto byłoby dzisiaj go wskrzesić – skończyłoby się antyszczepionkostwo i inne paraprpagandowe bzdety, w które ciemnota bardzo chętnie wierzy.

Gienek Eugene

Problem w tym, że tamta szczepionka była naprawdę skuteczna,

a ta będzie dawać odporność na góra jeden sezon. Nawet jak ktoś się zaszczepi, to w następnym roku i tak nie będzie miał przeciwciał, więc w przyszłym roku może się ponownie zarazić. No ale teraz nie mówi się o tym głośno. Na razie trzeba opchnąć jak najwięcej szczepionek kupionych za unijne pieniądze, a za rok powiedzą, że każdy, kto chce, sam musi sobie kupić.

Adrian Skowroński

Faktem jest, że nie wiadomo, jak długo trwa odporność po tej szczepionce. Co całą akcję szczepień stawia pod dużym znakiem zapytania, bo jeżeli np. w ciągu roku nie zdąży się zaszczepić wszystkich chętnych (a raczej się nie zdąży), a okaże się, że po roku trzeba szczepienie powtarzać, nastąpi ogromna katastrofa organizacyjna.

Alicja Strzalka

Dwa lata odporności – z tego co słyszałem. Skąd ten pesymizm? I co proponujesz w zamian – żeby szerzej otworzyć bramy cmentarzy?

Adrian Wośkowiak

Nawet prawie 60 lat temu była lepsza dyscyplina i organizacja w Polsce. To w którym roku my teraz jesteśmy? W 1821?

Jarek Kosznik

Teraz wystarczyłoby antyszczepionkowcom wystawiać rachunki, jeśli narazili na zakażenie, za testy na obecność wirusów oraz leczenie zakażonych ludzi.

Michał Czarnowski

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Pieskie życie

Nasi sąsiedzi nie będą się szczepić, nie ma mowy. Śmiertelnie boją się szczepionki, boją się, że przeformatuje ich genetycznie, a wirusa się nie boją, bo mają na niego swoje magiczne sposoby. Ogromny jest kontrast między tym, jak szybko stworzono szczepionki, jak niezwykle jest postęp naukowy, a równolegle na drugim biegunie bujnie krzewią się irracjonalne myślenie i magia. Więcej niż połowa Polaków boi się szczepień. Wprawdzie nie ma takich badań, ale jestem pewien, że w większości to zwolennicy PiS. I że istnieje ścisły związek między wiarą w zamach smoleński i w spisek szczepionkowy. Można by przy okazji zapytać, co z wybuchem na pokładzie tupolewa?

swoje mądrości. Przytaczam fragment z tego długiego tekstu, bo świetnie ukazuje spiskowe myślenie, które się pleni w świecie: „Pandemia koronawirusa nie jest efektem działań wirusa, tylko świata, który jej potrzebował. Ludzkość uwierzyła w istnienie straszliwej zarazy, ponieważ była bombardowana propagandą w każdym miejscu i na wszelkie możliwe sposoby. (...) Jesteśmy świadkami ogólnoświatowego zamachu stanu. Ziemia jest przejmowana przez korporacje i banki centralne, a narzędziem terroru został wirus. Z kilkuset chorób wybrano jedną i zbudowano wokół niej nową religię. Świat został podporządkowany tylko i wyłącznie mniemanej pandemii.

pójdę i będę miał to z głowy. A teraz ujadanie i szczucie mediów publicznych: tak zachowują się elity III RP. PiS mówi do ludu: popatrzcie, jak wami gardzą, wypychają was z kolejki po życie. Trzeba tę elitę wymienić na nową. Nienawiść do elity to pogarda dla tego, co Polska ma najcenniejszego, bo przecież nie przemysł samochodowy. Przetrzebione przez wojnę i emigrację elity to nasz największy skarb. A jak wygląda pisowska elita, widzimy i słyszymy na co dzień.

Sylwester. Chcemy się spotkać tylko z jedną parą. Kolega fotograf z żoną Irlandką, lubię ich, bo mają serca na dłoni, ale nagle problem, bo ich syn w wieku mojego Antosia umówił się na balangę z kilkunastoma młodymi. Rodzice nie puszczają go i muszą zostać w domu, by chłopca pilnować. Wykrzyczał, że zmarnowali mu życie (okaże się, że i tak go nie upilnują i się wymknie). Zapraszam więc na gwałt inną parę, bo przykro być samemu w sylwestra, bo zmarnuje się jedzenie. Mieszkają niedaleko. Nie mogą przyjść, bo mają psa, pies neurastenik boi się zostać sam w domu. Dzieci i psy niezwykle awansowały w naszej cywilizacji, są już nie tylko pełnoprawne, są nawet uprzywilejowane. Powiedzenie „pieskie życie” oznacza już coś zupełnie innego niż kiedyś.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Dzieci i psy niezwykle awansowały w naszej cywilizacji, są nie tylko pełnoprawne, są nawet uprzywilejowane.

Grobowe milczenie nad tą sprawą. A Macierewicz pływa w tym milczeniu jak ryba w wodzie. Jeśli nie ma dowodów na zamach, jest to dowód sprytnego zatarcia śladów zbrodni.

Obok pandemii i szczepionki na zarazę do najważniejszych wydarzeń minionego roku należy przegrana Trumpa. Daje nadzieję, że to początek odwrótu inwazji prawicowo-narodowego myślenia w świecie. Znajomy pisze mi ze Stanów: „Obserwujemy z grozą i z zażenowaniem Kaligulę, Króla Ubu i agenta Rosji w jednej osobie, który urządza spektakl, jakiego nie prześcignie żaden film hollywoodzki”. Ale przecież 70 mln Amerykanów widzi ten spektakl i nie zniechęca się do Trumpa. Wiadomość z ostatniej chwili – w Stanach przeprowadzono ankietę, z której wynika, że Donald Trump jest najbardziej podziwianym człowiekiem w USA. Tu jest prawdziwy dramat. Inny mój kolega, trumpowiec mieszkający w Stanach (chodziliśmy do jednej klasy i zawsze miałem go za człowieka rozumnego), zamieszcza na Facebooku

(...) O ile w czasie wojny i komunizmu wróg był jawny i namacalny, tak teraz jest rozmyty, niejasny, zupełnie niesprecyzowany. (...) Znajdujemy się w najpoważniejszej sytuacji od zakończenia II wojny światowej”. Widzę, że kolega zamieszcza przy okazji antysemickie zdjęcia i komentarze. Takie myślenie niemal zawsze łączy się z antysemityzmem, bo on też jest oparty na mrocznym i magicznym myśleniu.

Grupa znanych ludzi sztuki, głównie aktorów, a przy okazji Leszek Miller, zażyczyła się wcześniej. Dostali taką propozycję od instytucji medycznej. Po czasie rzeczywiście wygląda to niezręcznie. Tak jest z wieloma niezręcznościami tego świata, ich pokraczność ujawnia się dopiero wtedy, gdy się dokonają. Ale jestem pewien, że wszyscy, którzy teraz tak krzyczą, sami skorzystaliby z podobnej propozycji, ja pewnie też, chociaż nie boję się za bardzo wirusa. Pomyślałbym, że skoro proponują, skoro nie zabiorę szczepionki innym, bardziej potrzebującym, skoro to będzie promowanie szczepień,





Rewolucja oświatowa

W II RP szkoły wyższe ukończyło ok. 83 tys. osób,
a tylko w pierwszym 30-leciu PRL ponad 800 tys.

Bohdan Piętko

Awans edukacyjny społeczeństwa, zwłaszcza w dostępie do wyższego wykształcenia, był jednym z najważniejszych osiągnięć powojennej Polski. Dzisiaj osiągnięcie to – jak i inne pozytywne działania Polski Ludowej – jest pomijane lub deprecjonowane. W dominującej obecnie narracji podkreśla się brak autonomii szkolnictwa wyższego w PRL oraz wielokrotny w porównaniu z okresem Polski Ludowej wzrost liczby studentów po 1989 r., która w roku 2009 wyniosła ok. 1,9 mln wobec 403,8 tys. w roku 1990. Żeby jednak uświadomić sobie skalę zmian dokonanych w szkolnictwie wyższym w okresie PRL oraz to, że miały one charakter rewolucji społecznej, należy porównać ten okres nie ze współczesnością, ale z okresem II Rzeczypospolitej.

Szkolnictwo wyższe w II RP, w przeciwieństwie do szkolnictwa wyższego w PRL, miało autonomię, która pozostawiała najważniejsze decyzje w rękach środowiska akademickiego. Jednak w latach

30. XX w. władze sanacyjne podjęły próby ograniczenia autonomii uczelnicznej, oskarżając ówczesną opozycję o tworzenie przyczółków politycznych na uczelniach. Na mocy ustawy z 15 marca 1933 r. minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego stał się władzą naczelną szkół wyższych i sprawował nad nimi nadzór. Miał prawo rozstrzygania spraw będących przedmiotem weta rektora lub dziekana w stosunku do uchwał senatu. Mógł również – niezależnie od rektora – zarządzić zawieszenie wykładowców lub zamknięcie szkoły oraz zarządzić nowe wpisy. Minister został także upoważniony na mocy wspomnianej ustawy do łączenia i dzielenia wydziałów, tworzenia i likwidowania katedr nie tylko na wniosek rady wydziału i senatu, ale również po zasięgnięciu ich opinii. Otwierało to władzom sanacyjnym możliwość zamykania dowolnej katedry i wysyłania na emeryturę każdego niewygodnego politycznie profesora.

Nauka na uczelniach, zarówno państwowych, jak i prywatnych, była w II RP płatna, a system wsparcia socjalnego ze strony państwa niewielki. Ten stan rzeczy wraz ze skromnymi

możliwościami budżetu państwa wpływał na ograniczony rozwój szkolnictwa wyższego oraz jego komercyjne sprofilowanie. Po 1945 r. dokonano natomiast upaństwowienia i scentralizowania szkolnictwa wyższego. Jego rozwój poddano ogólnemu planowaniu oraz powiązano naukę z gospodarką narodową, by sprostać potrzebom industrializującego się w przyspieszonym tempie państwa, co doprowadziło do skokowego w porównaniu z okresem międzywojennym wzrostu kształcenia akademickiego.

Dominacja Warszawy

Cechą charakterystyczną szkolnictwa wyższego w Polsce międzywojennej była zdecydowana dominacja ośrodka warszawskiego. Posiadał on największą liczbę uczelni państwowych i prywatnych (11), specjalizacji i kierunków oraz prawie połowę studentów w kraju (w 1921 r. było to 16,2 tys. na 34,7 tys., a w 1937 r. – 20,2 tys. na 47,1 tys. studiujących). Następne w kolejności ośrodki krakowski i lwowski były dwu-, trzykrotnie mniejsze od stołecznego,

Pod koniec października 1933 r. rektor UW zamknął na krótko uczelnię ze względu na niepokoje akademickie, wywołane m.in. ustawą ograniczającą samodzielność szkół wyższych.

a wileński i poznański, mające po dwie uczelnie, jeszcze mniejsze. Zupełnie marginalnie na tym tle wyglądał ośrodek lubelski mający jedną niewielką uczelnię (Katolicki Uniwersytet Lubelski, do 1928 r. Uniwersytet Lubelski).

W szkolnictwie wyższym II RP dominowały uniwersytety, a największym zainteresowaniem cieszyły się prawo, ekonomia i nauki humanistyczne, znacznie mniejszym natomiast kierunki techniczne. Wynikało to ze struktury ekonomicznej kraju słabo rozwiniętego przemysłowo. Kształcenie akademickie w II RP było przede wszystkim elitarne. W biednym i mocno rozwarstwowym majątkowo społeczeństwie na studia stać było głównie zamożne warstwy społeczne, a państwo w niewielki sposób wpływało na rozbudowę szkół wyższych. To w dużej mierze ograniczało rozwój szkolnictwa wyższego w II RP.

Ten elitarny charakter szkolnictwa, nie tylko wyższego, blokujący awans społeczny warstw niższych,

planowały utrzymać w powojennej Polsce siły zachowawcze. We wrześniu 1943 r. powstało w rządzie polskim na uchodźstwie Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z ks. Zygmuntem Kaczyńskim (Stronnictwo Pracy) jako jego kierownikiem. W marcu 1944 r. ks. Kaczyński przedstawił emigracyjnemu parlamentowi – Radzie Narodowej w Londynie – wstępne założenia szkolnictwa i wychowania w wolnej Polsce. Projekt zakładał kontynuację stanu przedwojennego,

Mimo formalnej autonomii uczelni władze sanacyjne miały możliwość zamykania dowolnej katedry i wysyłania na emeryturę każdego niewygodnego politycznie profesora.

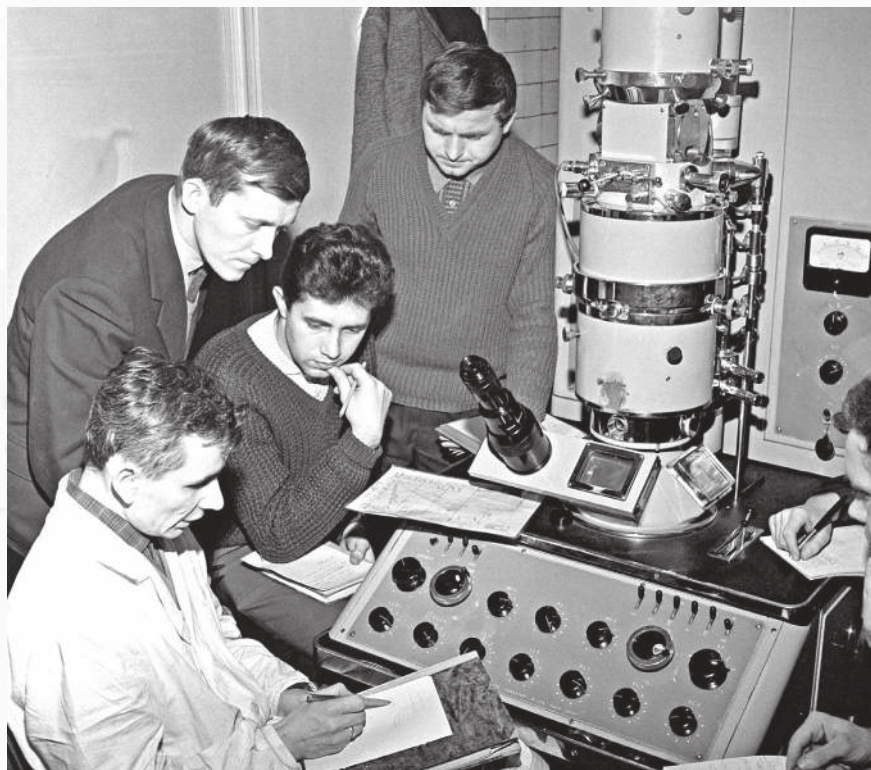
mieścił się bowiem w ramach norm prawnych wyznaczonych przez konstytucję kwietniową z 1935 r., konkordat ze Stolicą Apostolską z 1925 r. oraz układ między II RP a Komisją Papieską. Podczas dyskusji w gronie stronnictw politycznych polskiego Londynu największy sprzeciw wywołał podtrzymany w projekcie Kaczyńskiego elitaryzm oświatowy lat 30. Sprzeciw części posłów do Rady Narodowej – głównie PPS i Stronnictwa Ludowego – budziły ograniczenia

edukacyjne II RP, dotyczące uboższe warstwy społeczeństwa.

Za zniesieniem tych ograniczeń opowiedział się natomiast w swoim programie Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, powołany w lipcu 1944 r. – co dzisiaj obowiązkowo się podkreśla – z woli Stalina. Do przeobrażeń oświaty i kultury PKWN przywiązywał wielką wagę, ponieważ w przekonaniu jego stronnictw (PPR, PPS, SL, SD) poprzez kształtowanie nowego duchowego oblicza społeczeństwa w dużej mierze miała

się dokonać rewolucja społeczna. Manifest PKWN zapowiedział wprowadzenie szkoły realnie powszechnej, na wszystkich szczeblach wolnej od opłat i wspierającej materialnie najuboższą młodzież. Na zjeździe oświatowym, obradującym w Łodzi od 18 do 22 czerwca 1945 r., uchwalono, że szkoła ma być jednolita i publiczna. Dotyczyło to również szkolnictwa wyższego. Także opozycyjne wobec Polski pojałtańskie Polskie Stronnictwo Ludowe na zjeździe w styczniu 1946 r. opowiedziało się za taką organizacją systemu oświatowego, aby „wyższe szczeble kształcenia były dostępne dla młodzieży warstw ludowych”. Utworzenie egalitarnego systemu kształcenia stało się zatem w Polsce powojennej postulatem i celem wychodzącym ponad podziały polityczne.

Odbudowa życia akademickiego rozpoczęła się niemal natychmiast po zakończeniu okupacji niemieckiej, kiedy do Krakowa i Wrocławia przybyli ci uczeni polscy z Lwowa i Wilna, którym udało się przeżyć wojnę i okupację. Jednym z nich był prof. Stanisław Kulczyński – wybitny botanik, w latach 1936-1938 rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, podczas okupacji delegat rządu RP na uchodźstwie na Obszar Lwowski. Kulczyński, który miał wówczas propozycję kontynuowania kariery naukowej we Włoszech, przybył 10 maja 1945 r. do zrujnowanego Wrocławia. Było to zaledwie cztery dni po kapitulacji Festung Breslau. Jako pełnomocnik ministra



Zajęcia w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, grudzień 1966 r.

► oświaty ds. zabezpieczenia majątku szkół wyższych oraz bibliotek i zbiorów na terenie Wrocławia przystąpił do odbudowy życia akademickiego w tym mieście. Został pierwszym rektorem uniwersytetu i politechniki we Wrocławiu, które rozpoczęły działalność 15 listopada 1945 r. Podjął też uwieńczony sukcesem działania na rzecz restytucji Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Wspominam o tym, ponieważ w 2017 r. upamiętnienie tej postaci w sferze publicznej stało się obiektem ataku dekomunizacyjnego ze strony IPN, który zarzucił Kulczyńskiemu, że w latach 1939-1941 nadal wykładał na uniwersytecie we Lwowie, wówczas już radzieckim, a w 1940 r. był gościem Wszechzwiązkowego Komitetu ds. Nauki ZSRR w Moskwie. A w PRL był przewodniczącym Stronnictwa Demokratycznego, wicemarszałkiem Sejmu i wiceprzewodniczącym Rady Państwa PRL. Natomiast jego dokonania w budowie od podstaw polskiego szkolnictwa wyższego we Wrocławiu i zagospodarowaniu Ziemi Odzyskanych (jako prezesa Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich) dla dzisiejszych dekomunizatorów już się nie liczą.

Nowe ośrodki

Podczas II wojny światowej nauka polska straciła 60% przedwojennego stanu kadr i obiektów. Szkoły wyższe i placówki naukowe trzeba było po wojnie budować niejednokrotnie od podstaw. Nie byłoby to możliwe bez

W II RP nauka na uczelniach, zarówno państwowych, jak i prywatnych, była płatna, a system wsparcia socjalnego ze strony państwa niewielki.

zaangażowania ocalałych kadr naukowych. Rozumiejąc konieczność odbudowy szkolnictwa wyższego, przedwojenni profesorowie mogli to robić tylko we współpracy z władzą, której barwa polityczna była dla wielu z nich obca. Jednak bez wsparcia tej władzy nie doszłoby do procesu, który śmiało można nazwać rewolucją oświatową. Wzrost potencjału dydaktycznego i badawczego szkolnictwa wyższego i nauki polskiej w okresie PRL w porównaniu ze



Juwenalia w Krakowie, czerwiec 1975 r.

stanem przedwojennym był imponujący. Sieć szkół wyższych, która w II RP zwiększyła się z 16 w 1921 r. do 28 w 1938 r., w PRL wzrosła do 89 w 1974 r. i 97 w 1989 r. Widać zatem, że w 20-leciu międzywojennym nie zdołano podwoić liczby szkół wyższych, podczas gdy w powojennym 30-leciu zwiększono liczbę szkół wyższych przeszło trzykrotnie.

Trwającej od 1945 r. rozbudowie szkolnictwa wyższego towarzyszyło również jego rozprzestrzenianie

Uniwersytet Gdański (1970) i Uniwersytet Szczeciński (1985).

Już w latach 1945-1950 nastąpił skokowy w porównaniu z okresem międzywojennym wzrost liczby szkół wyższych oraz liczby nauczycieli akademickich i studentów. Już na początku lat 50. mieliśmy ponad 80 uczelni wyższych.

Natomiast liczba nauczycieli akademickich wszystkich stopni wzrosła z 4403 w 1937 r. do 45 tys. w połowie lat 70. Jednakże zatrudnienie w szeroko rozumianej nauce, łącznie ze szkolnictwem wyższym, placówkami naukowo-badawczymi i rozwojowymi wyniosło w 1975 r. ok. 300 tys. osób, w tym ponad 20 tys. doktorów i 12 tys. profesorów i docentów. Ponad 64 tys. osób pełniło w tym czasie funkcje nauczycieli akademickich i pracowników naukowo-badawczych, z tego 70% w szkołach wyższych, 22,7% w instytutach naukowo-badawczych resortów oraz 5,5% w placówkach Polskiej Akademii Nauk (utworzonej w 1951 r.). W 1938 r. istniało zaledwie 15 instytutów naukowo-badawczych i sześć samodzielnych laboratoriów przemysłowych. Trzy dekady po wojnie działało w kraju 66 placówek naukowych PAN, 113 resortowych

instytutów naukowo-badawczych, 24 centralne laboratoria i 128 ośrodków badawczo-rozwojowych.

Pora na inżynierów

Znacząco w porównaniu z okresem międzywojennym wzrosła też liczba studiujących. W okresie II RP liczba studentów zwiększała się powoli z 38,1 tys. w 1922 r. do 40,7 tys. w 1926 r. i 51,7 tys. w 1932 r. Od tego czasu nastąpił spadek do 48 tys.

Najbardziej zauważalny był wzrost studentów kierunków technicznych do ponad 30% ogółu studiujących, co wiązało się ze zwiększonym zapotrzebowaniem na specjalistów tych kierunków w związku z uprzemysłowieniem kraju. Kolejna istotna zmiana w porównaniu z okresem przedwojennym nastąpiła też w systemie stypendialnym. W pierwszych latach po wojnie liczba stypendiów była bardzo skromna i tak jak w okresie II RP obejmowała zaledwie kilka

środków robotniczo-chłopskich. W 1938 r. młodzież pochodzenia robotniczo-chłopskiego stanowiła 16,9%, natomiast w połowie lat 70. – 55,7% ogółu studiujących.

Szerokie otwarcie uczelni wyższych dla tej młodzieży, wsparcie jej studiów rozbudowaną pomocą socjalną, a później umożliwienie podjęcia pracy stworzyło jej możliwość niedostępnego wcześniej awansu społecznego.

O znaczeniu tego awansu wypowiedział się dr Marcin Piątkowski – starszy ekonomista Banku Światowego i adiunkt w Akademii Leona Koźmińskiego, autor książki „Europejski lider wzrostu. Droga Polski od ekonomicznych peryferii do gospodarki sukcesu” (Warszawa 2020). Stwierdził on mianowicie, że aż do 1939 r. „rozwój gospodarczy w Polsce sabotowały elity postszlacheckie. Strukturę społeczną wyrównał dopiero PRL. Gdyby nie PRL, nie byłoby polskiego kapitalizmu”. Zdaniem Piątkowskiego „PRL miał jedną wielką zaletę: stworzył na

Już na początku lat 50. w Polsce działało ponad 80 uczelni wyższych.

w 1936 r. i niewielki wzrost do 49,5 tys. 1938 r. Już w 1945 r. liczba studiujących, która wyniosła 55,9 tys., przekroczyła liczbę studentów z 1938 r., a podwojona w 1948 r., kiedy doszła do 103,4 tys. W 1950 r. studiowało w Polsce już 125,1 tys. osób, w 1960 r. – 165,7 tys., w 1970 r. – 330,8 tys., a w 1974 r. 426,7 tys. osób (w 1989 r. liczba studiujących spadła do 378 tys.). O ile w 1946 r. liczba studentów (bez cudzoziemców) na 10 tys. ludności wynosiła 36, to w 1989 r. – 98. Natomiast liczba studiujących kobiet na 100 studiujących mężczyzn wzrosła z 55 w 1949 r. do 105 w 1989 r. (w okresie II RP wynosiła 39 w 1937 r.).

W okresie międzywojennym uczelnie wyższe ukończyło ok. 83 tys. osób, a w pierwszym 30-leciu Polski Ludowej ponad 800 tys. osób.

Zmiany w strukturze szkolnictwa wyższego po 1945 r. w stosunku do okresu przedwojennego obrazuje także odsetek studentów poszczególnych kierunków studiów.

procent populacji studenckiej. Dopiero w miarę postępów w odbudowie kraju następował wzrost wsparcia materialnego państwa dla młodzieży akademickiej. U schyłku lat 40. odsetek stypendystów był już większy niż przed wojną i wynosił ponad jedną czwartą ogółu studentów, a na początku lat 50. ponad połowę ogółu młodzieży akademickiej. Oprócz stypendiów Ministerstwa Szkolnictwa

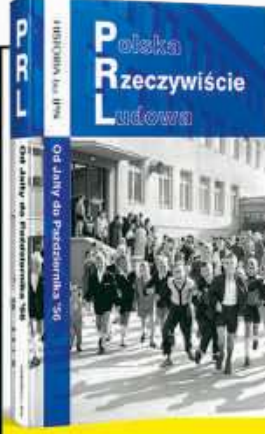
Utworzenie egalitarnego systemu kształcenia stało się po wojnie celem wychodzącym ponad podziały polityczne.

Wyższego pojawiły się też stypendia resortów i centralnych instytucji państwowych, organizacji zawodowych, spółdzielczych i zakładów pracy.

Dokonanemu po 1945 r. upaństwowieniu i umasowieniu kształcenia na poziomie wyższym towarzyszyła przebudowa struktury społecznej studentów i pracowników naukowo-dydaktycznych, w której preferencje otrzymali przedstawiciele

ościsze polskie społeczeństwo, zlikwidował przywileje klasowe, wyedukował, uprzemysłowił i unowocześnił społeczeństwo” i po raz pierwszy w historii Polski „stworzył społeczeństwo inkluzywne, dając wszystkim, szczególnie tym najsłabszym, szansę na rozwój”. Szkoda, że dzisiaj potrafią to zauważyć tylko nieliczni.

Bohdan Pięta



DWA TOMY TEKSTÓW ZNAKOMITYCH AUTORÓW:
 Andrzej Walicki, Bronisław Łagowski, Ludwik Stomma,
 Andrzej Werblan, Dariusz Jarosz, Lech Mażewski,
 Dariusz Łukasiewicz, Krzysztof Wasilewski

PAKIET – 70 zł

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
 W cenę wliczony jest koszt wysyłki nieresztrowanej Poczta Polska.
 Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
 paczka w RUCh-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl





Oddział 1. Armii Wojska Polskiego na placu Teatralnym.



Niewiele dobytku mieli powracający warszawiacy.

Życie zakwitło w ruinach



Wojna przyniosła zniszczenie 84% zabudowy lewobrzeżnej Warszawy.



Fryzjer ulicznej na ul. Marszałkowskiej, róg Wspólnej.



Zrujnowane budynki przy ul. Świętojańskiej na Starym Mieście. Z lewej widoczne ruiny katedry św. Jana.

17 stycznia 1945 r. o godzinie 16 Warszawa była wolna. Wkraczających do Warszawy żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego witały wypalone i opustoszałe ruiny zniszczonego w ponad 70% miasta. Mimo bezmiaru zniszczeń tuż za wojskiem z prawobrzeżnej części stolicy i okolicznych miejscowości zaczęli powracać ocalały z wojny mieszkańcy. Tak ten czas opisywała w swoich wspomnieniach

uczestniczka powstania warszawskiego, pisarka i rzeźbiarka Maria Ginter: „A jednak niezrażeni niczym warszawiacy twardo zdecydowali, że stolica musi pozostać na miejscu. Z niesamowitą energią i przedsiębiorczością wprowadzają życie, które kipi z dnia na dzień z coraz większą werwą” (M. Ginter „Galopem pod wiatr”).

RP



Pierwsze stragany na ulicach Warszawy.

Dlaczego mimo kryzysu PiS lewica nie zyskuje w sondażach?

DR PRZEMYSŁAW WITKOWSKI,

Collegium Civitas

W Polsce scena polityczna jest przesunięta niezwykle na prawo. Liberalowie i lewica ostatnio mocniej wioślą, ale całość przemieszcza się bardzo powoli. Dla ludzi zmienianie poglądów politycznych to duży szok. Nikt ich nie zmienia z dnia na dzień, ale widać zatrzymanie wieloletniego dryfu na prawo. Nie dziwi mnie, że ludzie, którzy rezygnują z głosowania na ultra-konserwatywną prawicę, nie przesuwają się daleko od tego, co było wcześniej w ich świecie. Stąd popularność Hołowni. Trend, który ostatnio widać, oznacza tyle, że elektorat, który wybierał ultraprawicę, zaczyna wybierać po prostu w miarę standardową prawicę. *Clou* w tym, żeby utrzymać ten trend. Wtedy z czasem i lewica zacznie zyskiwać.

MICHAŁ SYSKA,

dyrektor Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a we Wrocławiu

Odpowiedzią na to pytanie może być ostatni sondaż, z którego wynika, że partie opozycyjne nie są gotowe na przejęcie rządów. Widać tu pewien deficyt parlamentarny – opozycja, w tym lewica, nie ma wizerunku sprawnej i mogącej przeprowadzić potrzebne zmiany. Mamy obraz lewicy aktywistycznej, widocznej na ulicach, który przeważa nad wizerunkiem merytorycznych ludzi przygotowanych do dokonania przemian. Aktywność niektórych polityków lewicy w mediach społecznościowych umacnia wśród wyborców przekonanie, że lewica nie jest poważną formacją.

PROF. JACEK WÓDZ,

Instytut Socjologii, Wydział Nauk Społecznych, US

Lewica straciła zbiorowość, do której mogła się zwracać. Póki walczyła w sposób oczywisty o interesy ludzi, którzy byli w gorszej sytuacji, póty miała jasny program i wiedziała, do kogo adresuje swój przekaz. Lewica, która formułuje tylko rewindykacje liberalne, ma konkurencję nawet po stronie prawicowej, gdzie też broni się części liberalnych koncepcji. Na tym polega problem – lewica nie pracuje nad przedefiniowaniem grupy, do której się zwraca. Samo widzenie nierówności

społecznych nie wystarcza, bo widzą je również inne ugrupowania. Na przykład teraz, kiedy kobiety walczą o swoje prawa, poparcie lewicy nie może polegać tylko na symbolicznym uczestnictwie w marszach. Lewica musi wyjść z konkretną propozycją, jak zagwarantować Polkom prawa, o które walczą.

MARCIN DUMA,

szef Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych IBRIŚ

Trochę nie rozumiem tezy zakładającej, że kiedy PiS spada, lewicy miałyby rosnąć. Wiem, że takie ciche marzenie jest obecne w wielu głowach, ale są to płonne nadzieje – ludzie, którzy opuszczają PiS, to głównie wyborcy centroprawicowi. Inna sprawa, że na stratach PiS nikt nie zyskuje. Wyborcy PiS nie przechodzą do żadnej innej partii. Teoretycznie są wyborcy, którzy głosują na PiS i wydawałoby się, że mogliby zagłosować na lewicę – to elektorat socjalny. Tylko że nie należy go mylić z elektoratem lewicowym lub socjaldemokratycznym. Ci wyborcy są za rozwiązaniami socjalnymi, ale w warstwie obyczajowej są dość konserwatywni. Obecny kształt oferty lewicowej, która z jednej strony jest socjalna, a z drugiej w warstwie kulturowej bardzo progresywna, tworzy barierę nie do przekroczenia dla takiego wyborcy. Gdy w komunikacji lewicy hasła antykościelne, prawa osób LGBT czy liberalizacja prawa aborcyjnego wybrzmiewają mocniej niż agenda socjalna, taka oferta jest nie do przyjęcia dla tego elektoratu. Socjalny wyborca PiS poszukuje oferty, która byłaby socjalna w treści i narodowa w formie – czyli w pewnym sensie, być może podświadomie, szuka oferty Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej z lat dawno minionych.

DR WOJCIECH PESZYŃSKI,

Wydział Politologii i Studiów Międzynarodowych, UMK

PiS w latach 2001-2004 przejęło zasadnicze dla lewicy kwestie, takie jak pomoc osobom najuboższym i ich reprezentowanie. To wynik błędu popełnionego za rządów Leszka Millera, kiedy lewica stała się dosyć mocno liberalna w sferze gospodarczej. Dzisiaj lewica jest wiarygodna tylko w kwestiach światopoglądowych.

Utraciła wiarygodność w kwestiach gospodarczych i socjalnych. PiS stało się monopolistą w zakresie reprezentowania najuboższych warstw społeczeństwa i jest też dla nich najbardziej wiarygodne.

DR HAB. MARZENA CICHOSZ,

Uniwersytet Wrocławski

Niektóre sondaże wskazują, że lewica jednak trochę zyskuje. Ale ten wzrost nie jest wysoki, dosłownie parę punktów procentowych. Szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego lewica nie korzysta tak bardzo na spadku poparcia dla PiS, trzeba przeanalizować, komu wrasta. Są to m.in. Koalicja Obywatelska i ruch Szymona Hołowni. Lewica pada ofiarą swoich poprzednich strategii i podziałów na polskiej scenie politycznej, tzn. na PiS i opozycję. Tutaj sytuuje się ona po stronie opozycji demokratycznej, jednak trzeba przypomnieć jej strategię wyborczą, m.in. wejście w Koalicję Europejską. Dlatego dla wyborców nie zawsze jest wyrazistym i osobnym podmiotem na scenie politycznej. Większość zachowań wyborczych Polaków tłumaczy nam linia podziału, którą do niedawna nazywaliśmy PO-PiS. Część wyborców szuka trzeciego podmiotu, który nie byłby „zabrudzony” tym podziałem i dawał nadzieję na zmiany w polskiej polityce. Takie podmioty w ostatnich kilku wyborach zyskiwały choćby minimalne poparcie. To dotyczy też inicjatywy Szymona Hołowni, której ofiarą pada lewica.

PROF. PIOTR PAWEŁCZYK,

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza

Spadek sondażowy Prawa i Sprawiedliwości nie jest efektem działania lewicy. To, że poparcie dla PiS spada, nie jest jej sukcesem. Poza tym głosy, które odchodzą od PiS, wędrują gdzie indziej. Nie przechodzą do PO czy lewicy, ale idą m.in. w kierunku Szymona Hołowni. Gdyby to wszystko do siebie dodać, będzie tam odsetek głosów ludzi, którzy rozczarowali się polityką PiS i wcześniej sądzili, że będzie inna. To jednak nie znaczy, że są oczarowani polityką liberalną czy lewicową. Ci, którzy rozczarowali się PiS, szukają ugrupowania, które ich zdaniem jest jakimś kompromisem. Z tego wynika wzrost poparcia dla ugrupowania Szymona Hołowni.

Not. Kornel Wawrzyniak



Swojskie nazwy mają sugerować, że wędliny przygotowano w tradycyjny sposób.

Szynka babuni z chemiczną wkładką

Utajniono nazwę producenta wędlin ukaranego za wprowadzanie klientów w błąd

Paula Leśniewska

Jak pozyskać klienta? Dobrym hasłem reklamowym. W końcu nie od dziś wiadomo, że reklama jest dźwignią handlu. A ponieważ konsumenci chcą jeść zdrowo, najlepiej sprzedają się produkty wiejskie, oparte na tradycyjnych recepturach. Taka miała być szynka babuni, produkowana przez duże polskie zakłady mięsne. Okazuje się, że „babunia” dodała do mięsa białko sojowe, stabilizatory E 450, E 451, E 407, przeciwutleniacz E 316, barwnik E 162 i sporo wody. Taka sama mieszanka znalazła się w wędzonce wiejskiej, a szynka biała, czyli rozdrobniony filet z kurczaka, został wzbogacony gumą ksantanową.

Sprawa ciągnęła się pięć lat. W październiku 2015 r. inspektorzy Wojewódzkiej Inspekcji Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych przeprowadzili kontrolę jakości produktów mięsnych, m.in. szynki babuni, wędzonki wiejskiej i szynki białej. Okazało się, że o niektórych składnikach tych wyrobów producent nie wspominał na etykiecie. Nie było tam również informacji o zawartości wody, a być powinna, gdy jej ilość przekracza 5% masy produktu. Ponadto w przypadku szynki babuni i wędzonki wiejskiej przewidziany przez producenta czas

przydatności okazał się za długi o siedem dni. Nie napisano również, z jakiego zwierzęcia pochodziło mięso, nie podano, że w produktach znajdują się częste alergeny – arachidy i białko sojowe. IJHARS uznała, że producent mięsa oszukiwał konsumentów, nazwy sugerowały bowiem naturalne receptury i tradycyjny sposób przygotowania wyrobów, tymczasem w rzeczywistości były one nasycone chemią. Inspektorzy uznali też, że trudno nazwać szynką białą rozdrobniony filet z kurczaka. – Podczas kontroli przeprowadzanych u producentów żywności inspektorzy IJHARS bardzo często stwierdzają nadużywanie marketingowych, modnych ostatnio haseł typu: domowy, wiejski, swojski lub w 100% naturalny – mówi główny inspektor Andrzej Romaniuk. – Określenia te zupełnie nie korelują ze składem tych wyrobów. Zachęcam gorąco konsumentów do odwiedzania strony internetowej, www.ijhars.gov.pl, gdzie znajduje się wyszukiwarka umożliwiająca znalezienie informacji dotyczących zafałszowanych artykułów rolno-spożywczych według nazwy producenta, województwa, grupy technologicznej bądź podstawy prawnej. Dzięki temu, że podajemy do publicznej wiadomości nazwy nieuczciwych producentów, konsumenci mają możliwość wyboru

pełnowartościowego produktu. Falszerze żywności muszą się liczyć z utratą dobrego imienia firmy, zaufania klientów czy też ograniczeniem popytu na wytwarzane przez nich wyroby.

Za wprowadzenie do obrotu trzech partii sfałszowanych produktów, o łącznej wartości 1100 zł, Wielkopolska Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych nałożyła na firmę mięsną karę 10 tys. zł. Choć to kwota niezbyt wysoka, producent wniósł o jej anulowanie, jednak główny inspektor w 2016 r. odrzucił jego wniosek, powołując się na Ustawę z 21 grudnia 2000 r. o jakości handlowej artykułów rolno-spożywczych oraz rozporządzenie UE z 28 stycznia 2002 r., ustanawiające ogólne zasady prawa żywnościowego.

Producent felernych wyrobów nie dał za wygraną i skierował sprawę do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie, broniąc się, że swoje produkty dostarczał głównie do zakładów karnych, jednostek wojskowych i sanatoriów (!), a więc do zawężonego kręgu odbiorców. WSA orzekł, że to wciąż wprowadzenie produktu do obrotu i podtrzymał wyrok. Dopiero w grudniu 2020 r. sprawę zakończył prawomocny wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego, który orzekł winę producenta i potwierdził podstawę prawną do nałożenia na firmę kary. Co jednak najciekawsze, nazwy producenta nie podano. ■



Zima pod palmami

Wyspy Kanaryjskie czekają na turystów

Zuzanna Muszyńska

W Santa Cruz de Tenerife spodziewano się na święta niewielkiego zachmurzenia z przelotnymi opadami i temperatury do 22 st. C. Na stronach internetowych dużych biur podróży – Itaki, TUI, Travelplanet – można było znaleźć bogatą ofertę wyjazdów świąteczno-sylwestrowych na Wyspy Kanaryjskie skierowaną do polskich turystów. Tutaj kończy się stara normalność. Nowa to ryzyko zimowego urlopu w kraju objętym stanem alarmowym, który na terytorium Królestwa Hiszpanii obowiązuje do 9 maja 2021 r.

Półwysep w objęciach koronawirusa

W niedzielę, 1 marca 2020 r. po-dziwiałam z tarasu widokowego położonego przy Castell de Montjuïc gigantyczny barceloński port. Obserwowałam pracę dźwigów kontenerowych, które co roku przeładują 60 mln ton towarów. O koronawirusie mówiło się wtedy i pisało w mediach i w sieci. Tego dnia w całej Hiszpanii zachorowało zaledwie 51 osób. Barcelona pękała w szwach, tak wielu

ulicznym, wyjściami ze znajomymi na tapas i caña. Turyści wrócili do miasta w czerwcu, zaczęli mieszać się z grupkami lokalsów, ale miasto żyło nie tak jak dawniej. Teraz, podczas drugiej fali koronawirusa, bary i restauracje są otwarte, jednak w działających poza centrum prawie nie ma klientów. Pomoc katalońskiego rządu dla restauratorów była znikoma – 1,5 tys. euro, mniej niż pensja jednego pracownika, do tego portal rządowy, z którego można było o nią aplikować, często się zawieszał. Wielu nie dostało nic. Od początku roku do października łącznie zatrudnienie straciło ponad 43 tys. pracowników gastronomii, wylicza Daria. To jedna piąta wszystkich zatrudnionych w tym sektorze na terenie Katalonii.

Dziś na terenie całego kraju obowiązuje godzina policyjna, w większości regionów od godz. 23 do 6 rano.

– Młodzi nie przestrzegają zakazu poruszania się po mieście w nocy – komentuje Amelia Serraller, wkladowniczy i tłumaczka z Madrytu. – Mimo że istnieje nadzór policyjny, w dużym mieście nie jest niemożliwy późniejszy powrót do domu bez uzasadnionej przyczyny.

Na Wyspach Kanaryjskich z turystyki żyje ok. 70% ludności. W 2019 r. przyjechało tu 13 mln turystów.

turystów zjechało do stolicy Katalonii. Nikt nie nosił maseczki. Wiosenne słońce przeganiało złe myśli, nie pozwalało martwić się na zapas.

Trzydzieści dni później, 14 marca, rząd w Madrycie ogłosił stan zamknięcia. Dzienna liczba zakażeń SARS-CoV-2 wynosiła już przeszło 2 tys.

– Odkąd 17 lat temu zamieszkałam w Barcelonie, nie widziałam tak smutnego miasta – opowiada Daria Nowak.

Darii najbardziej rzucał się w oczy ogrom pustki szerokich ulic. Choć wcześniej męczyło ją funkcjonowanie Barcelony jako wielkiego parku atrakcji, szybko zatęskniła za życiem

Amelia wspomina liczne protesty w sektorach hotelarskim i gastronomicznym, które wywołało ograniczanie swobód. Daria z kolei uważa, że protestów było za mało. Jej zdaniem poszkodowani mogliby uzyskać więcej, gdyby twardo walczyli o swoje prawa. Skarży się też na zakaz opuszczania Barcelony podczas weekendów. Dotyczy on wszystkich katalońskich miejscowości. Można go jednak łatwo obejść, wyjeżdżając na urlop w dniach roboczych.

– To wszystko jest dla nas, mieszkańców, niejasne i skomplikowane – narzeka Daria.

Hiszpania jest czwartym krajem w Europie pod względem liczby zakażeń SARS-CoV-2 po Francji, Wielkiej Brytanii i Włoszech. Dotychczas zachorowało 1,8 mln Hiszpanów. Na terytorium Wysp Kanaryjskich zaraziło się 23 718 osób.

Kanary gotowe na turystów

Polskie MSZ informuje podróżujących do Hiszpanii drogą powietrzną i morską o konieczności poddania się kontroli, która obejmuje mierzenie temperatury oraz ocenę ogólnego stanu zdrowia. Do tego polski turysta, przybywający z kraju znajdującego się na liście regionów wysokiego ryzyka, musi mieć negatywny wynik testu na obecność SARS-CoV-2, przeprowadzonego nie później niż 72 godziny przed terminem przyjazdu. Władze Wspólnoty Autonomicznej Wysp Kanaryjskich skorzystały z możliwości złagodzenia tego wymogu i zdecydowały o dopuszczeniu zarówno wyników testów RT-PCR, jak i szybkich testów wykrywających obecność przeciwciał SARS-CoV-2.

– Tej zimy zainteresowanie wylotami na Wyspy Kanaryjskie jest kilkakrotnie mniejsze niż wylotami do Egiptu – ocenia Radosław Damasiewicz, dyrektor generalny Travelplanet. – Warto przypomnieć, że te proporcje rozkładają się zwykle po połowie w przypadku wyjazdów zimowych. A w czasie niepokoїв w Egipcie Wyspy Kanaryjskie były jego zamiennikiem na wyjazdy dla osób, które chciały zimą wylecieć do ciepłych krajów.

Decydujące są koszty testu i tłumaczenia (za test RT-PCR trzeba zapłacić ok. 800 zł). W Egipcie można wykonać test dopiero na lotnisku, ale dużo taniej – za ok. 20 dol. Wiele biur podróży bierze ten wydatek na siebie. Akceptacja przez rząd kanaryjski tańszych testów antygenowych (ok. 150 zł plus koszt tłumaczenia) to światełko w tunelu, ale w porównaniu z udogodnieniami dla wylatujących do Egiptu to światełko jest na



Na Teneryfie obowiązują takie same obostrzenia jak na kontynencie.

razie bardzo słabe, tłumaczy Radosław Damasiewicz.

– Normalnie będzie może w sezonie zimowym 2021/2022 – twierdzi Agnieszka Królik, rezydentka z Teneryfy od 2007 r. – Według największych optymistów sytuacja poprawi się latem – dodaje.

Agnieszka jest prezeską Polsko-Kanaryjskiego Stowarzyszenia „Arka”, dla branży turystycznej na Kanarach pracowała od lat 90. Polka przewiduje, że pod koniec stycznia otworzą się kolejne hotele w oczekiwaniu na turystów niemieckich i angielskich, a na przełomie kwietnia-maja przyjadą ci z rynku wschodniego. Do pełnej równowagi sektor wróci prawdopodobnie za dwa-trzy lata. Na wyspach z turystyki żyje ok. 70% ludności. W 2019 r. przyjechało tu 13 mln turystów, w tym ok. 119 tys. Polaków.

– Po zakończeniu stanu alarmowego w czerwcu przyleciały pierwsze samoloty z Manchesteru, Düsseldorfu i Katowic – wylicza Agnieszka.

Polacy byli więc jednymi z pierwszych, którzy wrócili na Teneryfę. Dziwili się, kiedy Kanaryjczycy zwracali uwagę osobom bez maseczek. Agnieszka chwali zdyscyplinowanie miejscowych w początkowym okresie pandemii. Wolno im było przemieszczać się wyłącznie z przepustką, na której figurowały godzina i trasa – najczęściej do pracy i z powrotem. W przypadku wyjść do apteki czy supermarketu dozwolone

były tylko placówki położone najbliżej miejsca zamieszkania. Policja patrolowała ulice, karała za wykroczenia dużymi mandatami. Wokół słychać było komunikaty z megafoonów, a w utrzymaniu porządku pomagało wojsko.

Tutaj też młodzi byli pierwszymi, którzy łamali zasady. Ale ogólnie po wiosennej fali zachorowań wzrosła świadomość, czym jest koronawirus.

– Przez cały czas mogliśmy czuć się bezpiecznie, jeśli chodzi o opiekę zdrowotną – mówi Agnieszka. Dodaje, że prywatne szpitale podpisały

Polacy byli jednymi z pierwszych, którzy wrócili na Teneryfę. Dziwili się, że Kanaryjczycy zwracali uwagę osobom bez maseczek.

umowy z placówkami publicznymi na wykonywanie pilnych zabiegów w razie przeciążenia tamtych opieką nad pacjentami z koronawirusem. Nie było jednak takiej potrzeby. Od początku pandemii zanotowano na Teneryfie ok. 10 tys. zachorowań. W tej liczbie ujmuje się migrantów z Afryki, którym wykonywano testy.

Niechciani goście

Tylko w listopadzie 2020 r. przybyło na Wyspy Kanaryjskie ponad 8 tys. migrantów z północnej i zachodniej Afryki.

– Zdarzało się, że docierało tu 2 tys. osób w ciągu doby – opowiada Agnieszka. – Tymczasem służby bezpieczeństwa zajęte były

rozwiązywaniem problemów związanych z koronawirusem.

W całym 2020 r. przybyło na Wyspy Kanaryjskie ośmiokrotnie więcej Afrykańczyków niż w poprzednim roku. Decydują się oni na jedną z najniebezpieczniejszych tras, tzw. drogę atlantycką, na której według Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji (IOM) ginie jedna na 24 osoby podejmujące próbę przedostania się do twierdzy Europa.

Dziennik „El País” pisze, że trasa migracyjna do Europy wiodąca przez Wyspy Kanaryjskie ostatni raz przeżyła takie obciążenie podczas tzw. kryzysu *cayuco* w 2006 r. Uchodźcy płynęli wówczas drewnianymi pirogami mogącymi pomieścić do 80 osób. Wtedy przybyło na wyspy 31 tys. migrantów. Nie bez przyczyny do ponownego kryzysu dochodzi teraz, kiedy z powodu epidemii koronawirusa zamknięto granice w eksterytorialnych miastach Ceuta i Melilla, umożliwiające wędrówki lądem. W tych miastach liczba przybyszów z Maroka spadła kilkakrotnie.

Aż połowa migrantów na wyspach pochodzi z Maroka. Władze Hiszpanii nie zaliczają go do krajów, których obywatelom grozi prześladowania z powodu rasy, religii, narodowości, przekonań politycznych lub przynależności do konkretnej grupy społecznej. Według nowego prawa migracyjnego, które obowiązuje

w Hiszpanii od zeszłego roku, Marokańscy zostaną najprawdopodobniej deportowani.

Do niedawna obowiązywały w Hiszpanii przepisy z 2009 r. Od tamtego czasu wiele się zmieniło, np. w 2019 r. Hiszpania musiała rozpatrzyć aż 118 tys. wniosków o azyl, znajdując się tym samym na trzecim miejscu w Europie pod względem ich liczby po Francji i Niemczech. Nowy rząd powołany w styczniu 2020 r. opracował prawo migracyjne zgodne z europejskimi wymogami – ścisłą ochroną zewnętrznymi granic Wspólnoty, sprawnymi procesami deportacji migrantów ekonomicznych, którym nie należy się międzynarodowa ochrona, oraz sprawliwym podziałem odpowiedzialności

► pomiędzy krajami członkowskimi Unii przyjmującymi uchodźców.

Według „El País” wewnątrz koalicji rządowej, którą tworzą centrolewicowa Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza oraz lewicowa Podemos, dochodzi do tarć. Obie partie sprzeciwiały się wcześniej polityce antyimigracyjnej konserwatywnego rządu Mariana Rajoya z Partii Ludowej. Partia Podemos

i politycznym. Ultraprawicowa partia Vox postuluje wybudowanie w wieloreligijnej i wielokulturowej Ceucie muru granicznego z Marokiem.

Lokalne władze skarżą się na brak wsparcia ze strony rządu w Madrycie. Korespondenci „Deutsche Welle” opisują przeciągającą się katastrofalną sytuację na Wyspach Kanaryjskich, w której nawet odpowiedzialnych za politykę uchodźczą

Dyplomatyczną i finansową pomoc obiecuje Bruksela. Wojsko udostępniło obiekty w głębi wysp, gdzie z dala od turystów zostanie zakwaterowana część migrantów. Odbywają się też pierwsze loty do Hiszpanii kontynentalnej z azylantami na pokładzie. Rząd ma nadzieję, że zimą spadnie liczba przybyszów z Afryki.

Agnieszka Król jest pełna wiary, że wszystko zmierza ku dobremu. Pracownicy hoteli będą poddawani testom PCR. Hotele mają podpisane umowy z placówkami medycznymi na wykonywanie niezbędnych testów u turystów. Południe Teneryfy powoli się zapełnia. Wiele podróżnych spragnionych słońca korzysta z prywatnych apartamentów, gdyż boją się zamknięcia w pokojach hotelowych w razie konieczności odbycia kwarantanny. Unikają stłoczenia.

Zdrowy rozsądek nakazuje pocześć z podróżą, ale planować nikt nam nie zabroni. Perspektywa podziwiania niezwykłych krajobrazów może poprawić humor już tej zimy.

Zuzanna Muszyńska

Do pełnej równowagi sektor turystyczny wróci prawdopodobnie za dwa-trzy lata.

nie zgadza się z niezwykle trudną sytuacją w obozach dla uchodźców, jednak jej członkowie unikają wypowiedziania się publicznie na ten temat. Koalicja zmuszona jest do egzekwowania przyspieszonych deportacji migrantów zarobkowych. Reforma prawa migracyjnego nie byłaby zgodna z obecną polityką Brukseli oraz stałaby się pretekstem dla skrajnej prawicy do zbijania kapitału na kryzysie humanitarnym

przedstawicieli administracji wysp nie wpuszczano od razu na teren ośrodka w Mogan, otoczonego żółtym płotem oddalonym o ok. 50 m od obozowych namiotów. Tymczasem w obozie przebywało kilkakrotnie więcej osób, niż pozwalały na to warunki sanitarne, część poza namiotami, na wolnym powietrzu. Kryzys udało się załagodzić, kiedy odwieszono loty repatriacyjne do Maroka, Gwinei i Senegalu.

**JESTEŚMY
W TYM
RAZEM**

POMAGAM, GDY TYLKO MOGĘ.

WPŁACAM

PAH.ORG.PL/RAZEM

pah
Polska Akcja Humanitarna



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Leje jak z cebra, ale meteorolodzy straszą „bestią ze wschodu”, mroźnymi śnieżycami i nagłym atakiem zimy, żeby więc przygotować się do tego duchowo, czytam doniesienia spod K2 i oglądam lodowate filmy. W Karakorum właśnie dokonuje się senny koszmar naszych „lodowych wojowników”, którzy Czogori uznali już za narodową górę Polaków. Oto bowiem całkiem sprawnie zmierza do historycznego sukcesu pierwszego zimowego wejścia na szczyt grupa Szerpów – najwybitniejszych himalaistów nepalskich, znających teren jak nikt inny, doskonale wyposażonych i zorganizowanych, w dodatku prognozy zwiastują dla nich oczko pogodowe, na jakie nasi rodacy nie doczekali się nigdy. Co gorsza, dla dumy naszych górskich narodowców (kilku z nich jęło się niedawno oficjalnie przymilać do ministranta kultury fizycznej, znanego w środowisku ludzi kultury jako „Brat Idiota”, aby pozyskać finanse na kolejne Narodowe Oblężenie Zimowe góry góry), jedyny Polak, który tam się po-

dyskwalifikującą gafę uchodziło opowiadanie własnych snów. Co prawda jeden z najbardziej zasłużonych stolikowiczów, Henryk Bereza, tej zasadzie zaprzeczył swoją „Oniriadą”, lecz przecież uczynił to na piśmie, w kawiarni nie słyszano jego sennych anegdot. Śmiem twierdzić, że szacowne towarzystwo uczyniłoby chętnie wyjątek, gdyby tylko ktoś umiał opowiadać sny tak jak Charlie Kaufman.

Film na podstawie powieści kanadyjskiego pisarza Iana Reida zaczyna się jako rohmerowski z ducha dramat psychologiczny od długiego dialogu inteligentnej pary w zimowej podróży, a potem rozpędza się poprzez zapy, groteskę, surrealizm, horror, Lynchowski oniryzm, klasyczny musical, film taneczny, animację rysunkową, aż do finału, po którym nie ma czego zbierać z oczekiwania widza. To nie jest beztroska psychodelia, narracja filmu rozpada się niepostrzeżenie, ale potem destrukcja nabiera rozpędu, bohaterowie zmieniają się fizycznie, ze sceny na scenę starzeją o kilka dekad, by w następnej odmłodnieć

Marznący dreszcz

jawił, już w namiocie bazowym się pochorował i skończył zawody. Za to w akcji pozostała Polka, Magdalena Gorzkowska, lekceważona przez himaladziersów i skazywana na pożarcie, tymczasem dzielnie zdobywając aklimatyzację w kolejnych obozach, już zdołała dotrzeć na 6650 m. Szanse Szerpów rosną tym bardziej, że nie są „beztlenowcami” i ładują pod górę z butlami; to oczywiście daje okazję na przyszłość wszystkim naszym wyrwonym ekstremalistom, żeby nawet w razie sukcesu Nepalczyków zassać dotacje ministerialne na pierwsze wejście „stylowe”. Szerpowie nie znają naszej tradycji szlachetnego cierpienia w górach wysokich – wystarczy im, że muszą marznąć przy minus 40, czemuż mieliby jeszcze do tego się dusić. Trzymam kciuki, żeby nie zmarli zanadto i wy-czekując siarczystych zadymek, sięgam po film o śnieżnej przejażdżce po zakamarkach sfatygowanego umysłu.

Choć wobec produkcji platformy Netflix pozostaje w głębokiej nieufności, bo na potęgę formatuje ona i przykrawa kompetencje audiowizualne swojej widowni, wiem, że z rzadka przyzwala wybranym autorom na szaloną wolność twórczą. Skorzystał z niej ongiś Alfonso Cuarón w wybitnej „Romie”, a tej jesieni zrobił to Charlie Kaufman, kultowy amerykański scenarzysta, dopiero po raz trzeci samodzielnie stający za kamerą. Odkładałem projekcję „Może trzeba z tym skończyć” zniechęcony szeptanką środowiskową, że tym razem Kaufman wyjechał poza bandę i zrobił rzecz narcystyczną, artystowską, bla, bla. Tymczasem ten utwór „zrył mi beret” może jeszcze silniej niż skądinąd arcydzielne dwa poprzednie filmy reżysera: „Anomalisa” i „Synekdocha. Nowy Jork”. Środowiskowa legenda głosi, że przy stoliku dawnego Czytelnika za

o pół wieku, zmieniają też imiona, wykształcenie, status społeczny; wszystkie paradygmaty zostają tu podważone i przenicowane. Kaufman znalazł kinowy ekwiwalent literackiego strumienia świadomości – w tym wypadku... zamarzającej – z jego achronologią, fragmentarycznością, płynnym montażem (roz)kojarzeń. Forma i struktura są tu więc rozkołysane, ale wszystko to służy pejzażowi wewnętrznemu postaci, które z czasem okazują się ledwie projekcjami cudzego umysłu.

Dopóki Kaufman utrzymuje widza w nadziei na realistyczną opowieść, jest groźnie, ale i śmiesznie. Chłopak zawozi dziewczynę do domostwa na pustkowiu, żeby przedstawić ją rodzicom, ale nie wygląda to zachęcająco – w stodole leżą martwe owce, chlew jest pusty, bo świni zostały żywcem zeżarte przez robactwo, pies w domu nie może się przestać otrzepywać, a rodzice okazują się rąbnieci, niekoniecznie zdrowo (karykaturalne, pyszne role Davida Thewlisa i Toni Colette). Potem rozkręca się koszmarna oniriada tak ponura, że osławiony „Stroszek” Herzoga, przy którym Ian Curtis odebrał sobie życie, traci palmę pierwszeństwa w dziedzinie najbardziej depresyjnych dzieł sztuki filmowej. Reżyser bez mała molestuje widza, próbującego zaczerpnąć tchu i wydostać się do krainy twardej mimetyki, gdzie rzeczy są, a nie tylko się wydają. Jesteśmy w pułapce, jak główna bohaterka, nieustannie powtarzająca, że chce wrócić do domu, tym częściej, im bardziej rozumie, że ten powrót już nie będzie możliwy. Im bardziej pada śnieg, tym bardziej pada śnieg, dziewczyna słyszy „Baby, it's cold outside” i nie może się uwolnić, jak w słynnym świątecznym songu sprzed ery Me Too. Wielkie kino na wielki mróz.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Mateusz Mazzini

Drogo, aż boli głowa

Na życie w Paryżu, Zurychu i Hongkongu trzeba wydać najwięcej na świecie

Za kilogram świeżego chleba nieco ponad 6 dol., czyli przy obecnym kursie prawie 23 zł. Taka sama ilość pomidorów kosztuje niemal 14 zł (3,8 dol.), ziemniaków – prawie 10 zł (2,68 dol.). Za posiłek dla jednej osoby w niedrożej restauracji zapłacimy równowartość ok. 68 zł, ale wycieczka do knajpy nieco elegantszej (choć wcale nie wykwintnej) to już wydatek rzędu nawet 400 zł na dwie osoby. Pięciodniowy bilet na wszystkie linie komunikacji zabierze z naszej kieszeni 127 zł. Patrząc bardziej długoterminowo, tzw. koszty stałe są jeszcze wyższe. Miesięczny wynajem kawalerki wewnątrz pierścienia wyznaczonego przez obwodnicę śródmiejską może nas kosztować już między 5,5 a 9 tys. zł. 4,1 tys. zł zapłacimy za miesiąc prywatnego przedszkola dla jednego dziecka. W sumie na żywność wydalibyśmy w tym samym okresie prawie 4 tys. zł. Biorąc pod uwagę, że są to dane uśrednione, a mediana zarobków dla zatrudnionych legalnie i na stałych kontraktach wynosi 11 455 zł, łatwo wyobrazić sobie, że opisany powyżej model życia na dłuższą metę jest nie do utrzymania.

Nieruchomości w Paryżu wykupują obcokrajowcy, zwłaszcza bajecznie bogaci Saudyjczycy.

Informacje dotyczące kosztów życia w Paryżu zebrały firma konsultingowa Mercer, agencja badawcza The Economist Intelligence Unit (EIU) oraz portal Numbeo. Oczywiście zawierają dane przybliżone i w wielu miejscach uśrednione – bez wątpienia da się w Paryżu przeżyć za mniej albo całkiem sporo odkładać. Koszty życia zależą bowiem od wielu czynników, ale przede wszystkim od stylu życia. A on potrafi być szalenie zindywidualizowany. Mimo to rankingi najdroższych miast na świecie pod względem wydatków osób w nich mieszkających są narzędziem bardzo przydatnym. Nie tylko pokazują, jak te miasta się zmieniają, ale też skąd owe zmiany się biorą i jaki mają wpływ na populację – tę rdzenną, ale też przyjeźdną.

W najnowszej edycji rankingu EIU brakuje jednoznacznego zwycięzcy.

Palną pierwszeństwa dzielą się Paryż, Zurych i Hongkong. Obecność dwóch ostatnich miast w gronie liderów wysokich kosztów życia nie dziwi, bo pojawiają się tam od lat, niekiedy zamieniając się miejscami. Co więcej, dawna brytyjska kolonia, coraz mocniej wcielana w państwowe struktury Chińskiej Republiki Ludowej, jest nie tylko jedną z trzech najdroższych metropolii, ale także przewodzi w rankingu miast o najwyższych cenach dla mieszkających w nich obcokrajowców. W tej grupie statystyki kompiluje się nieco inaczej, bo zagraniczni rezydenci korzystają z zupełnie innego, często droższego koszyka dóbr i usług. Informacje te są jednak równie cenne, dlatego że pokazują jeszcze inny aspekt rozwoju wielkich miast – stopień ich uczestnictwa w globalnej ekonomii i międzynarodowym rynku pracy. Hongkong jest niewyobrażalnie drogi dla

obu grup. Co można interpretować na różne sposoby. Z jednej strony, życie tam mocno obciąża domowy budżet, ale z drugiej – przynajmniej dotyczy to naprawdę wszystkich mieszkańców, niezależnie od kraju czy miejsca pochodzenia.

Obecność Paryża na czele rankingu jest jednak relatywną nowością, zwłaszcza że wcześniej, poza Zurychem, dominowały w nim metropolie pozaeuropejskie: Nowy Jork, Singapur, Tokio, Osaka. Wysoko plasowało się też Los Angeles i sąsiednie San Francisco (często liczone sumarycznie z przylegającymi miastami jako tzw. Bay Area, czyli obszar zatoki o tej samej nazwie), niekiedy również miasta kanadyjskie, zwłaszcza Vancouver. Poza największym miastem Szwajcarii na podium rankingu zawsze niewiele było europejskich miast. Skąd więc ten skok Paryża na sam szczyt?

Po pierwsze, rosnące ceny nieruchomości i najmu. Sami paryżanie przyznają, że stolica Francji nie jest już miejscem, w którym mieszkają Francuzi. Stało się to zwyczajnie zbyt drogie. Zamiast nich mieszkają, nieliczne domy czy nowe apartamentowce wykupują obcokrajowcy, zwłaszcza bajecznie bogaci Saudyjczycy, przyjeźdźni z Emiratów czy innych krajów Zatoki Perskiej. Posiadanie nieruchomości w Paryżu stało się w tych państwach wyznacznikiem statusu społecznego, symbolem najwyższego luksusu. Apartamenty te, choć niebotycznie drogie, rzadko są w ogóle używane. Jak chociażby uważany za najdroższą nieruchomość na świecie Château Louis XIV na zachodnich obrzeżach miasta. Zamek należący wcześniej do francuskich królów został zakupiony za ok. 320 mln dol. przez saudyjskiego następcę tronu Mohammeda bin Salmana. W tej chwili głównie jednak się kurzy, bo książę nie bywa w nim prawie wcale. Podobnie ma się sprawa z innymi nieruchomościami należącymi do saudyjskiej rodziny królewskiej w Paryżu i na przedmieściach – one z kolei nie są odwiedzane, bo właściciele siedzą w więzieniach, wrzuceni tam właśnie przez apodyktycznego, skłonnego do czystek bin Salmana. Kilka lat temu głośno było również o zakupie przez saudyjski fundusz Sedco nieruchomości w stolicy Francji za łączną kwotę 180 mln dol. Mniejszych nabywców jest jeszcze więcej, o mieszkania na wtórnym rynku toczy się prawdziwa wojna. Wysokie koszty zakupu i najmu przekładają się potem na wzrosty cen praktycznie we wszystkich obszarach życia – od restauracji po supermarkety, od muzeów po taksówki. Autorzy raportu EIU jednoznacznie konkludują, że Paryż jest miastem najdroższym, bo wysokie są w nim przede wszystkim koszty strukturalne, czyli takie, które wpływają później na zawartość portfela każdego mieszkańca.



Hongkong to jedno z najgęściej zaludnionych miejsc na planecie. 7 mln mieszkańców żyje tu na powierzchni ledwie dwukrotnie większej od administracyjnego obszaru Warszawy.

Hongkong ma podobny problem jak Paryż, choć wynikający z czegoś zupełnie innego. O ile mieszkańcy w stolicy Francji jest całkiem dużo, a windowanie ich cen przypisuje się po prostu popularności na globalnych rynkach, o tyle w dawnej brytyjskiej kolonii w Azji znalezienie nieruchomości to prawdziwa sztuka, bo jest ich bardzo mało. Hongkong to jedno z najgęściej zaludnionych miejsc na planecie. 7 mln mieszkańców żyje tu na powierzchni 1106 km kw., czyli ledwie dwukrotnie większej od administracyjnego obszaru Warszawy. Powoduje to, że tylko pod względem cen na rynku mieszkaniowym Hongkong jest globalnym liderem. Koszty codziennych zakupów czy jedzenia w restauracjach są tam relatywnie nieco niższe niż

w Paryżu, również z powodu wyższej średniej i mediany zarobków, ale kompensuje się to właśnie drogimi nieruchomościami. Popyt na nie jest ogromny, podaż bardzo ograniczona, w dodatku nie ma jak jej zwiększyć. Na terenie enklawy zostało już bardzo mało miejsca do zabudowy, a najczęściej są to działki publiczne. Nie ma zatem gdzie stawiać nowych budynków. Wreszcie przekleństwem Hongkongu jest jego położenie. Będąc bramą do Państwa Środka, bezpośrednim i jedynym liberalnym sąsiadem Chin, staje się zdecydowanie najatrakcyjniejszym w regionie miejscem dla przybyszów z Europy czy Ameryki, zwłaszcza chcących prowadzić interesy w Chinach. Daje bowiem dostęp lub po prostu bliskość do tamtego rynku, jednocześnie

pozwalając zachować namiastkę zachodniego życia, chociażby nie cenzurując mediów społecznościowych.

W tegorocznym rankingu zanotowano spore zmiany. Spośród 130 miast opisanych przez EIU największy awans zanotowały te miasta, w których problemy polityczne nałożyły się na mocno odczuwalne skutki pandemii koronawirusa. Należy do nich Teheran, który przesunął się aż o 27 miejsc do przodu, na 79. pozycję. Powodem podniesienia kosztów utrzymania w stolicy Iranu był przede wszystkim powrót amerykańskich sankcji, ale też niedobór materialny i inflacja wywołana kryzysem wokół COVID-19. Taniej jest z kolei w miastach, w których topnieje klasa średnia, jak chociażby w Rio de Janeiro. Brazylia pod rządami ultrakonserwatywnego prezydenta Jaira Bolsonaro nie umie wyjść z kilkuletniej już recesji, co uderza właśnie w mieszkańców największych miast. Bardzo wysoko, bo aż na piątej pozycji, uplasował się Tel Awiw. Izraelska metropolia z roku na rok przekształca się w globalne centrum technologiczne, ściągając obcokrajowców i głównie z powodu ich obecności rosną koszty utrzymania.

W zestawieniu najdroższych miejsc do życia często na czołowych pozycjach plasują się miasta dość niespodziewane. A to dlatego, że liczą się tu również wewnętrzne czynniki ekonomiczne, jak inflacja. Są to zatem metropolie naprawdę drogie dla swoich mieszkańców, choć nie tak popularne globalnie. Dlatego za jedno z najdroższych miast na świecie regularnie uznawana jest Luanda, stolica Angoli, choć Saudyjczycy nie zawyżają tam cen nieruchomości, a Amerykanie nie zakładają start-upów. Po prostu wszystkiego jest tam mało, na czele z pieniędzmi. Nieregularne dostawy żywności czy leków, niska podaż usług prywatnych powodują, że ceny są astronomiczne. A to bywa szkodliwe dla zdrowia. Japońscy lekarze stworzyli nawet jednostkę chorobową zwaną syndromem paryskim. Dotykała ona tamtejszych turystów, którzy źle się czuli na wspomnienie wysokich cen w Paryżu. Jak widać, w niektórych miastach jest tak drogo, że aż głowa może rozboleć.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Astronomiczne bum w Portoryko

Zawalił się największy radioteleskop, ale są jeszcze potężniejsze i bardziej czułe



Do katastrofy radioteleskopu w Arecibo doszło 1 grudnia 2020 r.

objawy zmęczenia materiału. Urwał się wówczas jeden z kabli podtrzymujących metalową platformę znajdującą się nad radioteleskopem, powodując uszkodzenie jego ogromnej, 305-metrowej czaszy. Wtedy amerykańska National Science Foundation (NSF) zastanawiała się nad dalszymi losami urządzenia, bo jego ewentualna naprawa mogła się okazać zbyt ryzykowna dla ludzi. Fundacja rozpoczęła zatem opracowywanie planu likwidacji. Zakładał on zachowanie jak największej ilości pozostałej infrastruktury obserwatorium Arecibo, aby była ona wciąż dostępna dla przyszłych misji badawczych i edukacyjnych. Pomyślano nie tylko o naukowcach, którzy zajmowali się badaniami kosmosu, ale także o okolicznych mieszkańcach tego nienajbogatszego terytorium zależnego USA, którzy żyli z turystyki.

Gdy przygotowywano już dostawę zapasowych kabli pomocniczych i kabli tymczasowych, 6 listopada pękł także główny kabel na podtrzymującej konstrukcję wieży. Na podstawie pomiarów naprężeń drugiego zerwanego kabla inżynierowie doszli do wniosku, że także pozostałe kable są prawdopodobnie słabsze, niż pierwotnie zakładano. Wielka i ciężka, ważąca 900 ton kopuła odbiornika (naukowcy nadali jej przydomek gregoriańska z uwagi na kształt), zawieszona na trzech grubych linach stalowych nad ogromną czaszą mogła budzić trwogę. I tak 1 grudnia o godz. 6.55 czasu lokalnego zaczęły się zrywać po kolei liny podtrzymujące konstrukcję. Wszystko spadło na dół, jeszcze bardziej niszcząc czaszę. Dodatkowo uszkodzeniu uległy dwie kolejne wieże, z których biegły kable podtrzymujące instalację odbiornika,

Bronisław Tumitowicz

Przeszło 300-metrowy radioteleskop Arecibo w Portoryko przestał istnieć 1 grudnia 2020 r. Już od pewnego czasu wykazywał oznaki słabości, więc katastrofa nie była wielkim zaskoczeniem i – co ważniejsze – nie pociągnęła ofiar w ludziach. A był to obiekt słynny, niemal legendarny, niegdyś odwiedzany przez wycieczki, przez długie lata największy radioteleskop na świecie. Dopiero w 2016 r. Chińczycy zbudowali potężniejsze urządzenie.

Prawie 30 lat temu nasz radioastronom Aleksander Wolszczan zapoczątkował w tym miejscu odkrycia planet krążących wokół innych gwiazd niż Słońce, dzięki czemu niemal otarł się o Nobla. Wszyscy kinomani mogli zobaczyć tę imponującą

konstrukcję także w kluczowej scenie filmu o Jamesie Bondzie „Golden Eye” i innych hollywoodzkich hitach. Teleskop, poza celami astronomicznymi, był również wykorzystywany przez wywiad Stanów Zjednoczonych do określania pozycji stacji radarowych ZSRR na podstawie sygnałów odbitych od Księżyca. A w 1974 r. przy jego pomocy wyemitowano w kierunku Gromady Herkulesa wiadomość skierowaną do potencjalnych obcych, którzy jednak nie odpowiedzieli. Wreszcie w 2008 r. radioteleskop Arecibo został wpisany na listę National Register of Historic Places.

Kopuła nad czaszą

Arecibo nie był młodzieńcem, zbudowano go w 1963 r. Już w sierpniu ub.r. zaobserwowano niepokojące

a także budynki obserwatorium. Katastrofa została sfilmowana zarówno z dołu, jak i z góry, z kamery krążącego nad teleskopem drona, a oba kilkunastosekundowe filmy znalazły się w internecie.

Trzeba się pożegnać z tym obserwatorium, które zapisało się w pamięci wielu polskich astronomów, i poszukać dla nich innego miejsca, z którego można nadawać i odbierać sygnały radiowe przychodzące z przestrzeni nie tylko okołozemskiej, ale nawet z bardzo odległych galaktyk.

Następcy Arecibo

Gdzie się podzięją nasi naukowcy, którzy jako grupa stanowią dziś niemały i liczący się w świecie potencjał badawczy? Gdzie znajdą urządzenia

i warunki atmosferyczne dogodne do badań nieba? Przecież nie w Polsce, gdzie atmosfera często jest zasnuła chmurami, mgłami i coraz gęstszym smogiem. Z tym pytaniem zwróciliśmy się do prof. Marka Sarny, prezesa Polskiego Towarzystwa Astronomicznego.

W Arecibo Aleksander Wolszczan zapoczątkował odkrycia planet krążących wokół innych gwiazd niż Słońce.

– Na świecie jest podobne urządzenie, o wiele bardziej czułe. To Five hundred meter Aperture Spherical Telescope (FAST), czyli kopiujący ideę Arecibo 500-metrowy radioteleskop chiński. Pytanie, czy przyjmie on polskich radioastronomów z Torunia, Krakowa, Olsztyna? Istnieją jeszcze

dwie świetne możliwości i polscy naukowcy już z nich korzystają. Jedną jest LOFAR – to kilkadziesiąt anten rozmieszczonych w kilku krajach europejskich. W Polsce mamy trzy z nich, ich koordynatorem jest prof. Andrzej Krankowski z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego.

Drugim urządzeniem jest radioteleskop ALMA na pustyni Atacama w Chile, położony wysoko w górach (ponad 5000 m n.p.m.). Jest to system 66 anten zbierających sygnały w zakresie mikrofalowym. Polscy astronomowie mają do niego dostęp w związku z naszym członkostwem ▶

LOFAR i POLFAR

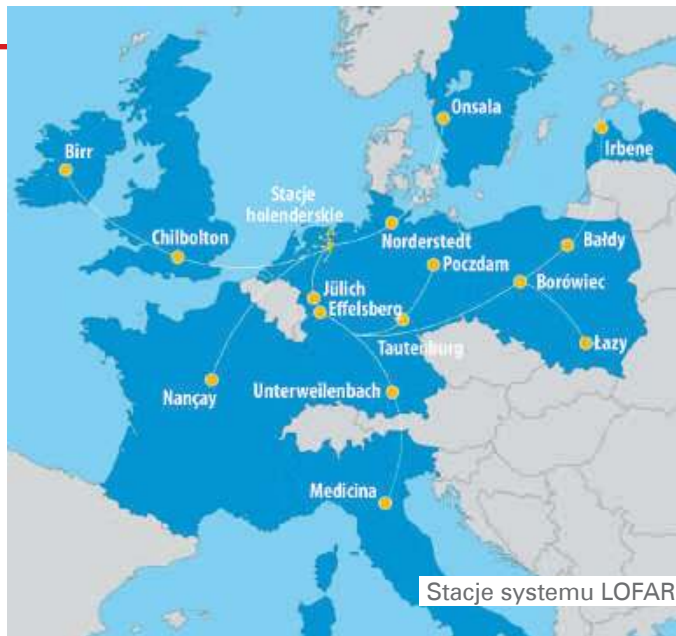
Radioteleskop z Arecibo był swego czasu bardzo atrakcyjnym urządzeniem, badając kosmos jako pojedyncza antena. Mógł on jednak odbierać fale radiowe o częstotliwości co najmniej 327 MHz. Odbiór długich fal radiowych był zniekształcany przez otaczającą Ziemię jonosferę.

Jednak techniki badania jonosfery są ciągle rozwijane. To sprawiło, że możliwe stało się zbudowanie instrumentu obserwującego w zakresie dużo niższych częstotliwości (10-250 MHz). Ponadto dzięki rozwojowi technik komputerowych możemy dokonywać analizy sygnału nie tylko z jednej anteny, ale z przeszło 100 tys. anten jednocześnie. (...) Zamiast budować wielki instrument, możemy złożyć go z tysięcy mniejszych i kontrolowanych przez komputery prostych elementów. Tak właśnie powstał LOFAR. Każde z obserwatoriów (nazywamy to stacją) złożone jest z kilku tysięcy elementów dipolowych (stacje znajdujące się w Polsce to 3264 anteny). Z kolei stacje rozsiane po całej Europie w liczbie 52 składają się na interferometr, którego rozmiary to dziś grubo ponad 1000 km.

Pierwszeństwo w dostępie do systemu LOFAR mają astronomowie z Europy, w szczególności z tych krajów, gdzie rozlokowane zostały elementy tego systemu. W Polsce znajdują się trzy stacje tego potężnego i nowoczesnego instrumentu. Jedna z nich należy do Uniwersytetu Jagiellońskiego, druga jest pod kuratelą Centrum Badań Kosmicznych i ulokowana jest w Borówcu pod Poznaniem. Trzecia zaś, położona w Baldach niedaleko Olsztyna, jest zarządzana przez Centrum Diagnostyki Radiowej Środowiska Kosmicznego Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego.

Polska część tego systemu to także Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe (PCSS) oraz kilka innych instytucji tworzących polskie konsorcjum LOFAR-POLFAR (uniwersytety z Torunia, Szczecina, Zielonej Góry i Wrocławia oraz Centrum Astronomiczne Mikołaja Kopernika).

LOFAR to wiele różnorodnych programów badawczych: od obserwacji Słońca oraz badań związanych z kosmiczną pogodą aż do badań najodleglejszych obszarów znanego nam



wszechświata. To badania planet Układu Słonecznego, struktury Drogi Mlecznej i innych, odległych galaktyk – badanie ich struktur, pól magnetycznych itd. to obserwacje atmosferyczne (wyładowania oraz promieniowanie kosmiczne) i badania najwcześniejszych etapów powstawania wszechświata.

LOFAR nie tylko zastępuje Arecibo, lecz idzie znacznie dalej. Klasyczny teleskop trzeba skierować na obserwowany obszar na niebie i śledzić go (w Arecibo można było obserwować tylko pewien obszar wokół zenitu), czyli w jednej chwili patrzymy tylko na jeden obiekt. W LOFAR, jeśli mamy odpowiednią moc systemów obliczeniowych, możemy jednocześnie i niezależnie śledzić wiele źródeł.

Oprac. BT na podstawie „Space Radio-Diagnostic Research Center, Faculty of Geoen-gineering”, UWM, Olsztyn

► w Europejskim Obserwatorium Południowym (ESO). ESO ma 37% udziałów w ALMA. Polscy astronomowie biorą też udział w konkursach propozycji badawczych. Kilka z nich zostało już zrealizowanych.

– ALMA to przede wszystkim sieć ponad 60 teleskopów działających wspólnie, aby uzyskać maksymalnie dużą rozdzielczość przestrzenną (czyli dokładność rozdzielania szczegółów obrazu nieba) – wyjaśnia dr Agata Karska z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

– Czułość takiej sieci zależy od powierzchni zbierającej wszystkich jej anten. Teleskop Arecibo miał gigantyczną powierzchnię zbierającą i stąd jego możliwość odkrywania nawet bardzo słabych sygnałów z kosmosu. Warto jednak zauważyć, że mimo wielkiej średnicy (305 m) jego zdolność rozdzielania szczegółów obrazu była znacznie mniejsza niż sieci takich jak ALMA. Poza tym działał w paśmie radiowym, podczas gdy ALMA obserwuje na falach krótszych – milimetro-

i submilimetrowych. Nasi astronomowie, aby móc przeprowadzić obserwacje, muszą najpierw złożyć wniosek, który jest rozpatrywany przez międzynarodowy komitet selekcyjny. Tego rodzaju obserwacje wykonujemy m.in. w kierowanym przeze mnie Centrum Doskonałości Astrofizyka i Astrochemia na UMK.

W poszukiwaniu życia

Aby przybliżyć sens korzystania z tak wielkich i czułych narzędzi obserwacji nieba, warto zacytować fragment artykułu opublikowanego w czasopiśmie „Urania” przez dr Agatę Karską i prof. Dariusza Lisa. Badacze kosmosu poszukują w przestrzeni wszechświata śladów wody, a zatem i życia, i dzięki takim urządzeniom jak Arecibo czy ALMA znajdują je.

„Rezerwuary wody w Układzie Słonecznym znajdują się daleko od Słońca – głównie tam, gdzie jest zimno. Ziemia zawiera jednak 10 razy więcej wody niż meteoryty w odległości 1 j.a. od Słońca. Z tego powodu uważamy, że pierwotna woda na Ziemi po prostu wyparowała, a obecna woda musiała zostać dostarczona ponownie później, przez planetoidy lub komety. (...) Nowe odbiorniki na ALMA (...) umożliwią obserwację wody o bardzo dużej precyzji z powierzchni Ziemi, oczywiście przy szczególnie korzystnych warunkach pogodowych. Podsumowując, składniki chemiczne potrzebne do powstania życia są szeroko rozpowszechnione we wszechświecie i związane z obszarami powstawania gwiazd. Układy planetarne mogą powstawać wokół większości gwiazd. Dotychczas odkryte układy planetarne są jednak odmienne od naszego Układu Słonecznego. Struktura i skład chemiczny tych obszarów są obecnie badane (...) przy pomocy najnowszych instrumentów. Bez wątpienia astrochemia i astrobiologia będą jednymi z najbardziej dynamicznie rozwijających się dziedzin astronomii w XXI w.”.

Znajdziemy wreszcie to życie pozaziemskie? Astronomowie wciąż nad tym pracują.

Bronisław Tumilowicz
b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

FABIJAŃSKI CHYRA SZYC ŻMUDA-TRZEBIATOWSKA OLBRYCHSKI
W FILMIE XAWEREGO ŻUŁAWSKIEGO NA PODSTAWIE SCENARIUSZA ANDRZEJA ŻUŁAWSKIEGO

FPPF Gdynia 2019
Konkurs Główny

FPPF Gdynia 2019
Nagroda Jury
Młodzieżowego

Polskie Nagrody
Filmowe Orły 2020
5 Nominacji

Złota Taśma 2020
Wyższenie

MOWA F+AKÓW

PREMIERA DVD!

DO KUPIENIA NA **dvdmax.pl**
SKUP Z NAJWIELSZĄ KULTURĄ

PARTNERZY MEDIALNI

Przełom W GŁOS KULTURY FILMWEB Multikino WP

Tak, ale



Agnieszka Wolny-Hamkała

Pomysł wydał mi się niedorzeczny, nawet śmieszny: książka o filmach, które MÓGŁ zobaczyć Franz Kafka. Przypomniało mi to „Rachunki zebrane z pralni”, jakie wydano po śmierci pewnego fikcyjnego pisarza. Może napiszę esej pod tytułem „Dwanaście piosenek, które mógł usłyszeć Franz Kafka” – pomyślałam złośliwie. Nie znałam eseistyki autora, Hannsa Zischlera, ale książka była pięknie wydana: z wieloma zdjęciami starych praskich i paryskich kin czy fotosów i plakatów z zabytkowych filmów w stylu „Białej niewolnicy”. Było nawet zdjęcie fotoplastykonu, tzw. Panoramy Cesarskiej, z którą spotkałam się ostatnio w innej książce – „Berlińskim dzieciństwie na przełomie wieków” Waltera Benjamina. Dodatkowo okazało się, że postowie do wydania napisał prof. UAM Łukasz Musiał, znany polski kafkolog i tłumacz, który wydał w zeszłym roku wspaniałe „Prozy utajone” – wybór tekstów, pokazujących Kafkę jako autora niefrasobliwego, awangardowego, impulsywnego, niemal punkowego,

z 1896 r. „Wjazd pociągu na stację w La Ciotat”: „Widzowie nieruchomieją, gdy pociąg przejeżdża obok”. Zischler zaś nie tylko gromadzi w jednym miejscu zapiski Kafki dotyczące jego doświadczeń filmowych, ale zestawia je np. z programami kin, które publikowano w ówczesnych gazetach. Dodajmy do tego plakaty, filmowe fotosy, recenzje i właśnie owe, czasem bardzo konkretne, zapiski pisarza, a robi się z tego całkiem wiarygodny krajobraz. Zischlerowi udało się dotrzeć do wielu cyfrowych archiwów i obejrzeć część rzeczy, które swego czasu oglądał pisarz kinoman.

Książka „Kafka idzie do kina” sama przypomina trochę fotoplastykon: jest pełna ciekawie zestawionych obrazów i fragmentów, które dla wielbicieli Kafki mogą okazać się odkrywcze. Weźmy na przykład tekst „Aeroplany w Brescii”, który polski czytelnik zna z „Próz utajonych” Kafki: wcześniej czytałam ten tekst jako jedną z zagadkowych fantazji autora „Zamku” – pełną widm, abstrakcyjnych

Kino Kafka

takiego, który często porzuca pracę, spisuje jakieś fragmenty, skojarzenia, półimpresje, półwiersze. Wychodzi poza gatunkowe ograniczenia, szukając – jak to nazywał Czesław Miłosz – „formy bardziej pojemnej”.

Lekturę książki „Kafka idzie do kina” zaczęłam więc od postowia o zachęcającym tytule „Kino Kafka przedstawia!”. Punkt wyjścia rozważań Łukasza Musiała stanowi moment, w którym zaczął się Kafka, jakiego znamy: z jego stylem, siłą wyrazu i charakterystycznym imaginariem. To noc z 22 na 23 września 1912 r., kiedy powstało słynne opowiadanie pod tytułem „Wyrok”. Z czego wynika sugestywność tego (i kolejnych) tekstów Kafki? „Jak zwykle w przypadku pisarzy wybitnych – tłumaczy profesor – źródła bywają wielorakie, jedno wszakże aż do lat 90. XX w. pozostawało poza polem widzenia badaczy twórczości Kafki”: chodzi o rolę kina, które miało gigantyczny wpływ na prozę autora „Procesu”. A przecież tacy wybitni eseściści jak Max Brod, Walter Benjamin czy Theodor W. Adorno nie tylko dostrzegali ten wpływ, ale widzieli pokrewieństwa strukturalne, narracyjne czy pewne powinowactwo obrazów między np. filmami Chaplina a literaturą Kafki.

I oto w 1996 r. pojawia się esej Zischlera, który teraz możemy czytać po polsku w przekładzie Małgorzaty Łukasiewicz (książka ukazała się w wydawnictwie Ossolineum). Rzecz ta zapełnia wspomnianą lukę w interpretacjach dzieł Kafki. I – jak się okazuje – nie opowiada wcale o filmach, które pisarz mógł obejrzeć, ale o filmach, które z pewnością widział. Pisał bowiem o nich w dziennikach czy listach. Zresztą pierwsze zdanie z „Dzienników” odnosi się właśnie do kina, a konkretnie do słynnego obrazu

komentarzy dotyczących latania albo kobiet, które „chcą, aby obejmowano je głębiej”. Zischler zestawiał ten tekst z tekstem przyjaciela Kafki – Waltera Benjamina i z fotosami z filmu dokumentalnego (1919) „Pierwsze międzynarodowe zawody lotnicze w Brescii”. Kafka i Benjamin postanowili podczas wycieczki do Włoch obejrzeć owe zawody lotnicze. Umówili się także – rozumiem to jako rodzaj zakładu – że obaj opublikują teksty na ten temat. I zrobili to. Oba (Benjamina – reporterski, Kafki – poetycki, pełen skrótów i dziwnych obrazów) możecie Państwo przeczytać w książce Zischlera.

Zresztą to chyba bardziej książka o kinie niż o Kafce. Z eseju dowiadujemy się na przykład, w jaki sposób właściciele kin reklamowali filmowe spektakle. Od 1896 r. popularne były wędrownie pokazy, a w roku 1907 powstało w Pradze pierwsze kino w domu Pod Niebieskim Szczupakiem, przy Karlovej 180. Jego właściciel wraz z bratem zachęcał do odwiedzenia sali, produkując pomysłowe pocztówki, które obiecywały „obrazy z życia i ze świata snu”. I rzeczywiście – jakby samo wyświetlenie filmu nie wystarczało – właściciele wykonywali w przerwach pokazy sztuczek magicznych, a podczas projekcji objaśniali sceny bądź recytowali tekst, żeby wzmocnić niektóre dramatyczne fragmenty.

„Kafka idzie do kina” to książka, która przyniosła sławę Hannsowi Zischlerowi. A nam pozwoliła na dziwną intymność: czytając ją, podpatrujemy Kafkę, który z przyjemnością utożsamia (na pełen czaru moment) ledwie poznaną kobietę z aktorką czy może nawet postacią z filmu. I zabiera ją samochodem na nocną przejażdżkę.

Rozmawia Katarzyna Niedurny

Otrzymałaś w tym roku najważniejszą niemiecką nagrodę teatralną – Der Faust – za reżyserię spektaklu „Der Boxer” na postawie powieści „Król” Szczepana Twardocha. Kilka lat temu w Teatrze Śląskim wystawiłaś „Morfinę”. Co cię przyciąga do tego autora?

– Interesuje mnie sam gatunek powieści historycznej, dzięki której, wracając do przeszłości, można opowiedzieć o współczesnych problemach. Szczepan uruchamia świat bardzo zmysłowy, witalny i intymny. Akcja „Króla” rozgrywa się w Polsce w latach 30. XX w. Jej głównym bohaterem jest Jakub Szapiro – bokser żydowskiego pochodzenia. Dzięki prozie Twardocha można zbliżyć się do tamtych czasów i tamtych ludzi, rozszarpując klisze myślowe, w które wyposaża nas edukacja i stereotypy. Dla mnie, reżyserki, ważne jest również to, że Szczepan daje mi wolną rękę i mogę przebudowywać jego teksty. W „Bokserze” zupełnie inaczej ustawiam postacie kobiece, które w książce wprowadzone są tylko po to, żeby opowiadać historię głównego bohatera. U mnie zyskują one podmiotowość.

„Bokser” był twoim trzecim niemieckim spektaklem po „Śnie nocy letniej” i „Nocy św. Bartłomieja” na podstawie „Królowej Margot”. Wcześniej europejska klasyka, teraz polski tekst współczesnego autora. Nie bałaś się tej propozycji?

– To było trudne. W niemieckim teatrze każdy pomysł jest szeroko dyskutowany przez reżysera, dyrektora oraz sztab dramaturgów, który zapoznał się z książką. W takim zespole doszliśmy do wniosku, że może być to interesujący i przewrotny pomysł; polska reżyserka, polski autor piszący o przedwojennej Warszawie. I niemiecka publiczność.

Powieść przedstawia moment tuż przed II wojną światową. Jak wojenne tematy wybrzmiewają dzisiaj w Niemczech?

– Tematy wojny, winy i współodpowiedzialności zostały szeroko omówione w tamtejszej kulturze. Można powiedzieć, że są solidnie

W niemieckim teatrze jest więcej czułości

Nie chcę mieć etykietek. Wolność od przymiotników jest bardzo przyjemnym uczuciem

EWELINA MARCINIAK

– reżyserka teatralna, laureatka Paszportu „Polityki”. W 2020 r. otrzymała prestiżową niemiecką nagrodę teatralną – Der Faust.



przepracowane, dlatego nie miałam poczucia, że wyjmuję trupa z szafy. Moim celem nie było tworzenie po raz kolejny świata bohaterów współodpowiedzialnych za przemoc w oczywisty, prosty sposób. Zastanawiałam się za to, jak to w ogóle było możliwe, gdzie padło ziarno przemocy i czym było podlewane, że mogło wykiełkować w tak spektakularny sposób.

Patrząc na twoje ostatnie produkcje, mam wrażenie, że temat przemocy jest dla ciebie bardzo interesujący.

– Tak, w dodatku najbardziej interesująca wydaje mi się ona w momentach, kiedy jest jeszcze niewidoczna. To łączy moje ostatnie spektakle. Także wystawioną w Gnieźnie „Historię przemocy”. W „Bokserze” najtrudniejszą dla mnie sceną wcale nie jest bicie na ringu, lecz przyjscie Ziemińskich do żony Szapiro po to, żeby zabrać jej rzeczy, czyli przemoc dozwolona i uprawomocniona. Zawsze zadaję sobie pytanie o okoliczności, w których następuje przesunięcie granicy, a państwo i społeczeństwo pozwalają sobie na utratę szacunku dla drugiego człowieka.

Czy masz wrażenie, że tak jest dzisiaj w Polsce?

– Tak. Cicha przemoc, która była z nami od lat, zaczyna się rozrastać coraz szybciej i szybciej. Stąd wybuch fali gniewu i chęć przeciwstawienia się jej. Sama uczestniczyłam w protestach i mówię to z uśmiechem na twarzy, bo jestem dumna, że mogę być częścią tego ruchu.

W Polsce masz opinię reżyserki kontrowersyjnej. Wokół twojego spektaklu „Śmierć i dziewczyna” wybuchły protesty dotyczące zatrudnionych przez ciebie w spektaklu aktorów porno. W Niemczech też masz taką etykietkę?

– Nie mam i nie chcę mieć żadnych etykietek w Niemczech, tak samo jak nie chcę ich mieć w Polsce. Nie jestem tam ani kontrowersyjna, ani przeestetyzowana. Wolność od przymiotników jest bardzo przyjemnym uczuciem. Nie muszę mierzyć się z presją, z wyobrażeniami na swój temat. Jestem tylko ja, scena i aktorzy, którzy chcą iść ze mną w świat. Czuję, że dzięki temu sama mogę się przeszukiwać, a potem czytać niemieckie recenzje

Ewelina Marciniak

– wyreżyserowała m.in. spektakle „Amatorki” (Teatr Wybrzeże w Gdańsku), „Śmierć i dziewczyna” (Teatr Polski we Wrocławiu), „Portret damy” (Teatr Wybrzeże), „Morfina” (Teatr Śląski w Katowicach). Od 2016 r. pracuje również w Niemczech, gdzie zrealizowała cztery spektakle na deskach teatrów w Hamburgu oraz we Fryburgu.



z zaskoczeniem, że tak można opisywać mój teatr. „Sen nocy letniej”, który był pokazywany również w Gdańsku, zawierał scenę, w której aktorzy chodzili nago po widowni. Przedstawienie reżyserowałam we Fryburgu, który mimo że ma duży i sprawnie prowadzony przez Petera Carpa teatr, jest małym miastem. Jest tam dużo publiczności abonamentowej, czyli osób po 50. roku życia. Pojawiły się, więc obawy, jak widzowie zareagują. Tymczasem zarówno spektakl, jak i ta scena zostały dobrze przyjęte. Okazałam się niekontrowersyjna.

W Polsce jesteśmy bardziej otwarci na nieprzewidziane zmiany i wyjście poza standardowe procedury.

Na nowym rynku stałaś się niezapisaną kartą.

– Wobec publiczności i wobec siebie samej. Mam poczucie, że gdybym wystawiła Szczepana Twardochę w Polsce, nie udałoby mi się przygotować tak rozdzierającego, w moim odczuciu, przedstawienia, które jest o wiele smutniejsze, mocniej palące niż „Morfina”, i powiedziałabym, że bardziej *noir*. Tutaj dałam sobie pozwolenie na taką pracę.

Jak trafiłaś do niemieckiego teatru?

– Dzięki polskiemu teatrowi. Razem z moim spektaklem „Amatorki” byłam w Strasburgu i tam zostałam zauważona przez Petera Carpa, który zmieniając po kilku latach dyрекcję w Oberhausen na Fryburg, zaprosił mnie do pracy. Było to dla mnie wielkie wyróżnienie, ponieważ dowiedziałam się, że jest on dyrektorem, który wyszukuje nowe talenty jak

trufle. Zaczynał u niego międzynarodową karierę np. znany w Polsce węgierski reżyser Kornél Mundruczó. Ja zrobiłam u niego „Sen nocy letniej” i potem zaczęło przybywać propozycji.

Czym niemiecki teatr różni się od polskiego?

– Oba prezentują inne jakości, które doskonale się uzupełniają, dlatego marzę o koprodukcji, która pozwoliłaby patrzeć na siebie nie przez pryzmat granicy na Odrze, ale postawiła na wspólną pracę i uczenie się od siebie. W Niemczech na pewno ważniejszy jest komfort pracy wszystkich

osób zaangażowanych w powstanie spektaklu. Pół roku przed premierą musimy oddać projekt scenografii, trzy miesiące wcześniej obsada wie, że zaczyna próby, ma więc czas, by spokojnie przygotować się do nich, np. przeczytać powieść i zastanowić się, co ich w niej porusza. Organizowane są wcześniej spotkania, na których opowiadam, w jaki sposób będziemy pracować, jakie tematy poruszać. Wydaje mi się, że jest to bardzo podmiotowe traktowanie. W polskim teatrze zazwyczaj aktorzy o udziale w próbach dowiadują się tydzień przed ich rozpoczęciem z wydrukowanej w gablotce listy. Tyle że w Polsce jesteśmy bardziej otwarci na nieprzewidziane zmiany i wyjście poza standardowe procedury.

Panuje obiegowa opinia o niemieckim teatrze, że jest bardzo poukładany.

– Ja to poukładanie odbieram jako wyraz szacunku do ludzi tworzących przedstawienie. Zdarza się, że w Polsce ekipa techniczna dostaje projekt scenografii w ostatniej chwili i przez to pracuje w stresie i pod ogromną presją. Oczywiście rewersem tego, że wszystko jest w Niemczech tak dokładnie zaplanowane, są ograniczenia. Korzyścią zaś bezpieczeństwo i spokój. Czuję, że w niemieckim teatrze jest dla mnie dużo więcej czułości.

Jak się czujesz po otrzymaniu Fausta?

– Było to dla mnie duże zaskoczenie. Tak duże, że dalej nie potrafię sobie uświadomić, jak ogromne jest to wyróżnienie i dla mnie, i dla ludzi, z którym pracowałam, bo przecież nasze próby były zespołowe. Szczególnie że mnie tam nie ma, jestem w Polsce i wydaje mi się, że to wydarzyło się gdzieś daleko. Chyba po raz pierwszy poczułam, że to się dzieje naprawdę, kiedy trzymałam w ręce wielką i ciężką statuetkę.

Czy pandemia wpłynęła na twoją pracę?

– Jedną z moich produkcji, planowaną we wrześniu premiera w Berlinie, została przeniesiona, ale mam poczucie, że odbyło się to w bardzo dobrym stylu. Dyrekcja zaproponowała mnie i moim realizatorom pomoc finansową oraz rekompensatę za przeniesienie premiery. Jest to dla nas bardzo ważne, ponieważ artyści żyjący i pracujący od projektu do projektu często są odcięci w czasie pandemii zarówno od pracy, jak i od zarobków.

Czy masz obecnie możliwość prowadzenia prób?

– Na początku roku zaczynam pracę w Hamburgu w Thalia Theater. W Niemczech, w zależności od landu, istnieje dużo przepisów regulujących pracę w nowym reżimie sanitarnym. Dzięki temu dużo rzadziej dochodzi tam do zakażeń wśród aktorów i ekipy technicznej. Nosimy maski, utrzymujemy dystans między sobą, także na scenie. Rekwizyt nie może być dotykany przez więcej niż jednego aktora, muszą się oni sami przebierać. Zostały zlikwidowane przerwy między aktami, żeby widownia nie tłoczyła się we foyer. To utrudnia pracę, ale daje bezpieczeństwo, a ono jest teraz najważniejsze. Bo co z tego, że możesz przygotować superpremierę, jeśli przez ciebie ktoś zachoruje?

Nad czym teraz pracujesz?

– Nad „Księgami Jakubowymi” Olgi Tokarczuk. Jest to mój powrót do tej wielkiej powieści, którą realizowałam już w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Nie do końca byłam zadowolona z tego przedstawienia. Nie chodzi mi o pracę zespołu aktorskiego, ale mam poczucie, że nie miałam w sobie przestrzeni na to, żeby je przeczytać, tak jakbym chciała. Teraz dostałam od Olgi drugą szansę i mam ogromną nadzieję, że uda mi się zbliżyć na scenie do niezwykłości i wielowymiarowości tej powieści.

Co było dla ciebie ważne w tej powieści wtedy, a co prowadzi cię teraz?

– Wtedy była to opowieść o nietolerancji w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Teraz będę chciała opowiedzieć o marzeniu o tolerancyjnej Europie i jednocześnie zadać pytania o to, czy ta utopia ekscentryków, powtarzając słowa Tokarczuk, jest możliwa. Czy za nią tęsknimy? A także jakie winy ze sobą niesiemy, ciągle na nowo budując naszą cywilizację.

Katarzyna Niedurny

Vincent Cassel
Bérénice Bejo
Florence Foresti
François Damiens

film Daniela Cohena

**małe
szczęścia...**

Premiera
DVD i VOD!

znajdziesz w **empik** salony/online/aplikacja

PARTNERZY MEDIALNI

wp **P** **Lejdis.pl** **MOVIES ROOM** **STYLOWI.PL**

KULTURALNE DZIECI

SERIAL



KWIAT PAPROCI W ŁODZI

Staropolska legenda głosi, że raz w roku, w noc świętojańską, zakwita magiczna roślina, mogąca spełniać najszybsze życzenia. W ciemnym, tajemniczym lesie roślinę znajduje Jaś – chłopiec z ubogiej rodziny, ale o czystym i szczerym sercu. Chłopiec dostaje to, czego pragnął – bogactwa. Nie zdaje sobie sprawy, że bierze udział w zakładzie między dwoma słowiańskimi bogami – Czarnogłowym i Białobogiem. To od nich zależą jego losy. Czy uda mu się uwolnić od czaru, jaki rzuciła na niego magiczna paproć i powrócić do domu?

„Kwiat paproci” to nowy spektakl rodzinny Teatru Pinokio w Łodzi. Spektakl jest uniwersalną opowieścią o potrzebie akceptacji i miłości do siebie samego oraz bliskich. Młodemu widzowi (w wieku od lat siedmiu) umożliwia zdobycie wiedzy na temat legend staropolskich, poznanie muzyki ludowej skomponowanej przez Łukasza Damrycha i zanurzenie się w świat słowiańskich mitów, stworzony przez scenografkę Aleksandrę Redę. **Więcej informacji:** www.teatrpinkio.pl, www.facebook.com/teatrpinkioowlodzi/.

„Kwiat paproci”, Teatr Pinokio w Łodzi, reżyseria Justyna Zar, muzyka Łukasz Damrych, planowana premiera stacjonarna i online w styczniu.

(tm)

ZASŁUCHAJ SIĘ



Philippe Giusiano,
Sinfonia Varsovia
Dobrzyński
NIFC

Nauczyciel Chopina i Dobrzyńskiego wystawił swoim studentom opinie: pierwszemu – geniusz muzyczny, drugiemu – zdolność niepospolita. Płyta z kompozycjami Dobrzyńskiego zawiera m.in. jego koncert fortepianowy i różne miniatury. Widać niemałe podobieństwo w stylu i kształtowaniu formy obu studentów, a ostatni utwór, „Fantazja” na tematy z opery Mozarta „Don Giovanni”, zawiera nawet tę samą melodię, co u Chopina w wariacjach „La ci darem la mano”. Dobrzyński jest jeszcze bardziej wesoły i swobodny w opracowaniu tematu operowego, bo do słynnego duetu miłosnego wplata dodatkowo arie o winie „Fin ch’han dal vino”. Warto posłuchać i porównać. Dyryguje Howard Shelley.

Bronisław Tumitowicz

EUFORIA. ODCINKI SPECJALNE

reż. Sam Levinson, prod. USA, dostępne w HBO GO

Po kilku słodkich słówkach ta druga wychodzi, a pierwsza sięga po faktyczną miłość – biały proszek. Twórcy ani trochę nie złagodnieli. Znowu oglądamy krwawiące nosy, nagie ciała, wyuzdany seks. Ale „Euforia” nie sili się na szokowanie ani tym bardziej na estetyzowanie nagości czy ćpania. Pierwszy epizod oparty jest na dialogu Rue i jej sponsora, czarnego muzułmanina Alego, który pomaga jej wyjść z uzależnienia. Spotykają się w wigilijny wieczór jako niemal jedyni w lokalu i nawijają o problemach, które dociskają nastolatkę tak mocno, że marzy już tylko o kolejnej działce. Siłą „Euforii” jest to, że twórcy nie moralizują. Zamiast potępiać swoich bohaterów, starają się przypomnieć nam, dlaczego



dorastanie to taki koszmar. Sam Levinson przeprowadził wiele wywiadów z młodymi ludźmi. Na podstawie rozmów odtworzył unikatowy język młodzieży, pozwalający stworzyć kronikę generacji. Ale „Euforia” jest na tyle uniwersalna, że starszych też wypchnie ze strefy komfortu. I nie trzeba do tego żadnych wspomagaczy.

Artur Zaborski

NA POWAŻNIE

POLSKI PARYŻ. KISIELEWSKI – PALESTER – REGAMEY

Na platformie YouTube dostępny jest koncert „Kisielewski – Palester – Regamey”, zapis wykonania kwartetów smyczkowych Stefana Kisielewskiego, Romana Palestra i Konstantego Regameya przez Mecore String Quartet w składzie: Wojciech Koprowski – I skrzypce, Aleksandra Bryła – II skrzypce, Michał Bryła – altówka oraz Marcin Maczyński – wiolonczela. Pierwotnie koncert i jego zapis miał być zrealizowany w Maisons-Laffitte, w siedzibie paryskiej „Kultury”, do której pisywali również wymienieni kompozytorzy. Ograniczenia epidemiczne zmusiły organizatorów do dokonania nagrania w kraju. Koncertu można wysłuchać, wpisując w wyszukiwarce YT: Association Institut Littéraire Kultura – Musique lub pod linkiem www.youtube.com/watch?v=T42trAiUrsE&feature=youtu.be.

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Poirot – bohater popkultury

Pracę detektywa rozpoczął jako 60-latek, więc w ostatniej powieści umiera w wieku 135 lat

Jan Tracz

„Nazywam się Hercule Poirot i jestem prawdopodobnie największym żyjącym detektywem” – te nieskromne słowa wypowiada bohater w „Zagadce Błękitnego Ekspresu” (1928). I ten sam człowiek, Hercule Poirot, powrócił kolejny raz do polskiej literatury, wskrzeszony przez Wydawnictwo Dolnośląskie. Historie te pokazują, że kryminał nie potrzebuje wielu stron, wystarczą przemyślana kompozycja, gęsta akcja i wyobrażenia autorki. A o popularności Poirota świadczą nie tylko 2 mld egzemplarzy jego przygód sprzedane na całym świecie, ale i popkulturowe nawiązania.

Od premiery pierwszej powieści o Poirocie minęło niedawno 100 lat. Bohatera spotykamy w „Tajemniczej historii w Styles” z 1920 r., gdzie prezentowany jest jako były oficer belgijskiej policji. Sam kryminał prowadzony jest z perspektywy skromnego kapitana Arthura Hastingsa, przyjaciela Hercule’a, wzorowanego na doktorze Watsonie. Warto więc zaznaczyć, że Agatha Christie na początku czerpała z Conan Doyle’a.

Nikt nie wierzy początkowo w niesamowite zdolności detektywa – autorka sygnalizuje, że lata świetności ma on już za sobą. Metody Poirota zresztą wydają się niekonwencjonalne – zebrane informacje często zachowuje dla siebie, uwielbia zadawać niespodziewane i niewygodne pytania, a jego osobliwa kultura osobista ma pejoratywny wydźwięk w Anglii. Brytyjczycy traktują belgijskiego detektywa jako „nieproszonego przebiegacza”. Który w dodatku lubi się wtrącać w uczucia innych.

Kiedy zauważał związek bliski rozpadu albo isierki świadczące o rodzącej się relacji, pragnął „pomóc”. Natomiast do zbrodni podchodził bez rozczulania się. Uznawał, że dana sprawa została rozwiązana, dopiero kiedy nie widział w niej żadnego klocka niepasującego do układanki.

Christie zawsze wyobrażała sobie swojego bohatera jako emerytowanego detektywa. Za każdym razem zwracała też uwagę na jego zadbane wąsik, jajowatą głowę czy obsesję związane z porządkiem i symetrią. Zapominamy jednak o istotnym czynniku, jakim jest wiek Poirota – czas nieustannie płynie, a on się nie starzeje. Angielski pisarz H.R.F. Keating wylicza, że nasz bohater pracę prywatnego detektywa rozpoczął jako 60-latek, w ostatniej powieści zatem

Kryminał nie potrzebuje wielu stron, wystarczą przemyślana kompozycja, gęsta akcja i wyobrażenia autora.

umiera w wieku aż 135 lat! Kiedy na samym początku Hastings spotyka detektywa w „A.B.C.”, konstatuje ze szczerem zdziwieniem, że ten wydaje mu się niewiele starszy, jakby żwawszy, energiczny. Czy to kolejna zagadka czekająca na rozwiązanie?

Hercule Poirot jest postacią dwuznaczną, kieruje się zasadami nie do końca przejrzystymi. Bo prawdę chce odkryć za wszelką cenę, czasem więc dopuszcza się kłamstwa



i manipulacji, np. w „Śmierci na Nilu” z 1937 r. Rozwikłanie tajemnicy stawia sobie za cel honoru, traktuje to jak wyzwanie. Czy jest zatem uosobieniem praworządności, czy może też postacią sporadycznie wybierającą „rozwiązania” wykraczające poza powszechny system prawny? Jego delikatniejsze podejście do tragedii (związanej z uczuciowością młodych ludzi) i jej zrozumienie w „Śmierci na Nilu” wzbudza w nas podejrzenia

co do jego intencji, ale to zakończenie „Morderstwa w Orient Expressie” (1934) ukazuje Poirota nie tylko jako bezdusznego detektywa wykonującego swój fach.

Tytułowe morderstwo jest tu powiązane głównie ze stratą i rozpaczą, znajduje podłoże w psychice ludzkiej, w wypełnionej gniewem reakcji na prawne niesprawiedliwości. Hercule Poirot okazuje współczucie, choć przecież dochodzi do samosądu! Kiedy rozwiązuje sprawę, wpada w konsternację, walczy ze sobą, by wydać „wyrok”, który nie bardzo trzyma się detektywistycznej sprawiedliwości. Ta scena zostaje rozwinięta w nowej ekranizacji

„Morderstwa...” z 2017 r. Sam Poirot jest stanowczym przeciwnikiem jakiegokolwiek zbrodni, o czym w posłowiach dla Wydawnictwa Dolnośląskiego wspomina Anna Gemra z Uniwersytetu Wrocławskiego, prawdopodobnie największa fanka Poirota w Polsce. Detektyw gardzi zabójstwem, ale dla niektórych osób potrafi znaleźć nieco miłosierdzia.

Często przełomowe zdarzenia dzieją się w zaledwie paru zdaniach.

Nie byłoby triumfów Poirota bez pomysłów Agathy Christie. Umieszczenie morderstwa w pociągu okazało się strzałem w dziesiątkę, a zamykanie podejrzanych (wraz z detektywem) w kajucie, willi czy mieszkaniu jedynie zagęszczało akcję. Za każdym razem diabeł tkwi w szczegółach, które nawet uważny czytelnik przeoczy. Kluczowy jest też styl i sposób pisania Christie, przypominający ten, którym posługiwał się... sam Stendhal. Często przełomowe zdarzenia dzieją się w zaledwie paru zdaniach, reszta tekstu skupia się na przemysleniach bohaterów. Drażnić może sytuowanie Poirota w miejscach potencjalnych „zbrodni stulecia”, u Christie bowiem każda sprawa jawi się jako ta, która okaże się nierozwiązywalna. Ale detektyw za każdym razem pojawia się tam, gdzie właśnie być powinien. Jak się okazuje, potrafi również się teleportować. Koniec końców, nie mamy mu tego za złe, jego starania są gwarancją naszej rozrywki.

Poirot nadal będzie miał się dobrze, ponieważ wciąż zachwyca czytelników, a przy tym ciągle przypomina nam o nim popkultura. W filmach w postać detektywa wcielali się znakomici aktorzy, przede wszystkim niepowtarzalny David Suchet. W serialu „Poirot”, emitowanym od 1989 do 2013 r., mamy okazję zapoznać się nie tylko z najpopularniejszymi tytułami. To jedyna szansa ujrzenia na małym ekranie skondensowanej wersji „Dwunastu prac Herkulesa” (1947) albo ekranizacji „Zabójstwa Rogera Ackroyda” (1926). Sukces Sucheta jest o tyle niezwykły, że w Belgii wcielali się filmowi weterani Albert Finney („Morderstwo w Orient Expressie”, 1974),

dwukrotny laureat Oscara Peter Ustinov (np. „Śmierć na Nilu” – 1978 i „Zło czai się wszędzie” – 1982) czy John Malkovich (televizyjna trylogia adaptacja „A.B.C.” z 2018 r. zrealizowana dla BBC). Suchet swoją manierą skradł show, pokonując każdego z nich – przypominał literacki pierwowzór, przy tym okazał się bardzo wyrazisty.

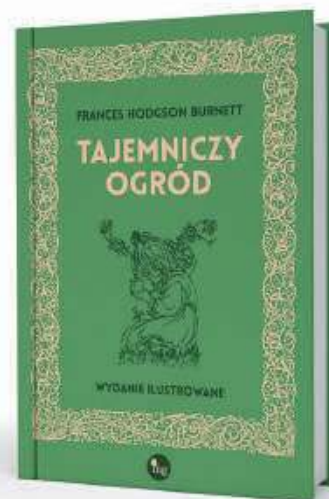
Ostatnio sił próbuje reżysersko Kenneth Branagh, który niedługo powróci z kolejną ekranizacją – tym razem będzie to „Śmierć na Nilu”. Filmowi sceptycy nie wróżą tej wersji sukcesu, a to za sprawą – podobno – przejawionej postaci detektywa. Widzowie zarzucają Brytyjczykowi reżyserską górnolotność, do tego nie podobają im się zabiegi zmieniające wygląd, pochodzenie, a nawet wiek bohaterów.

Poirot za każdym razem pojawia się tam, gdzie właśnie być powinien.

Ważną datą dla miłośników Poirota był rok 2014, gdy Sophie Hannah wydała utrzymane w klimacie detektywistycznym „Inicjały zbrodni”, czyli pierwszą od 40 lat, autoryzowaną powieść o Herculesie. Książka zdobyła popularność, więc do dzisiaj powstały jeszcze trzy tomy

wchodzące w skład cyklu „Nowych spraw Herculesa Poirota”. Poirot tymczasem odwiedził przemysł gier komputerowych. Poprzednie tytuły ukazywały się w minionym dziesięcioleciu i raczej nie zdobyły serca ówczesnych graczy. Niestety, najnowsza pozycja, „Agatha Christie: The ABC Murders” (2016), okazała się niewypałem. Co jakiś czas pojawiają się też komiksowe adaptacje przygód Poirota, a swego czasu BBC Radio 4 przygotowało własną interpretację powieści Agathy Christie.

Swoistym hołdem dla Christie był film Riana Johnsona „Na noże” z 2019 r., którego fabuła jest transwestacją materiału z „Morderstwa w Boże Narodzenie” (1938). Mamy tu parę kosmetycznych zmian, ale całość przypomina literacki „pierwowzór”. Daniel Craig niejako parodiuje detektywa, zmienia głos, akcentuje poszczególne wyrazy, by brzmiały bardziej „zagranicznie”. Samą produkcję Johnson prowadzi jak coś w rodzaju „zaginionej powieści Agathy Christie” – każda postać ma coś do ukrycia, a widz jest sprowadzany na manowce. Wyzwania stawiane przez Agathę Christie wciąż zatem różnymi drogami stymulują umysł. W końcu Poirot „odkryje każdy sekret. To jego specjalność”. ■



www.wydawnictwomg.pl



Zazie Todd

Godzina posiłku jest ulubioną porą dnia Bodgera. Ja przygotowuję jedzenie, a jemu ślina kapie z pyska na kuchenne linoleum. Wreszcie dostaje swoją miskę i zaczyna jeść, ale po chwili ogląda się na mnie i czuję, jak gdyby w ten sposób mówił mi „dziękuję”. Gdy zbliża się pora mojego obiadu, on zawsze z nadzieją czeka, że coś dostanie. Gdy mój mąż podjada między posiłkami, pies czeka z jeszcze większą nadzieją. (...) Ja rzadko jadam mięso, ale moje jedzenie również mu smakuje. Kawatek surowej marchewki lub odcięta końcówka cukinii są nagrodą, którą trzeba zabrać do kąta i tam w spokoju ją skubać.

Prawidłowe żywienie jest jednym z warunków psiego dobrostanu, a okazuje się, że sposób karmienia naszych czworonogów nie tylko ma związek z wartością odżywczą i opiniami na temat potrzeb psa w tym zakresie, ale także odzwierciedla to, że pies jest członkiem rodziny.

EWOLUCJA METABOLIZMU

Psy są zwierzętami wszystkożernymi i mogą jeść różne rodzaje pokarmu. Zdolność trawienia skrobi (np. ryżu lub ziemniaków) jest jedną z cech, które odróżniają psy od współczesnych wilków. Patrząc na to z perspektywy czasu, taka adaptacja do koegzystencji z ludźmi ma jak największy sens, a mimo to, kiedy przeprowadzone w Szwecji przez dr.

Co może jeść pies

Jak karmić pupila, żeby go nie utuczyć

Erika Axelssona badania doprowadziły do takich wniosków, były one zaskoczeniem. (...)

Nadal nie wiemy, kiedy u psów domowych wykształciła się zdolność trawienia skrobi. Próbując to ustalić, badacze skupili się na genomie dawnych psów i wilków. Pozyskali DNA z zębów i kości 13 psów, których szkielety odkryto podczas wykopalisk archeologicznych w Europie i Azji. Zwierzęta te miały od 2 do 20 kopii Amy2B, co oznacza, że na wczesnym etapie rozwoju rolnictwa nie wszystkie psy posiadały dodatkowe kopie genu. Analizy wskazują jednocześnie, że naturalna selekcja związana z obecnością tego konkretnego genu zaczęła się przynajmniej 7 tys. lat temu. Z tych fascynujących badań wynika, że zarówno u psów, jak i u ludzi, geny ułatwiające trawienie skrobi ewoluowały w wyniku rozwoju rolnictwa. Dowodzi to również błędności powszechnego przekonania, że psy należy karmić tak jak wilki. Z linii wspólnych przodków

w którymś momencie wyodrębniły się dzisiejsze gatunki wilków i psów, umożliwiając tym drugim odżywianie bardziej zbliżone do diety człowieka.

PSY I JEDZENIE

Nasze zaabsorbowanie dietami oraz zdrowiem znajduje odbicie w tym, czym karmimy nasze psy. Ankieta przeprowadzona wśród australijskich właścicieli czworonogów pokazała, że najczęściej osób (41%) karmi swoje zwierzęta dwa razy dziennie; mniej więcej jedna trzecia (36%) robi to raz dziennie; a spora grupa (16%) zapewnia pupilom stały dostęp do jedzenia, zostawiając karmę w miskach przez cały czas. Większość psów dostawała smakołyki raz dziennie lub raz w tygodniu (37% w obu przypadkach). Według badania najczęściej stosowanym pożywieniem była sucha karma ze średniego przedziału cenowego (44%), surowe kości (44%) oraz kuchenne resztki (38%). Podobny sondaż przeprowadzony wśród posiadaczy labradorów retrieverów w Wielkiej Brytanii również wskazał na suchą karmę jako najczęstszy rodzaj pożywienia stosowany przez 80% właścicieli, podczas gdy 13% osób dawało swoim labradorom zarówno suchą, jak i mokrą karmę. Szczenięta karmiono trzy lub więcej razy dziennie, ale już w wieku 6-9 miesięcy większość psów dostawała jeść dwa razy w ciągu dnia.

Dostępne na rynku suche karmy i jedzenie w puszkach produkuje się według ściśle określonych wartości

odżywczych (z uwzględnieniem grup wiekowych oraz zwierząt o specjalnych wymaganiach żywieniowych) i w różnych przedziałach cenowych. Producenci starają się, aby forma, struktura, zapach i kształt suchej karmy były dla psów atrakcyjne. Niektórzy właściciele są przekonani, że dawanie psom suchej karmy jest dobre dla ich uzębienia, ale nie ma dowodów na potwierdzenie takich opinii (wyjątek stanowią specjalne dentystyczne karmy weterynaryjne).

Niektórzy właściciele wolą karmić swoje psy inaczej. (...) Część osób woli dawać psom jedzenie przygotowywane w domu, ponieważ chcą unikać stosowanych w przemyśle dodatków (np. konserwantów) i produktów ubocznych pochodzenia zwierzęcego nieprzeznaczonych do spożycia przez człowieka lub dlatego, że zależy im na żywności ekologicznej. Dla innych samodzielne gotowanie psich posiłków oznacza, że pies jest członkiem rodziny. Niestety, analizy takiego domowego jedzenia pokazują, że często brakuje w nim potrzebnych składników.

Część osób przygotowuje jedzenie dla psa samodzielnie, ponieważ zależy im na zachowaniu diety wegetariańskiej lub wegańskiej, ale w tym przypadku również trudno zadbać o odpowiedni skład. W badaniach dostępnych na rynku wegetariańskich karm dla psów wysunięto wiele zastrzeżeń co do wartości odżywczej, dlatego tak ważne jest zwracanie uwagi na jakość produktów.

PRODUKTY NIEBEZPIECZNE DLA PSÓW

- alkohol
- awokado
- czekolada (gorzka jest dla czworonogów najbardziej toksyczna)
- owoce cytrusowe
- kokos (w małych ilościach nie powinien szkodzić)
- kawa (oraz inne źródła kofeiny)
- grejpfruty i rodzyńki
- mleko i inne produkty nabiałowe
- orzechy (m.in. makadamia, pekan, włoskie i migdały)
- cebula, czosnek i szczypior
- surowe lub niedogotowane mięso, jaja i kości
- zbyt duża ilość soli
- ksylitol (substancja słodząca dodawana do niektórych masel orzechowych, słodczy itp.)
- surowe ciasto drożdżowe

Źródło: ASPCA Poison Control

udokumentowanych dowodów potencjalnych korzyści. Diety oparte na surowym mięsie zwykle zawierają większą ilość tłuszczu, dzięki czemu sierść staje się bardziej lśniąca, ale jednocześnie może on wywoływać kłopoty trawienne i u niektórych psów prowadzić do tycia.

Wartość odżywczą diet surowych zbadano jedynie w niewielkim stopniu. Na pewno powodem do niepokoju jest obecność w surowej żywności bakterii zagrażających zdrowiu

antybiotyków bakterie, które zagrażają zdrowiu zarówno czworonogów, jak i ich właścicieli. (...)

Jeżeli stosujesz u pupila dietę surową, zachowuj takie same zasady higieny jak w przypadku żywności przeznaczonej dla ludzi (np. surowego kurczaka). Przechowuj gotowane i surowe produkty oddzielnie, odmrażaj żywność na dolnej półce w lodówce, nie trzymaj misek zwierząt razem z naczyniami używanymi przez ludzi i myj ręce po karmieniu psa lub sprzątaniu psiej kupy. Pamiętaj, że niektóre smakołyki dla psów również są surowe, na przykład świńskie uszy, naturalne gryzaki oraz niektóre liofilizowane przysmaki. (...)

NADWAGA I OTYŁOŚĆ U PSÓW

Bodger jest wyczulony na wszelkie dźwięki związane z jedzeniem: otwieranie drzwi lodówki, szelest plastikowej torebki, chrupanie chipsów ziemniaczanych, stuk pokrywki zdejmowanej z plastikowego pojemnika na ser, odgłos otwieranej puszki, skrzypnięcie drzwi szafki, w której trzymamy kocie smakołyki, czy grzechot przysmaków w paczce. Przygotowywanie każdego posiłku wabi go do kuchni. Uwielbia swoje smakołyki i resztki naszego jedzenia, jeżeli je dostaje. Gdy tylko może, chętnie wylizuje do czysta miski kotów, którym zdarza się coś zostawić. Muszę nieustannie pilnować jego wagi. Kilka lat temu trzeba było przez jakiś czas stosować u niego bardziej restrykcyjną dietę. (...)

Dlaczego tak wiele psów ma nadwagę? Nasze podejście do jedzenia odgrywa w tym nie małą rolę, ponieważ to my jesteśmy odpowiedzialni za wszystko, co jedzą nasze czworonogi. Przeprowadzone w Niemczech badanie, opublikowane w „Journal of Nutrition”, skupiło się na porównaniu 60 właścicieli psów o wadze prawidłowej z 60 właścicielami psów z nadwagą. Obie grupy miały równie bliskie relacje z pupilami i stosowały u swoich czworonogów dostępne na rynku karmy. Badacze ustalili, że właściciele psów z nadwagą więcej do swoich czworonogów mówią oraz częściej pozwalają im spać na łóżku, mniej ich martwi ryzyko zarażenia się od pupila jakąś chorobą i nie uważają, że ruch czy szkolenie są dla psa istotne. ►

Prawidłowe żywienie jest jednym z warunków psiego dobrostanu.

Zagwarantowanie psu właściwych składników odżywczych w samodzielnie przygotowywanych posiłkach surowych jest równie trudne, jak w przypadku gotowanego w domu jedzenia, ale na rynku dostępnych jest coraz więcej produktów z diety surowej. Niektórzy karmią psy surowym mięsem, ponieważ uważają, że takie żywienie jest zbliżone do tego, co jadłyby „na wolności”, i jest uzasadnione ich przesiłką ewolucyjną. Inni są natomiast przekonani, że taki sposób żywienia jest lepszy dla zdrowia psów lub ich uzębienia. Niestety, brakuje klinicznych badań skutków stosowania diety surowej, dlatego też nie ma żadnych

psa (a co za tym idzie, również osób mieszkających w tym samym domu), ponieważ zwierzę roznosi drobnoustroje wraz z kałem, nawet gdy samo nie zdradza żadnych objawów choroby. W jednym z badań sprawdzono obecność bakterii i pasożytów w dostępnych na rynku dietach surowych. W 43% produktów znaleziono bakterie z rodzaju *Listeria*, w 23% – *E.coli*, a w 20% – *Salmonella*. W surowym niemrożonym mięsie znajdować się mogą również pasożyty. Według autorów badania psy (i koty) karmione posiłkami przygotowanymi ze świeżego surowego mięsa są bardziej narażone na infekcje wywołane przez odporne na działanie

► Opiekunowie ci częściej przyznawali również, że cena psiej karmy jest dla nich ważna. 66% z nich kupowało karmę w supermarketach, w porównaniu do 47% właścicieli psów o prawidłowej masie ciała – karmy dostępne w sklepach zoologicznych lub klinikach weterynaryjnych nie raz mają lepsze jakość i skład. (...)

Psy z nadwagą dostawały więcej posiłków, przysmaków i resztek ze stołu, a także częściej miały właściciela z nadwagą. To sugeruje, że dla niektórych ludzi jedzenie stanowi ważny sposób interakcji z psem. Samo zmniejszenie pupilowi posiłków (dokładne odmierzanie porcji jedzenia) prawdopodobnie

za mało, tyle ile powinien czy za dużo, a następnie dokonano niezależnej oceny czworonogów i przyznano odpowiednią liczbę punktów według skali BCS. Chyba najbardziej niepokojącym wnioskiem był ten, że sporo właścicieli nie zdawało sobie sprawy z nadwagi swoich psów. Z kolei wiele osób, które wiedziały, że ich czworonogi za dużo ważą, nie potrafiło skutecznie ich odchudzić. Głównymi przyczynami były brak wiedzy na temat odpowiedniej dla psa ilości karmy oraz przekonanie, że ten aspekt nie jest aż tak ważny. Poza tym właściciele czuli, że nie kontrolują w odpowiednim stopniu, jak często karmią psa, co może oznaczać,

tyle uwagi i każda interakcja z psem nie była postrzegana jako okazja do karmienia. Powinniśmy przede wszystkim zwracać większą uwagę na masę ciała pupila. I oczywiście zapewnić mu dostęp do świeżej wody – wszystkie psy powinny go mieć. Na spacerach również zabieraj wodę na wypadek, gdyby twój pies chciał się napić.

NAUKOWE METODY W TWOIM DOMU

- Wybierz taki sposób żywienia, który jest najlepszy dla twojego psa i jednocześnie odpowiada tobie.

- Dbaj o higienę w miejscu przygotowywania jedzenia i o czystość psich misek, aby ograniczyć ryzyko infekcji; jest to szczególnie ważne, jeżeli stosujesz dietę surową. Surowe mięso powinno być wcześniej mrożone w celu zabicia ewentualnych pasożytów. Jeżeli w waszym domu są dzieci, seniorzy lub ktoś z osłabioną odpornością (łącznie z innymi zwierzętami), zastanów się, czy warto wprowadzać psu dietę surową.

- Unikaj nadmiernej ilości cukru w pożywieniu, ponieważ szkodzi psim zębom. Szukaj zdrowych smakołyków lub używaj na przykład kurczaka w odpowiednich ilościach.

- Szukaj informacji na temat nadwagi i otyłości u psów. Jeżeli nie masz pewności, czy masa ciała twojego pupila jest prawidłowa, zapytaj o to weterynarza. Ograniczenie liczby spożywanych kalorii jest najprostszym sposobem na odchudzanie: waż karmę, by mieć pewność, że podajesz psu właściwe porcje. Smakowity (również te stosowane w trakcie szkolenia) należy wliczać do dziennego spożycia kalorii.

- Jeżeli czynności, które wykonujesz wspólnie z psem, kręcą się wokół jedzenia, rozważ inne, na przykład spacer, zabawę w przeciąganie lub pieszczoty.

- Wzbogacaj doświadczenia psa, urozmaiając to, czym go karmisz, oraz sposób podania (np. zabawki, w których chowa się chrupki).

Właściciele psów z nadwagą więcej do nich mówią oraz częściej pozwalają im spać na łóżku.

niewiele by zmieniło. Konieczna byłaby zmiana postępowania właściciela – ograniczenie karmienia psa resztkami ze stołu oraz zastąpienie części interakcji związanych z jedzeniem pieszczotami, zabawą lub spacerami. Wszelkie przysmaki używane podczas szkolenia należy wliczyć do dziennej porcji kalorii.

Zależność między postępowaniem właściciela a wagą psa jest również tematem badania opublikowanego w „Journal of Applied Animal Welfare Science”. Każdego z uczestników zapytano, czy jego pies waży

że nie potrafią odmówić pupilowi, który żebrze o jedzenie. Choć trzeba przyznać, że czworonogi są w tym wyjątkowo dobre!

Jednym ze sposobów walki z nadwagą u psów jest zastosowanie jednej ze specjalnie opracowanych diet. Wiele z nich umożliwia redukcję masy ciała w kontrolowany sposób. Jednak równie ważna wydaje się zmiana postępowania właściciela. (...)

Nadwaga i otyłość zwiększają u psów prawdopodobieństwo wystąpienia różnych problemów zdrowotnych, podobnie jak u ludzi. Rośnie ryzyko schorzeń ortopedycznych, cukrzycy, zapalenia trzustki, chorób skóry, chorób układu oddechowego oraz nietrzymania moczu. Poza tym psy z nadwagą żyją krócej niż psy o prawidłowej masie ciała (u wykastrowanych samców różnica ta wynosi przeciętnie pięć miesięcy mniej w przypadku otyłych owczarków niemieckich oraz dwa i pół roku mniej w przypadku otyłych yorków). Właściciele psów z nadwagą mają o 17% wyższe wydatki na opiekę zdrowotną pupila i o 25% na jego lekarstwa. (...)

Sprawa żywienia psów nie jest tak prosta, jak mogłoby się wydawać. Niektórzy właściciele powinni bardziej uważać na to, czym karmią swoje czworonogi, by zapewnić im optymalne zdrowie. W przypadku innych prawdopodobnie byłoby lepiej, gdyby nie poświęcali tej sferze



Fragmenty książki Zazie Todd
Rozmordane. Naukowe podstawy psiego szczęścia,
przekład Agnieszka Jacewicz,
Rebis, Poznań 2020



Duda – do końca z Trumpem

Smutno to pisać, ale twitterowy wpis prezydenta Andrzeja Dudy po wydarzeniach w Waszyngtonie spokojnie może kandydować do miana najmniej mądrego.

Oto on: „Wydarzenia w Waszyngtonie to wewnętrzna sprawa Stanów Zjednoczonych, które są państwem demokratycznym i praworządnym. Władza zależy od woli wyborców, a nad bezpieczeństwem państwa i obywateli czuwają powołane do tego służby. Polska wierzy w siłę amerykańskiej demokracji”.

A teraz, dla równowagi, przyjrzyjmy się wpisom polityków brytyjskiego i irlandzkiego.

Oto wpis Borisa Johnsona, premiera Wielkiej Brytanii: „Haniebne sceny w Kongresie USA. Stany Zjednoczone opowiadają się za demokracją na całym świecie i teraz niezwykle ważne jest pokojowe i uporządkowane przekazanie władzy”.

A to twitterowy komentarz premiera Irlandii Simona Coveneya: „Szokujące i głęboko smutne sceny w Waszyngtonie – musimy to nazwać tym, czym jest: świadomym atakiem na demokrację przez urzędującego prezydenta i jego zwolenników, próbę obalenia wolnych i uczciwych wyborów! Świat patrzy!

Mamy nadzieję na przywrócenie spokoju”.

Ograniczmy się tylko do tych komentarzy. Inne wpisy przywódców zachodnich są bardzo podobne lub jeszcze mocniej podkreślają odpowiedzialność Trumpa.

Na tym tle wpis Dudy brzmi szczególnie.

Zwrot „wewnętrzna sprawa USA” jest, po pierwsze, jak przepisany z komunikatów różnych dyktatorów, którzy zawsze wołali, gdy ktoś ich krytykował, że to „mieszanie się w wewnętrzne sprawy” ich państwa. Po drugie, świadczy on jednoznacznie, że Duda, jeśli chodzi o atak na Kapitol, nie chce potępić atakujących. Że widzi to jako

bitwę dwóch równoprawnych sił. Czyli że do końca wierzy, że Trump jakimś sposobem władzę utrzyma.

Pisaliśmy już w tym miejscu, że Andrzej Duda i zespół jego współpracowników absolutnie zafiksował się, jeśli chodzi o Trumpa, i nie dopuszcza myśli, że mógłby on władzę stracić.

Materialnym tego dowodem jest choćby artykuł sprzed roku, popełniony przez Przemysława Grajewskiego vel Żurawskiego, pisowskiego guru od polityki zagranicznej, w którym pisze on, że Polska powinna całkowicie postawić na zwycięstwo Trumpa w listopadowych wyborach. I nie przyjmować żadnych innych założeń.

Potem mieliśmy nieszczęsne korowody z gratulacjami dla Bidena, które nijak Dudzie nie mogły przejść przez gardło. To zostało odnotowane. A teraz mamy kolejny incydent.

Świadczy on o kilku sprawach. Po pierwsze, że Andrzej Duda i jego otoczenie wiedzą na temat Ameryki czerpią przede wszystkim ze skrajnie prawicowych portali. Bo tylko tam można wyczytać, że Trump ma „niezbite” dowody na temat fałszerstw i że za chwilę rzuci je na stół. Po drugie, że nie działają w Polsce służby odpowiedzialne za sprawy zagraniczne, bo każdy zawodowy dyplomata taki tweet, jak wypuścił Duda, natychmiast by zablokował. Po trzecie, zachowanie Dudy świadczy o kompletnym niezrozumieniu, czym jest interes Polski i polityka zagraniczna. O swoistym autyzmie. Bo gdyby miał odrobinę bystrości, to by postąpił choćby tak jak Benjamin Netanjahu, który po listopadowych wyborach podziękował Trumpowi za wspaniałe cztery lata współpracy, a Bidenowi napisał, że mu gratuluje i już się cieszy na samą myśl o wspólnych przedsięwzięciach.

Ale Duda, jak ci, którzy wtargnęli do Kongresu, będzie stał przy Trumpie do końca. To straszne.

Attaché



2021 to Rok Stanisława Lema, który przez wiele lat pisał dla PRZEGLĄDU. W swoich książkach przewidywał powstanie nowych technologii, a twórczość pisarza dla wielu osób była i jest inspiracją do poszukiwań naukowych. Nz. tańczące roboty Boston Dynamics.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- Kingsley, pisarz, ojciec Martina
- św. Marcin – ...Galii
- właściciel charta Sokola
- potocznie zwane gablotą
- najgłębsze jezioro na świecie
- dodatkowa suma ponad należność
- dyscyplina lekkoatletyczna dla wszechstronnych zawodników
- w parze z Francją
- zakaz przywozu lub wywozu towaru
- ...Towarzystwa Jezusowego w herbie obecnego papieża
- odcinek, faza, stadion
- wielopoziomowy lub blaszak
- niewiadoma w równaniu
- urzędniczka uprawniona do kontrolowania

- tryt lub prot względem wodoru
- najwyższa oznaczana literą Q
- Porazińska lub Paradowska
- niektórzy cierpią na jej rozdzielenie
- zwany też kunopsem
- samochód bez nadwozia na torze wyścigowym
- żyta – ości
- wierzchowiec hobbita
- ukazuje się rzadziej niż jego nazwisk
- zrzeszony w ZLP
- tytuł wybitnego dyrygenta, kompozytora
- ostatnio nie było tam cudu św. Januarego

- ojciec Sema, Chama i Jafeta
- członkini społeczeństwa danego państwa
- wystawność, przepych
- szpieg z afery wywołanej przez Milczanowskiego
- okrasa
- wyziew lub mgła
- mniejsza od Tokio i Jokohamy
- zaliczano do nich widłaki, skrzypy
- skup i sprzedaż rzeczy z kradzieży
- lubi ciepłko
- substancja barwiąca do wyrobu farb
- solidny kawał słoniny
- drobiażdżek na imieniny
- Idea Banku przez Pekao
- gospodarstwo z hodowlą bydła, zwykle w Ameryce

- jednostka monetarna Rosji
- pozycja ciała lub kołnierzyk
- ...Trzech Przełomów na Jangcy
- ...Książki we Frankfurcie nad Menem
- wychylany za zdrowie
- do 1868 r. Edo
- ...Paluch
- pozbawiona jej mowa-trawa
- sztuczka, podstęp
- ptak z rzędu gołębiowych, symbol przyjaźni
- ostatnie ukończone dzieło Camusa
- i potyczka, i spreczka
- rozpoznanie terenu, przeszeptanie
- krynica
- szkielet konstrukcyjny wzmacniający sklepienie

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-995”. Do rozlosowania książki „Klan Kossaków” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 17 stycznia 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-992” z nr. 52: Świąteczne życzenia.

Nagrody otrzymują: Ewa Gućalska z Bydgoszczy, Zofia Maciąga z Łędzin, Andrzej Toporek z Kielc.

PENETRACJE



PAWEŁ PISKORSKI,
PRZEWODNICZĄCY
STRONNICTWA
DEMOKRATYCZNEGO

Niestety, po stronie naszej opozycji widzę tendencję do poszukiwania magicznych rozwiązań. Myślenie o tym, że Unia Europejska wprowadzi nam prawa dla LGBT, aborcję na życzenie, obali Kaczyńskiego, to niebezpieczna iluzja, bo zastępuje myślenie o tym, jak się zmobilizować, jaką dobrą ofertę przedstawić Polakom i jak wygrać następne wybory kombinowaniem – jak tu zachęcić naszych europejskich sojuszników do tego. Żeby nam obalili rząd.



GEORGETTE MOSBACHER,
AMBASADOR USA

Jeśli chodzi o wolność mediów, jest to jedna z tych rzeczy, która wymaga stałej czujności, czego dowodem jest to, co oglądaliśmy na Węgrzech. Polska ma bardzo różnorodne media i musimy być czujni w tej dziedzinie. Jedną z naszych firm stała się obiektem ataku, a to jeden z największych inwestorów amerykańskich w Polsce. A jest ważne, żeby amerykańskie inwestycje były traktowane sprawiedliwie. Naszym zmartwieniem było to, że publiczna firma, notowana na giełdzie w Nowym Jorku, może być atakowana czy też zmuszana do sprzedaży udziałów. To by było równoznaczne z nacjonalizacją.



CAREL VAN SCHALK,
HOLENDERSKI
ANTROPOLOG

Dlaczego mężczyźni nagle zaczęli dominować? Odpowiedzialna za to była nowa możliwość – gromadzenia dóbr i monopolizowania ich. Własność przekazywano synom, którzy mieli jej bronić. Dlatego pozostawali na miejscu. Wcześniej opuszczali osiedla ojców, żeby unikać kazirodstwa. Teraz odchodzić musiały dziewczynki. W nowych miejscach to one były obce, bez krewnych i znajomych. I stawały się maszynkami do rodzenia dzieci, bo musiały produkować dziedziców płci męskiej. Musiało minąć kilka tysięcy lat, zanim społeczna nierówność przybrała wręcz despotyczne rozmiary. A kobiety często stawały się towarem.



TOMASZ SIKORA,
SREBRNY MEDALISTA
OLIMPIJSKI
W BIATHLONIE

Trafiłem do drużyny seniorów, którą prowadził trener Aleksander Wierietelny. To surowy, trudny człowiek, ale bardzo dużo mu zawdzięczam. Niekiedy się kłóciliśmy, był taki czas, że obrażony długo nie rozmawiał ze mną. Miał ciężki charakter, ale z drugiej strony skoczyłby za zawodnikiem w ogień. Z pełną odpowiedzialnością twierdząc, że to on nauczył mnie strzelać, a i fizycznie zrobił mi „wytrzymałościową bazę”, która starczyła na wiele lat.

Aby język giętki...

PROF. MAREK BELKA
O SOLIDARNEJ POLSCE ZIOBRY

Okazało się, że jeśli chodzi o dostęp do koryta, to jednak można być miękiszonym.

GEN. BOGUSŁAW PACEK
O ZMIANACH PRZEŁOŻONYCH

Żołnierze bardziej boją się takich zmian niż ewentualnych przeciwników na polu bitwy.

BARBARA LABUDA O SOBIE

Feministka – liberalna lewaczka – wegetarianka i cykliczka.

JAN NOWICKI O CYTATACH

Z moimi trzeba uważać, bo one bardzo często są kłamstwem, prowokacją.

JERZY STUHR O OŚWIADCZYNACH

Basia miała niespełna 20 lat, gdy oświadczałem się jej w klubie studentów Żaczek. Powiedziałem to tak niezgrabnie, że Basia się rozplakała.

BARBARA STUHR O OŚWIADCZYNACH

Jurek oświadczył mi się w klubie Pod Przewiązką, w podziemiach akademika Politechniki Krakowskiej. Powiedział chyba: „Może byśmy tak razem spędzili życie...”.

KAROLINA GRUSZKA
O IWANIE WYRPAJEWIE

Denerwuję się, rozdrażniam, żarliwie dyskutuję, ale jesteśmy parą, która właściwie się nie kłóci.

PRZEMYSŁAW SADOWSKI O ZAZDROŚCI

W mężczyźnie mieszają się złość, frustracja, smutek, a także lęk i niepewność.

KATARZYNA ŻAK O MŁODOŚCI

Byłam bardziej harda, nie potrafiłam spuścić z tonu. Miałam zdanie na każdy temat, podważałam to, co mówili inni.

BOŻENA DYKIEL O MĘŻU RYSZARDZIE

O męża trzeba dbać. Ale przede wszystkim trzeba go sobie dobrze wybrać.

SZCZEPAN TWARDOCH
O NASTOLATKACH

Człowiek nigdy w życiu nie jest paskudniejszy, niż kiedy ma naście lat.

Wielka radość. Kamil Stoch znów wygrał Turniej Czterech Skoczni, stając się drugim w historii najstarszym zawodnikiem, który tego dokonał. A mogło potoczyć się inaczej, gdyby Polacy nie zostali dopuszczeni do konkursu. 6 stycznia 2021 r.



ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Teraz jak diwa już się nazywa

30-letni Brytyjczyk pod wpływem wypitego szampana przyjął imię i nazwisko ulubionej piosenkarki. Oszotomiony procentami i oglądanym na ekranie występem artystki Thomas Dodds złożył przez internet wniosek o zmianę personaliów na Céline Dion. – Przyznam z ręką na sercu, że nie pamiętam tego. Kojarzę jedynie, że oglądałem koncert i byłem mocno wstawiony. Nie zdałem sobie sprawy z sytuacji, dopóki nie znalazłem w skrzynce pocztowej pisma z urzędu – wyznał. Był zszokowany, ale nie wyparł się decyzji. – Kiedy wszystko do mnie dotarło, podpisałem dokumenty. Kocham Céline! – wyjaśnił.

Do sieci po żonę (i dzieci)

W ramach walki z zapaścią demograficzną japoński rząd będzie wspierać finansowo samorządowe projekty swatania obywateli i obywateli z wykorzystaniem sztucznej inteligencji. W niektórych miejscach takie przedsięwzięcia już są realizowane, np. w prefekturze Saitama w 2019 r. pobrało się 38 par skojarzonych przez publiczną platformę, przy czym w 21 przypadkach pomogły zaawansowane algorytmy. Część ekspertów sceptycznie ocenia jednak szanse powodzenia programu. Wskazują m.in., że na niski współczynnik dzietności wpływa brak wsparcia dla pracujących matek i pokutujące przekonanie, że to kobiety muszą łączyć karierę zawodową z rodzicielstwem. W raporcie Światowego Forum Ekonomicznego z 2019 r. na temat równości płci Japonia zajęła odległe, 121. miejsce.

MEMY BEZ ŚCIEMY



Parafrazując wiersz Jana Brzechwy –
mówka, nie mówiąc
nikomu ani słówka,
choć nie była zbyt
rosła, wzięła ciężar
i do mrowiska zaniosła.
A gdy zmęczona była,
kroplą rosy pragnienie
ugasila.

Członek niezgody

Film animowany o mężczyźnie z najdłuższym penisem na świecie, adresowany do dzieci w wieku 4-8 lat, podzielił widzów duńskiej telewizji publicznej. Bohaterem bajki, emitowanej na kanale dla najmłodszych, jest wąsaty John Dillermann, którego niesforne przyrodzenie m.in. kradnie dziecku lody. Wielu opiekunów uznało, że produkcja jest obsceniczna lub że stanie się narzędziem dla pedofilów. Stacja broni się, że film był konsultowany z psychologami dziecięcymi i edukatorami seksualnymi oraz że otrzymał wiele pozytywnych komentarzy od rodziców, którzy wykorzystali go do rozmów z pociechami o ciele.

Myślenie jednak boli

Ludzie często wolą się poddać fizycznemu bólowi, niż wykonać złożone zadanie umysłowe – wykazał eksperyment przeprowadzony przez kanadyjskich naukowców. Badacze związani z Uniwersytetem McGilla i Uniwersytetem Carleton najpierw określili indywidualny próg bólu dla poszczególnych uczestników, a następnie za-

częli ich nękać testami pamięciowymi. Badani mieli możliwość rezygnacji z wybranych zadań w zamian za doświadczenie bolesnych bodźców o różnym natężeniu. Okazało się, że gdy do wyboru mieli dotkliwy ból fizyczny lub dość trudny test pamięci, w 28% przypadków woleli ten pierwszy rodzaj męki. Ała!



Długi weekend – rzecz święta

Rząd Tajlandii zatwierdził cztery dodatkowe święta państwowe. Po raz pierwszy na listę trafił obchodzony w wielu miejscach



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski,
Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin),
Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pynzar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



kraju chiński nowy rok, który tym razem wypada 12 lutego. Kolejne święto ustanowiono na 12 kwietnia tylko po to, by wypełnić lukę między weekendem a trzydniowym tajlandzkim nowym rokiem (13-15 kwietnia) i stworzyć w ten sposób sześciodniową labę. Kolejne święta zaplanowano na początek buddyjskiego wielkiego postu (27 lipca) oraz na rocznicę śmierci dziadka obecnego monarchy (24 września). Tymczasem naszych Trzech Króli wciąż upamiętnia tylko jeden dzień wolny...

Nie lada czekolada

W USA i Kanadzie zadebiutowała czekolada dla dorosłych. Słodycze marki Eat Gold Organics, jak zachwala producent, są nie tylko pyszne i wytworzone zgodnie z zasadami rolnictwa ekologicznego oraz sprawiedliwego handlu. Każdy z ośmiu wariantów łakocia zawiera składniki, które pomagają na popularne problemy pełnoletnich. Przykładowo Be Happy z jagodami goji i soplówką jeżowatą ma poprawiać nastrój, Sweet Dreams z migdałami, lakownicą żółtawą i tryptofanem – zapewniać lepszy sen, Big Orgasm, zawierająca m.in. pieprz cayenne, poziomki i kordyceps, zwiększać libido, a Menopausal Goddess z pyłkiem pszczelim, błyskoporkiem podkorowym i lawendą – łagodzić objawy menopauzy. Cena tabliczki: 13 dol.





Akt z okularami, 1945 r.

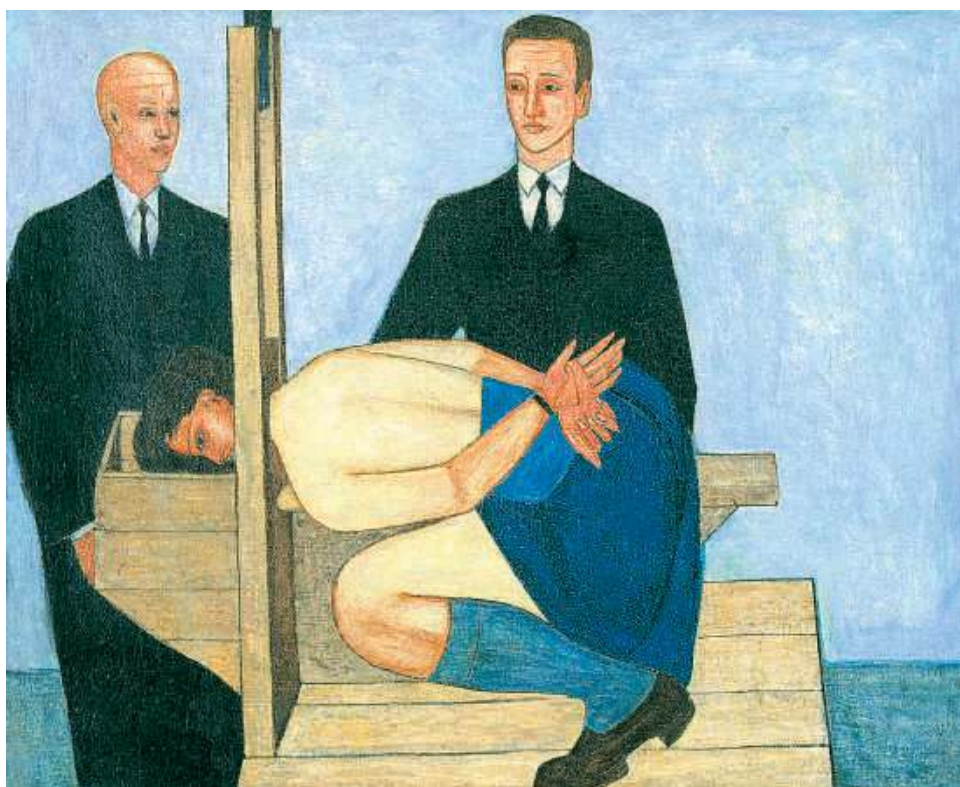


Dziewczyna, 1950 r.

JERZY NOWOSIELSKI

Prace Nowosielskiego łączą pozornie odległe światy Wschodu i Zachodu, systemy wartości różnych religii, kanony estetyki minionych wieków z nowoczesnością. Szczególne miejsce w jego twórczości zajmuje kobieta. Jest wielką fascynacją artysty, materializacją i ucieleśnieniem *sacrum*, wspomnieniem raju. Wartością samą w sobie i dla siebie. Mistyczną, poruszającą mocą, wobec której jako twórca i jako mężczyzna czuje się bezbronny. Obok ikony, pejzażu czy martwej natury płótna artysty w niezliczonej mnogości scen i kontekstów wypełniają kobiece sylwetki. Zgodnie z intencją twórcy przyglądamy się im z różnych perspektyw – cielesnej i duchowej, sakralnej i ziemskiej, sensualnej i emocjonalnej. Kontrasty mnożą się bez końca, budując poruszające konwencjonalne i niekonwencjonalne kobiece wizerunki.

Spectra Art Space
Fundacja Rodziny Staraków
Warszawa, ul. Bobrowiecka 6
do 30 maja



Beatrix Cenci, 1950 r.



Pływaczki, 1953 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JESTEŚMY SĄSIADAMI. RAZEM MOŻEMY POKONAĆ EPIDEMIĘ

Wszyscy mamy trudny czas. Martwimy się o zdrowie, o bliskich, o pracę – ale wierzymy, że wkrótce będzie lepiej. Dookoła mieszkają **życzliwi ludzie**. Uśmiechnijmy się do siebie!

Jesteśmy grupą sąsiadów, która **uruchamia wspólnotę na naszym piętrze**. Będziemy współdziałać, by wszystkim było lepiej. **Chcesz się przyłączyć? Potrzebujesz pomocy?**

WYTNIJ
I POWIEŚ W TWOIM
SĄSIEDZTWIE

CO MOŻEMY ROBIĆ:

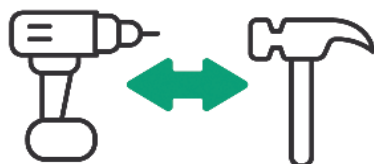
Wspólne zakupy,
by obniżyć
ryzyko zarażenia
wirusem



Rozmowy
sąsiedzkie,
by utrzymać
kontakty



Pożyczanie
narzędzi
do drobnych
napraw



Zajęcia zdalne
dla dzieci,
by odciążyć
rodziców



Zadzwoń albo napisz, byśmy mogli nawiązać kontakt.
Zrób zdjęcie naszych numerów.

Imię, numer mieszkania, numer telefonu

Imię, numer mieszkania, numer telefonu

Imię, numer mieszkania, numer telefonu

M
MAZOWIECKI
TEATR MUZYCZNY
IM. JANA KIEPURY

Koń by też pisał wiersze, gdyby mu dać sto złotych

Spektakl
słowno-muzyczny
oparty na poezji
Konstantego Ildefonsa
Gałczyńskiego



PREMIERA ONLINE
STYCZEŃ 2021
www.mteatr.pl

ORGANIZATOR
M
MAZOWIECKI
TEATR MUZYCZNY
IM. JANA KIEPURY

Współorganizator
Województwa Mazowieckiego
MAZOWSZE.
MAZOWIECKIEGO

PATRONAT HONOROWY



PRODUKCJA SPEKTAKLU



BILETY NA:
www.mteatr.pl
tel. 22 243 54 84